

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY**ŚLĄSK**

Nr 6 (271). Rok XXIV. CZERWIEC 2018 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACHWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKATADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, literatura, sztukaLAURA RYNDAK
Korekta

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
WIESŁAWA KONOPELSKA,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKA,
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIKADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjasklask@onet.plDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.
Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

- 2 Tadeusz Sierny OD REDAKTORA
4 Tadeusz Sierny WYWIAD Z JM REKTOREM UŚ PROF. DR HAB. Andrzejem Kowalczykiem

Z OKAZJI OBCHODÓW 50-LECIA UŚ KOMENTARZA UDZIELILI:

- 6 prof. zw. dr hab. Andrzej Noras
7 prof. dr hab. Michał Daszykowski
8 prof. zw. dr hab. Tadeusz Ślawek
9 prof. dr hab. Ryszard Koziółek
10 prof. dr hab. Tomasz Pietrzykowski
11 Katarzyna Topolska Przewodnicząca Zarządu Samorządu Studenckiego UŚ
12 prof. zw. dr hab. Józef Bańka

- 13 LIST JM Rektora Politechniki Śląskiej Prof. dr hab. inż. Arkadiusza Mężyka
24 Michał Pawlak DOKTORAT HONOROWY DLA PROF. WIESŁAWA BANYSIA
25 Katarzyna Niesporek KONFERENCJA ŚWIATY POETYCKIE EDWARDA ZYMANA
26 Henryk Szczepański ASTORIA KONTRA MONOPOL
36 Małgorzata Kłoskiewicz O TOŻSAMOŚCI GLIWIC I GLIWICZAN.
Rozmowa z dr hab. Tomaszem Nawrockim oraz dr hab. Krzysztofem Bierwiaczkoniem
38 Małgorzata Kłoskiewicz CI PRAGMATYCZNI BIZANTYŃCZYCY.
Rozmowa z prof. dr hab. Przemysławem Marciniakiem
40 Marian Kisiel PORTRETY MISTRZÓW: KRZYSZTOF UNIŁOWSKI
44 Wiesława Konopelska XIX FESTIWAL AVE MARIA
48 Joanna Warońska PIOSENKAMI O PIOTRZE MACHALICY
49 Tomasz Bienek NOWE FALE NA ODRZE
52 Julia Montewska W IMIĘ MIŁOŚCI I CHWAŁY
60 BLASK ARCYDZIEŁ Jerzy Paszek BLASK BOGURODZICY
74 Jan Malicki JAK PISAŁ PAWEŁ JASIEŃSKA: KADŁUBKOWE WYMYŚŁY
82 Tomasz Bienek RARYTASY Z PRZEMYTU

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 32 NOWA SIEDZIBA WYDZIAŁU RADIA I TELEWIZJI UŚ
33 Julia Agnieszka Szymala UNIWERSYTET ŚLĄSKI
68 Roman Maciuszkiewicz INSTYTUT SZTUKI – CIESZYN
69 GALERIA: PREZENTACJA INSTYTUTU SZTUKI W CIESZYNIE
88 PRACE DYPLOMOWE: INSTYTUT SZTUKI UŚ WYDZIAŁ ARTYSTYCZNY

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Janusz Kryszak JUŻ POLICZONE
14 Janusz Kryszak WIERSZE
16 Wikentij Wieriesajew NOTATKI DLA SIEBIE (przełożył Marian Kisiel)
46 Ewa Parma WIERSZE
56 Piotr Bagiński EINSTEIN PRZEPLYWA WISŁĘ W NIESZAWIE
73 Marek Piechota ZE STARYCH I NOWYCH PRZYOKAZYJEK (SATYRY)

FELIETONY

- 35 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzcZYŻNA. Jan Miodek W LUBINIE, W CIAŚNIE I NA MIECHOWICACH
45 Ryszard Jasnorzewski ROK OLIMPIJSKI. WAZA ZMYŚŁÓW
55 MIĘDZY NUTAMI. Magdalena Działek. 30. ROCZNICA ŚMIERCI MARIANA WALLEK-WALEWSKIEGO. DZIECIĘCTWO MUZYKI?

KSIĄŻKI

- 62 Katarzyna Niesporek POEZJA PYTAŃ
63 Bartłomiej Bielas KUKIEŁKOWY ŚWIAT
64 Aleksandra Chylewska-Tölle BRECHT RAZ JESZCZE
65 Andrzej Juchniewicz (PRZE) MOC POPKULTURY
66 Ewa Bartos OBOZOWE DOŚWIADCZENIE MORCINKA
67 Tadeusz Sierny OJCZYŻNA, NAUKA, CNOTA
80 KSIĄŻKI NADEŚLANE

Z ŻYCIA BIBLIOTEK

- 78 Ewa Madej OGÓLNOPOLSKI TYDZIEŃ BIBLIOTEK W JASTRZĘBIU-ZDROJU

NOTATNIK KULTURALNY

- 84 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE, OPOLE, TARNOWSKIE GÓRY, ZABRZE.

WEWNĄTRZ NUMERU TAKŻE: Ryszard Czernow, Olga Korusiewicz, Anna Pawluszkiewicz, Julia Agnieszka Szymala, Bogna Skwara,

Na okładce: Julia Agnieszka Szymala: fotografia siedziby Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego.

Pismo wspierane
finansowo przez:Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICEKATOWICE
dla odmianyMinisterstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Śląskie.

Od Redaktora!

Śląskie środowisko akademickie to trzecia w Polsce pod względem ilości studentów – po Warszawie i Krakowie – społeczność ludzi kształcących się na studiach. Do najstarszych tradycji uczelnianych odwołać się może Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego kontynuująca działalność dydaktyczną zapoczątkowaną 28 września 1929 przez ówczesne Państwowe Konserwatorium Muzyczne, nieco młodszy jest Uniwersytet Ekonomiczny, którego zręby zbudowano na bazie zainaugurowanego 11 stycznia 1937 roku Wyższego Studium Nauk Społeczno Gospodarczych. Tuż po zakończeniu II Wojny Światowej 6 czerwca 1945 roku rozpoczęła działalność Politechnika Śląska, a w marcu (20.03.) 1948 roku zainaugurowała działalność dydaktyczną Akademia Lekarska w Bytomiu, której tradycje kontynuuje Śląski Uniwersytet Medyczny.

Tradycyjnie młodzież Śląska nie znajdująca w Katowicach satysfakcjonującej ją oferty dydaktycznej wędrowała na studia do Krakowa lub Wrocławia. Ten trend w pewnym stopniu zahamowało powołanie w Katowicach w 1950 roku Wyższej Szkoły Pedagogicznej (29.11.1950), a w roku 1963 Studium Uniwersytetu Jagiellońskiego, przekształconego w roku akademickim 1966/1967 w Filię Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Lecz prawdziwe *universitas magistrorum et scholarium* czyli Uniwersytet Śląski w Katowicach po wielu uporczywych zabiegach przedstawicieli środowisk inteligentnych i władz politycznych oraz administracyjnych powstał **8 czerwca 1968 roku**.

1 października 1968 roku w Hali Parkowej odbyła się inauguracja pierwszego roku akademickiego **Alma Mater Silesiensis** i zabrzmiało dumne **Gaudeamus igitur**. Pierwszym JM Rektorem nowo powstałej uczelni w latach od 1968 do 1972 był badacz historii Śląska **prof. dr hab. Kazimierz Papiołek**.

Po pięćdziesięciu latach działalności akademickiej uczelnia może pochwalić się bogatym dorobkiem naukowym i ogromną ponad stutysięczną rzeszą absolwentów. Każda działalność akademicka jest wkładem uczelni w rozwój kapitału społecznego i kulturowego regionu w jakim funkcjonuje. W najlepszym okresie rozwoju Uniwersytetu uczelnia kształciła ponad 40 000 studentów, dziś studiuje 26 000 osób na 12 wydziałach i 77 kierunkach. Baza dydaktyczna Uczelni ulokowana jest w Katowicach, Sosnowcu, Chorzowie, Cieszynie.

Uniwersytet to nie tylko instytucja lecz także wielki symbol idei wolności badań, autonomii szkoły wywiedzionej z odległych średniowiecznych tradycji, odrębna i oryginalna wspólnota nauczających i uczących się, kultywująca tradycje owego universum, nawet wówczas – a może przede wszystkim – gdy osiągnęła zaledwie wiek „abrahamowy”.

Uczelnia to także środowisko ludzi, którzy poznanie prawdy przez naukę traktują jako swój cel w życiu, płacąc czasem wysoką cenę za dążenie lub obronę prawdy – takiej jaką uznają za obiektywną. Racjonalnemu myśleniu, wybitnym kwalifikacjom poznawczym muszą towarzyszyć najwyższe walory moralne, dopiero wówczas student wkracający w mury uczelni może znaleźć tam swego mistrza i wzorzec postępowania badawczego oraz sukcesu dydaktycznego.

Tej zasłużonej Uczelni poświęcimy znaczną część czerwcowego numeru „Śląska”.

Czerwiec to miesiąc nie tylko chwalebnej rocznicy powstania Uniwersytetu Śląskiego ale okres obfitujący w liczne rocznice urodzin znakomitości nauki i sztuki: 3 czerwca 1793 roku urodzili się: Antoni Malczewski, pierwszy polski zdobywca Mont Blanc i prekursor romantyzmu w naszej literaturze, w tym samym roku Aleksander Fredro (20.06), a w 1838 Jan Matejko, w 1843 Edward Grieg, w 1878 James Oliver Curwood autor m.in. *Szarej wilczycy*, *Łowców wilków* i innych powieści traperskich, w 1883 John Maynard Keynes – wybitny ekonomista, a w czerwcu 1898 takie znakomitości jak: Frederico Garcia Lorca hiszpański poeta, Witold Taszycki polski wybitny językoznawca oraz Erich Maria Remarque niemiecki pisarz (*Na zachodzie bez zmian*), w 1903 Georg Orwell, w 1923 Henryk Chmielewski pseudonim Papcio Chmiel (7.06.), słynny rysownik, twórca komiksu o *Tomku, Romku i A'Tomku*; w 1938 Vladimir Jiraneck autor scenariusza popularnej czeskiej kreskówki pt.: *Sąsiedzi*, w 1948 Andrzej Sapkowski, w 1953 Jaro-

mir Nohavica popularny w Polsce pieśniarz z Ostravy.

Czerwiec obfituje w rocznice ważnych zdarzeń o znaczeniu naukowym, społecznym i politycznym: 4.06.1783 zorganizowano pierwszy pokaz balonu braci J. i J. Montgolfierów, w 1885 z Francji przetransportowano do Nowego Jorku słynną Statuę Wolności, 10 czerwca 1898 roku zmarła Tuone Udaina na chorwackiej wyspie Krk – ostatnia osoba posługująca się językiem dalmatyńskim, od tego dnia ten język stał się językiem martwym, a 27 czerwca 1898 roku Joshua Slocum zakończył swój rejs, w którym jako pierwszy samotny żeglarz opłynął cały świat, w 1903 roku – 25 czerwca **Wojciech Korfanty** został pierwszym polskim posłem do Reichstagu wybranym w ówczesnych Prusach na Górnym Śląsku, w 1913 brytyjska sufrażystka Emily Davison wpadła pod kopyta konia króla Jerzego V, zmarła w kilka dni później, w 1918 pochowano w Krypcie św. Leonarda na Wawelu prochy Tadeusza Kościuszki, w 1938 opublikowano pierwszy odcinek *Supermena*, w 1958 roku w Instytucie Badań Jądrowych uruchomiono w Świerku pod Warszawą pierwszy w Polsce reaktor jądrowy, w Opolu w 1963 roku po raz pierwszy zorganizowano *I Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej*, w 1968 zmarła zapomniana dziś amerykańska pisarka, działaczka społeczna Helen Keller – pierwsza osoba głuchoniema, która ukończyła wyższe studia, 27 czerwca 1978 roku odbył się start rakiety Sojuz 30 z Miroslawem Hermaszewskim na pokładzie, jak dotąd jedynym polskim kosmonautą, w 1993 roku odbyła się premiera filmu S. Spielberga *Jurassic Park*. Wszyscy pewnie pamiętamy przeprowadzone 15 lat temu w czerwcu 2003 roku referendum w sprawie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, w czasie którego za integracją z UE opowiedziało się **77,45%** głosujących, w tymże roku rozpoczęła swą działalność należąca do Fundacji Lux Veritatis-*Telewizja Trwam*.

Nie wszystkim tym okolicznościom z oczywistych względów poświęcimy uwagę w tym numerze zapowiadającym upalne lato – ale przypominając bogactwo wybranych przecież wydarzeń historycznych odległych i tych całkiem bliższych – proponujemy naszym PT Czytelnikom chwilę refleksji nad sentencją starożytnych: *nihil semper floret: aetas succedit aetati*.

JANUSZ KRYSZAK

JUŻ POLICZONE

Na jakiego mężczyznę padnie zniecka
zły los.

Na tego, który od godziny stoi na ulicy
przed barem, prosząc o drobne
już padł.

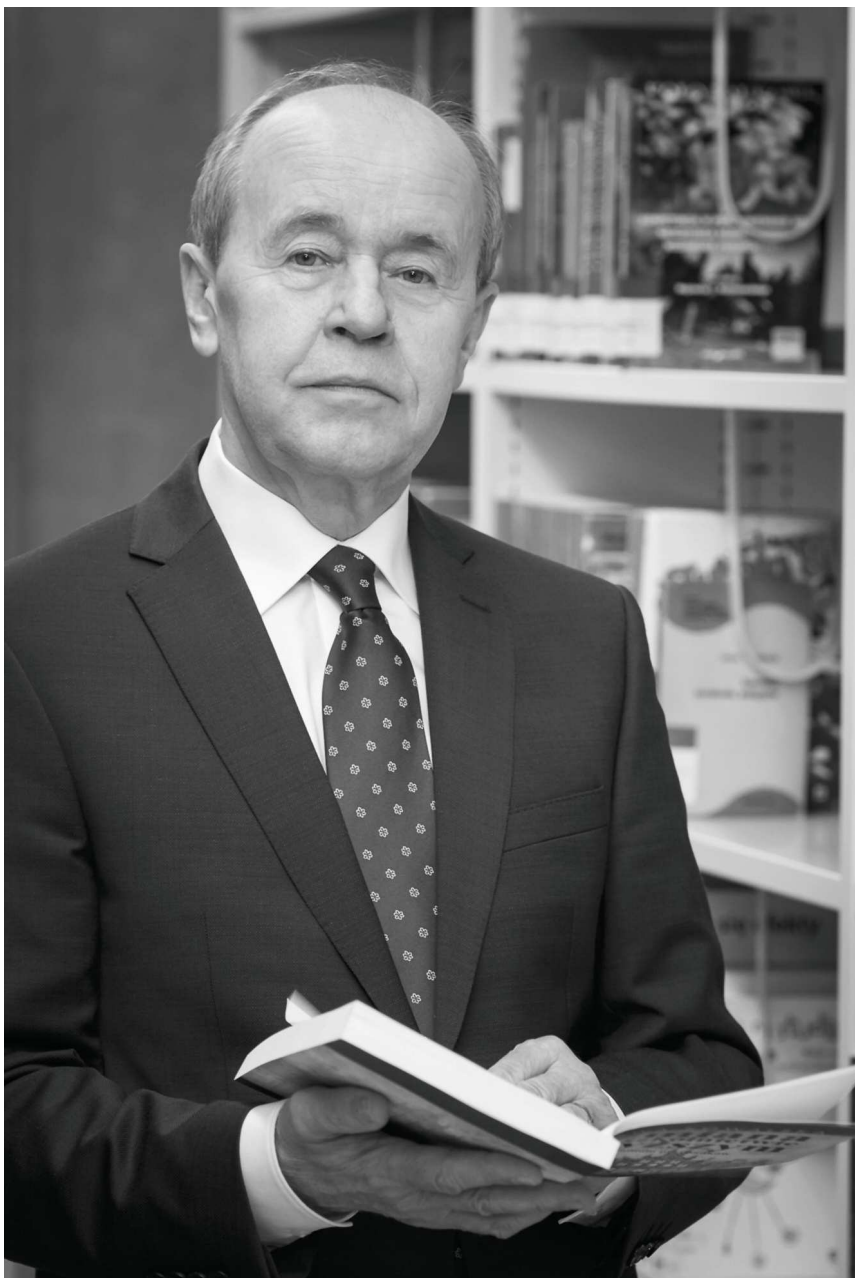
Dni jesieni z rudawymi drzewami
i chłodną mżawką
już policzone.

Źle im służy obojętna samotność.
Opadłe liście powiedzą jeszcze kilka słów
szeleszcząc pod stopami stojącego mężczyzny,
którego wzrok podąża za niedopalkiem papierosa.



Rys. Anna Pawluszkiwicz

Janusz Kryszak, ur. 1945 w Bydgoszczy, poeta, krytyk i historyk literatury, edytor poezji awangardowej, emerytowany profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Wybitny znawca poezji XX wieku, a także polskiej twórczości emigracyjnej. Autor ośmiu zbiorów szkiców, ostatnio: *Na tasce słów* (2007), *A po ziemi wychodźcy idą w obce kraje. O poezji i poetach Drugiej Emigracji* (2010), *Poeta w poszukiwaniu rzeczywistości*, (2011). Jako poeta opublikował kilkanaście tomików, ostatnio: *Elegia na odejście szpaka* (2005), *Szczeliny świata* (2011). Mieszka w Toruniu.



Wywiad z JM Rektorem UŚ prof. dr. hab. Andrzejem Kowalczykiem

– **Jakie osiągnięcia, sukcesy Uczelni w ostatnich 50 latach uważa JM za najbardziej istotne, najważniejsze w historii Uniwersytetu Śląskiego?**

– Wydarzeń i sukcesów w pięćdziesięcioletniej historii Uniwersytetu Śląskiego było bardzo wiele, dlatego trudno jest wskazać jedno najważniejsze. Bardzo ważnym momentem w historii Uczelni było internowanie po wprowadzeniu stanu wojennego rektora UŚ prof. Augusta Chelkowskiego oraz prorektor prof. Ireny Bajerowej – był to jedyny w całym kraju przypadek internowania legalnie wybranych i urzędujących władz uczelni. Z nieco bliższej historii można wymienić przyznanie statusu KNOW dla Centrum Studiów Polarnych, które prowadzi badania na światowym poziomie nad zmianami klimatu, mając za poligon badawczy Arktykę i Antarktydę. Konkurencja była bardzo mocna, o status ten ubiegało się wiele uznanych ośrodków w kraju, a KNOW trafił właśnie na Uniwersytet Śląski. Istotnym momentem było uruchomienie wspólnej z Uniwersyteciem Ekonomicznym nowoczesnej biblioteki – Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka. To pierwszy i chyba jedyny taki przypadek w środowisku akademickim w Polsce, gdy dwie uczelnie mają wspólną bibliotekę. CINIiBA to jeden z najnowocześniejszych ośrodków informacji naukowej w Europie. Modelowe współdziałanie dwóch uniwersytetów przyczyniło się do powstania pierwszego międzyuczelnianego centrum specjalistycznej informacji służącego ludziom nauki, biznesu, edukacji i kulturze, a także rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego. Nowa placówka stała się nie tylko głównym ośrodkiem kampusu uniwersyteckiego. Pozytywnie oddziałuje także na całe centrum miasta. Z usług CINIiB-y korzysta zarówno środowisko akademickie, jak i mieszkańcy miasta i regionu.

Sukcesem Uczelni jest stworzenie nowoczesnego kampusu nauk ścisłych w Chorzowie. Śląskie Międzyuczelniane Centrum Edukacji i Badań Interdyscyplinarnych, czyli zintegrowany, nowoczesny kampus umożliwiający konstrukcję interdyscyplinarnych zespołów badawczych, które prowadzą kierunki w postaci programów dyplomowych, to miejsce, gdzie kreatywne myślenie studentów jest priorytetem.

Ważnym wydarzeniem było utworzenie Wydziału Teologicznego – dzięki czemu Uniwersytet Śląski stał się uniwersytetem kompletnym. I chociaż Nagrody Nobla jeszcze nie mamy, to nasi naukowcy i studenci odnieśli bardzo wiele sukcesów – czy to indywidualnych, czy to zespołowych. Mocna kadra naukowa i jej osiągnięcia, nie tylko badawcze, ale także organizacyjne, dydaktyczne, również bardzo dobrze świadczą o naszej wysokiej pozycji.

– **Jaką rolę odgrywał i odgrywa Uniwersytet Śląski wobec społeczeństwa województwa śląskiego, środowisk naukowych i intelektualnych Śląska?**

– Uniwersytet Śląski ma ogromny wkład w zmianę krajobrazu wielkoprzemysłowego regionu – kraina węgla i stali stała się przede wszystkim zagłębiem intelektualnym, co niewątpliwie dobrze rokuje na przyszłość. W do-



minującej mierze stało się tak dzięki Uniwersytetowi, jego profesorom, studentom i liczącemu około 250 tys. rzeszy absolwentów.

Uniwersytet Śląski nie tylko strzeże wartości i swojej niezależności, ale również służy obywatelskiemu społeczeństwu, wspierając rozwój gospodarczy i kulturę i tym samym przyczyniając się do rozwoju cywilizacyjnego regionu i kraju. Nasza Uczelnia działa w przekonaniu, że kształci nie tylko fachowców w określonych specjalnościach zawodowych, lecz także przyszłych uczestników życia publicznego. Wielu z naszych absolwentów wyrasta na liderów instytucji, firm biznesowych i społeczności. Są wśród nich także politycy i parlamentarzyści, naukowcy i liczne grono nauczycieli, samorządowcy i menadżerowie firm, którzy odgrywają istotną rolę w społecznościach lokalnych czy też z powodzeniem działają na rzecz regionu i kraju. Uniwersytet bowiem pozostawia dziedzictwo – i to podwójne: pisane – ściśle naukowe, i niepisane – etos, zakodowany w ludziach, w społeczności akademickiej Uniwersytetu Śląskiego, której częścią są jego absolwenci.

Ogromny potencjał ludzki, naukowy, dydaktyczny i kulturalny, jaki reprezentuje nasz Uniwersytet, ale także ogromny potencjał naukowy skupiony w naszym regionie w innych, przecież znakomitych uczelniach, powinny być jeszcze bardziej wykorzystywane do podejmowania wspólnych wyzwań i przedsięwzięć przede wszystkim dla Śląska w coraz bardziej konkurencyjnym świecie. Wszystkim nam przecież zależy na tym, aby tutaj właśnie tworzyć jak najlepsze warunki do życia, aby na Śląsku i w Zagłębiu nasza młodzież chciała podejmować naukę i pracę, aby nasz region wzmacniał swoją pozycję we współczesnym społeczeństwie wiedzy. Tym wyzwaniom służy dziś i będzie służył w przyszłości Uniwersytet Śląski.

– Uniwersytet Śląski był dziewiątym powołanym w okresie powojennym Uniwersytetem w Polsce, kształcącym jednocześnie – w najlepszym okresie swego rozwoju – ponad 40 000 studentów. Jak dostosowuje się Uczelnia do realiów XXI wieku, do doby Internetu, globalizacji nauki, rywalizacji uczonych o granty i ... oczekiwań studentów?

– Nasze plany na kolejne lata koncentrują się na umacnianiu pozycji Uniwersytetu Śląskiego w regionie, także poza nim – jako uczelni mocnej w kraju, rozpoznawanej za granicą.

Senat Uniwersytetu Śląskiego w 2016 roku przyjął wieloletni program rozwoju uczelni „50+”. Jest to dokument, który w sposób kompleksowy ujmuje wszystkie przemiany, jakie powinny dokonać się na naszej Uczelni, konieczne do osiągnięcia zamierzonych celów.

Realizacja wspomnianego planu wymaga wielu śmiałych przedsięwzięć. Najważniejszym jest wzmacnianie potencjału badawczego i dydaktycznego Uczelni. Będzie to wymagać dalszego wzmocnienia kadry naukowej, oraz unowocześnienia infrastruktury dydaktyczno-badawczej. Nie ustajemy w dążeniach do poprawy warunków studiowania oraz prowadzenia badań naukowych. Opracowaliśmy program inwestycyjny, któ-

rego najważniejszymi elementami są: wzmocnienie kampusu centralnego w Katowicach poprzez budowę Centrum Biotechnologii i Bioróżnorodności oraz Interdyscyplinarnego Centrum Chemii, modernizacja dwóch innych obiektów w tym kampusie, a także budowa wielofunkcyjnej hali sportowej i domów studenckich w kampusie katowickim; konsolidacja kampusu w Chorzowie, która właśnie się dokonuje, i – co równie ważne – modernizacja obiektów kampusu w Cieszynie. Są to zamierzenia bardzo ambitne, stanowią one duże wyzwanie nie tylko dla nas, członków społeczności UŚ, lecz także dla całego regionu i jego władz. Czynimy usilne starania, aby nasze plany sformułowane w programie „Uniwersytet Śląski 50+” znalazły uznanie również w oczach władz regionalnych i centralnych, aby mogły znaleźć się na liście inwestycji do zrealizowania w nadchodzących latach. O to zabiegamy, dla tej inicjatywy staramy się uzyskać wsparcie władz samorządowych i państwowych oraz naszych przedstawicieli w parlamencie. Liczymy także na wsparcie przyjaciół Uniwersytetu, na wsparcie licznej rzeszy naszych absolwentów pracujących w różnych instytucjach oraz urzędach centralnych i regionalnych, w przemyśle i w biznesie.

Drugim kierunkiem podejmowanych przez nas działań będzie większe umiędzynarodowienie naszej Uczelni, powiązanie jej z nauką i edukacją światową. Kształcenie, nauczanie jest bowiem nierozzerwalnie związane z prowadzonymi badaniami, z nauką. Jeśli więc chcemy mieć kształcenie na odpowiednim poziomie, musimy zadbać o podniesienie poziomu nauki. Jak to zrobić? Musimy się jeszcze bardziej otworzyć, wyjść poza pracownię i laboratoria naszej Uczelni. Umiędzynarodowienie Uniwersytetu, umiędzynarodowienie badań naukowych i procesu kształcenia jest jednym z naszych priorytetowych zadań.

– Jakie podejmują kroki Władze Uczelni, by dostosować strukturę badań naukowych, procedury dydaktyczne, organizację Uczelni do nowych wyzwań i zadań określonych w procedowanym już w Sejmie projekcie nowej Ustawy zwanej Konstytucją Nauki?

– Uniwersytet Śląski obchodzi w tym roku swoje 50-lecie. Jest to więc dla nas naturalny moment refleksji zarówno nad tym, co udało nam się w tym czasie osiągnąć, jak i nad dalszymi działaniami zapewniającymi rozwój Uczelni. Zapowiadane zmiany w prawie traktujemy jako dodatkowy asumpt do dyskusji na ten temat. O szczegółach będziemy rozmawiali, gdy poznamy ostateczny kształt nowych przepisów – tak ustawy, jak i rozporządzeń wykonawczych. Debata na ten temat z udziałem całej społeczności Uniwersytetu będzie trwała przez nadchodzący rok akademicki, a wnioski z niej zostaną zawarte w nowym Statucie Uczelni, nad którym prace i tak planowaliśmy. Z uwagą śledzimy postęp prac w parlamencie. Już teraz jednak najważniejszy wydaje się fakt, że w nowej ustawie kluczowe znaczenie przypisano dyscyplinie naukowej. To w ramach dyscyplin będzie przeprowadzana ewaluacja naukowa, od której wyników

będą zależały uprawnienia zarówno do nadawania stopni naukowych, jak i do prowadzenia studiów, zależeć będzie także poziom finansowania. Logiczne więc wydaje się, że na dyscyplinach naukowych zorganizowanych w jednostki – np. instytuty – powinna opierać się struktura Uczelni. Oczywiście widzimy również rację bytu większych jednostek – wydziałów, zrzeszających kilka dyscyplin. Sensem ich istnienia będzie przede wszystkim prowadzenie kształcenia, zwłaszcza interdyscyplinarnego. Nie możemy bowiem dopuścić do sytuacji zamykania się nauczycieli akademickich, doktorantów i studentów wyłącznie w ramach wąsko rozumianej dyscypliny, kierunku lub specjalności. Uniwersytet jest silny bogactwem swojej różnorodności i wszyscy powinniśmy z niej stale czerpać, pamiętając nienowe już przecież hasło „Wiele wyborów, Jeden Uniwersytet”. Wiemy, że część proponowanych rozwiązań ustawowych budzi kontrowersje i niepokój u niektórych osób. Mogę jednak zapewnić, że w gronie władz Uczelni podchodzimy do całości projektu ustawy z ostrożnym optymizmem oraz jesteśmy przekonani, iż uda nam się wypracować takie rozwiązania, dzięki którym Uniwersytet Śląski będzie jeszcze lepszym miejscem do prowadzenia badań naukowych i studiowania.

– Nauka ma do spełnienia podstawową funkcję w realizacji dążenia do wyrównywania poziomu życia, jakości życia między krajami Europy Zachodniej i Europy Środkowo-Wschodniej. Wykształceni absolwenci Uniwersytetu Śląskiego będą tą grupą społeczną, która inicjuje i będzie prowokować do głębokich zmian cywilizacyjnych, kulturowych, społecznych, technologicznych i pewnie także politycznych. Czym powinni cechować się student Uniwersytetu Śląskiego XXI wieku?

– Student Uniwersytetu Śląskiego XXI wieku powinien być rzetelny. Jeśli ktoś, kto jest członkiem społeczności akademickiej, zapomina o tym lub umniejsza znaczenie rygorystycznie pojętej zasady uczciwości w badaniach, zdobywaniu wiedzy oraz stopni i tytułów naukowych, to odcina się od swych korzeni i traci coś, co stanowi o istocie powołania, o etosie naukowca.

Powinnością takiej instytucji, jaką jest Uniwersytet, i każdego członka społeczności akademickiej – w tym studenta – jest m.in. przestrzeganie prawa, konstytucji i praworządności. Student Uniwersytetu Śląskiego XXI wieku nie może dezinformować opinii publicznej, żyć w świecie postprawdy, w którym fałszywa, racjonalna argumentacja są mniej ważne, a przelagając biorą niepoparte wiarygodnymi źródłami przekonania, emocje, mniemanie.

W kontekście wymienionych przeze mnie wartości oraz zachodzących zmian w otaczającym nas świecie student UŚ XXI wieku musi pamiętać o etosie studenta, badacza, czyli między innymi sumienności i odpowiedzialności, bezstronności i niezależności, rzetelności i uczciwości.

– Dziękuję za rozmowę.



Prof. zw. dr hab.
ANDRZEJ NORAS

Prorektor UŚ
ds. badań naukowych



Uniwersytet Śląski jest nowoczesną uczelnią otwartą na współczesne wyzwania. Potwierdzeniem tego faktu są badania naukowe realizowane przez naszych uczonych i doktorantów. Silne zespoły badawcze podejmują problemy istotne poznawczo i praktycznie, kreatywnie tworząc nową wiedzę i innowacyjne rozwiązania do zastosowania w gospodarce. Badania naukowe w Uniwersytecie Śląskim prowadzone są w wielu dyscyplinach i specjalnościach naukowych, często przez multidyscyplinarne zespoły badawcze, współpracujące z uczonymi z innych ośrodków krajowych i zagranicznych. Są niezwykle wszechstronne i poszukują rozwiązań problemów uznawanych w Polsce, Europie i na świecie za priorytetowe dla rozwoju cywilizacyjnego. Są również skorelowane z priorytetowymi kierunkami badań wyznaczonymi między innymi w programach unijnych i Krajowym Programie Badań, który identyfikuje obszary badań o znaczeniu strategicznym. Stanowią one dominujące obszary badań

w wielu wydziałach naszego Uniwersytetu. Koncentrują się wokół tematów dotyczących między innymi zdrowia, w szczególności chorób cywilizacyjnych oraz nowych form leków (np. *Wpływ procesów fizycznych oraz substancji pomocniczych na charakterystykę właściwości substancji leczniczych trudno rozpuszczalnych w wodzie, Nowe glikofullereny dla terapii przeciwnowotworowych*); środowiska naturalnego i rolnictwa, w tym zagadnień związanych z ochroną środowiska i zanieczyszczeniem atmosfery, biotechnologii, surowców mineralnych i gospodarki wodnej, zmian klimatycznych (np. *Wpływ inwersji temperatury w warstwie granicznej atmosfery na zanieczyszczenie powietrza, Dynamiczna odpowiedź lodowców Svalbardu na zmiany klimatu i jej skutki środowiskowe, Przemiany wybranych pierwiastków (metali i metaloidów) podczas migracji na drodze emitor – powietrze – gleba*); materiałów i nowoczesnych technologii, w tym nanotechnologii inżynierii biomedycznej, inżynierii mate-

riałowej (np. *Opracowanie technologii wytwarzania oraz charakterystyka nieorganicznych materiałów kompozytowych i wielofunkcyjnych powłok złożonych na stopach NiTi, Konstrukcja ultrakondensatora z wykorzystaniem ceramiki bezołowiowej – SUPER CAP*).

W rzeczywistości zdominowanej przez technologię i w warunkach postępującej globalizacji nie można pominąć znaczenia i wysokiej wartości badań dotyczących zagadnień humanistycznych, społecznych, dziedzictwa narodowego, czy prawnych aspektów funkcjonowania (np. *Możliwości, wymogi i ograniczenia prawidłowego funkcjonowania historii legislacyjnej aktu prawnego jako narzędzia interpretacyjnego, Ochrona słabszej strony stosunku umownego, Organizacja i funkcjonowanie samorządu terytorialnego w Polsce i w Niemczech, Analiza prawno-porównawcza*), *Kwantowa teoria prawdopodobieństwa a psychologiczne mechanizmy podejmowania decyzji w procesach karnych, Ludzkie, niezbyt ludzkie. W stronę ogólnej teorii podmiotowości prawnej w kontekście współczesnej nauki i technologii, Media wobec idei świeckiego państwa, Powiązania pomiędzy elitami sfery mediów i polityki w Polsce w perspektywie doświadczeń niemieckich*).

Silne zespoły badaczy z Uniwersytetu Śląskiego skutecznie konkurują z innymi w pozyskiwaniu środków na realizację projektów badawczych. Nie można uprawiać efektywnie nauki na światowym poziomie bez odpowiedniej infrastruktury badawczej i nakładów finansowych. Finansowanie nauki w Polsce od lat utrzymuje się na niskim poziomie. Wydatki na naukę w Polsce w roku 2018 planowane są na poziomie 9,2 mld zł, co stanowi ok. 0,45% PKB. Oznacza to wzrost o zaledwie dwie setne punktu procentowego w stosunku do roku 2017. Trudno obecnie prognozować, czy i jak sytuacja ulegnie zmianie po wejściu w życie ustawy 2.0. Poczekajmy na ostateczny kształt ustawy i przepisów wykonawczych. ■

Fot. Julia Agnieszka Szymala





Prof. dr hab.
MICHAŁ DASZYKOWSKI

Prorektor UŚ
ds. finansów i rozwoju

Jak kształtowane będą finanse Uniwersytetu z perspektywy badawczej i dydaktycznej moderowane przez przepisy nowej ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce?

Uczelnie publiczne i niepubliczne otrzymują dotację podstawową z budżetu państwa wedle przyjętego dwa lata temu algorytmu. Jest ona głównym i zarazem najbardziej wiarygodnym źródłem finansowym, ale obecnie nie jedynym. Propozycje zapisów nowej ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce wychodzą naprzeciw realizacji oczekiwanej przez środowisko idei połączenia niektórych strumieni finansowania, których celowy charakter i znaczne rozdrobnienie niestety nie sprzyjają efektywnemu wydatkowaniu środków.

Uważna analiza poszczególnych wskaźników algorytmu dotacji podstawowej, których definicja na przestrzeni ostatnich dwóch lat pozostaje taka sama, pozwala Jednostkom poszukiwać indywidualnych i zrównoważonych rozwiązań zmierzających do maksymalizacji dotacji. Odbywa

się to poprzez adaptację strategii i zmianę dynamiki rozwoju potencjału kadrowego, dydaktycznego i naukowego. Wewnętrzny podział dotacji podstawowej pomiędzy Wydziały zachowuje założenia algorytmu, a jednocześnie, w możliwym do zrealizowania zakresie, daje stabilność finansową Wydziałom odnotowującą mniej korzystną dynamikę zmian wskaźników algorytmu. Z drugiej strony, systemowo nagradzane są te Wydziały, które szybciej reagują na oczekiwania Ministerstwa. Dodatkowym bodźcem, aby stymulować pozytywny wzrost wskaźników, jest autorski program projałnościowy. Premiuje on finansowo grono najbardziej aktywnych pracowników. W szczególności docenia się najlepiej punktowany dorobek naukowy i twórczy, aktywność w pozyskiwaniu środków zewnętrznych na badania, a także udział pracowników w charakterze eksperta w zagranicznych panelach eksperckich. Ponadto, nasza Uczelnia wdrożyła unikalny program finansujący trzymiesięczne staże w renomowanych ośrodkach zagra-

nicznych dla pracowników wyłonionych w drodze konkursu. Te działania, mające swe odzwierciedlenie w wewnętrznej strategii finansowania, mają jednocześnie stymulować rozwój potencjału naukowego pracowników i całych Wydziałów. Wynikają one przede wszystkim z racjonalnej realizacji polityki rozwoju Uczelni. Uniwersytet to uczelnia silna, z ponad połową jednostek z kategorią A. Niewątpliwie naszym priorytetem jest prowadzenie konkurencyjnych i przełomowych badań, dążyć będziemy do systematycznego umacniania siły naukowej dyscyplin.

W ścisłym obszarze zainteresowań pozostaje również troska o atrakcyjność i wysoki poziom zajęć dydaktycznych, tworzenie nowych programów studiów przy jednoczesnym wygaszaniu tych słabo rozpoznawalnych i rozwój kompetencji dydaktycznych nauczycieli akademickich.

Uniwersytet Śląski, rozpoczynając kolejne pięćdziesiąt lat swej działalności, realizuje ambitne plany modernizacji, konsolidacji i rozbudowy infrastruktury, aby sprostać oczekiwaniom studentów i pracowników. Te zamierzenia wymagają zaangażowania własnych środków i aktywnego pozyskiwania wsparcia zewnętrznego, jednakże do celowo wspierają nie tylko samą Uczelnię. Uniwersytet Śląski jest instytucją niezwykle silnie oddziaływającą na otoczenie zewnętrzne i wpływającą pozytywnie na charakter i widzialność regionu, a także na kulturę i tożsamość jego mieszkańców.

Wierzymy, że kierunek podejmowanych działań jest słuszny i sprzyja dynamicznemu rozwojowi Uniwersytetu Śląskiego. Przez ostatnie lata przyjęta polityka finansowa niewątpliwie pozwoliła nam wykreować unikalną markę, zdobyć czołową pozycję w regionie, a także zasadniczo wzmocnić widzialność Uniwersytetu Śląskiego w rozmaitych krajowych i międzynarodowych rankingach.

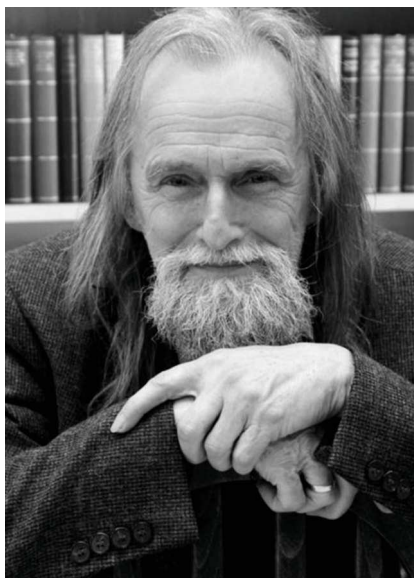


Fot. Julia Agnieszka Szymala



Prof. zw. dr hab.
TADEUSZ SŁAWEK

JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego
w latach 1996-2002



Czy humanistyka i nauki społeczne na Uniwersytecie Śląskim, czerpiąc wiedzę ze swoich 50-letnich doświadczeń, zdaniem Pana Profesora, zdołają w tej Uczelni skutecznie i efektywnie kształcić wrażliwych na uniwersalne wartości kultury europejskiej – studentów, otwartych na dialog z własną przeszłością, tożsamością i perspektywami cywilizacji cyfrowej XXI wieku?

Jednoznaczna odpowiedź świadczyłaby o zadufaniu, bowiem Uniwersytet nie jest przecież jedynym miejscem, do którego należy skierować to pytanie. Gdy mówimy o „wrażliwości” (a nader istotna i, niestety, zaniedbana to kategoria) należy przede wszystkim zwrócić się w stronę szkoły, domów rodzinnych i atmosfery w nich panującej, Kościoła i przekazu, jaki kieruje do wiernych; uniwersytet jest ważnym elementem tej mozaiki kształcenia i nie funkcjonuje w oderwaniu od pozostałych. Z tej perspektywy byłbym umiarkowanym pesymistą. Mój pesymizm bierze się z obserwacji dominu-

jących sił formujących życie publiczne, a te nie mają z „wrażliwością” wiele wspólnego. Wprost przeciwnie, jeśli przez „wrażliwość” rozumieć (1) wyjściowe, minimalne choćby, zaufanie do uczestników życia, (2) poszanowanie opinii odmiennych od mojej własnej, a co zatem idzie o (3) dopuszczenie możliwości, że druga strona może również mieć rację, na którą ja nie mam monopolu, (4) empatyczną chęć zrozumienia drugiej strony bez zakładania jej złej woli, (5) odrzucenie upraszczającej, czarno-białej wizji świata niechybnie kończącej się ideologią „obłożonej twierdzy” budującą własną tożsamość na radykalnym sprzeciwie wobec „innych” – jeśli tak pojmujemy „wrażliwość”, wówczas trudno o optymizm. Wszak w ostatnich latach życie publiczne kreowane jest głównie przez wywoływanie poczucia zagrożenia, podstępnego mrocznego wroga czającego się w sąsiedztwie, zderzenia cywilizacji, barbarzyństwa u bram (modelowym przykładem tego rodza-

ju praktyki myślowej jest artykuł Włodzimierza Paźniewskiego *Czekając na barbarzyńców* z majowego numeru *Śląska*). Taki obraz świata zwykle prowadzi do jego przenośnej lub dosłownej militaryzacji, bowiem w sytuacji psychozy „wroga u bram” milknie wrażliwość, a winny odezwać się armaty. Dziwactwo Obrony Terytorialnej, nacjonalistyczne wzmoczenie ćwiczone na strzelniczy w każdym powiecie, siłowe usuwanie pokojowych manifestantów – to wszystko przejawy głębokiego kryzysu edukacyjnego, któremu obecna szkoła nie tylko nie jest w stanie się przeciwstawić, ale wręcz jeszcze go pogłębia niektórymi akcentami polityki historycznej. Najogólniej rzecz ujmując, młodzi – przebywający często w elektronicznym odosobnieniu – przekonani są o tym, że liczą się głównie, jeśli nie jedynie, umiejętności zawodowe i bezwzględna konkurencyjność na rynku pracy, wykazują niewielkie zainteresowanie sferą publiczną (na czym, być może, zależy władzy dążącej do zagwarantowania sobie „świętego spokoju”). Postawa widza stała się znacznie popularniejsza niż postawa obywatela. W tej sytuacji Uniwersytet musi czynić wszystko na rzecz konstruowania w sferze publicznej **postawy uniwersyteckiej**, która byłaby (1) ćwiczeniem się w demokracji pojmowanej jako współistnienie w wielości, (2) pracą na rzecz tworzenia nici porozumienia między stronami sporów, (3) moralnym „schłodzeniem” prawa czyli przeświadczeniem, że poszanowanie dla prawa nie musi oznaczać automatyzmu w jego stosowaniu (odejście od bezdusznego pozytywizmu prawnego), (4) ostrożnością w posługiwaniu się silnymi i wielkimi pojęciami typu „naród”, które – jak wykazuje historia – okazały się niezwykle podatne na polityczne i moralne nadużycia. Tak możemy przysłużyć się kulturze europejskiej, której zaprzeczamy przejawami izolacjonizmu i poczucia narodowej wyjątkowości. ■

Fot. Julia Agnieszka Szymala





Prof. dr hab.
RYSZARD KOZIOŁEK

Prorektor UŚ
ds. kształcenia i studentów

Kształcenie akademickie od wieków kopiera się na połączeniu tradycji i nowoczesności. Najnowsze wyniki badań naukowych znajdują odzwierciedlenie w treści ćwiczeń i wykładów, zarazem programy studiów tak są konstruowane, aby student znał i rozumiał genealogię współczesnych problemów, z jakimi zmagają się badacze. Dynamika zmian w świecie pozaakademickim, zwłaszcza w zakresie technologii informacyjnych, postawiła także Uniwersytet Śląski wobec nowych wyzwań. Wskażmy na cztery kluczowe:

Zmiana statusu wiedzy. Wraz z upowszechnieniem korzystania z Internetu łatwy stał się dostęp do niezmiernych zasobów informacji z każdej dziedziny. Wiedza nie spoczywa dziś tylko w bibliotekach akademickich czy w głowach profesorów; nie zdobywa się jej wyłącznie w tradycyjny sposób. Student nie potrzebuje już edukacji uniwersyteckiej do tego, aby zdobyć informację, do których ma dostęp za sprawą swojego telefonu. Kształcenie będzie zatem ewoluować coraz bardziej w stronę nabywania przez studentów umiejętności w selekcyjonowaniu wiedzy, stawianiu nowych problemów, pracy zespołowej.

Big data. Każda dyscyplina naukowa boryka się dziś z problemem nadmiaru informacji. Począwszy od wyników badań eksperymentalnych w fizyce czy genetyce po pełnotekstowe bazy materiałowe humanistów. Oznacza to, że wszystkie dziedziny badań będą korzystać lub już korzystają z algorytmów komputerowych. Wiedza o ich działaniu oraz funkcjonalne używanie musi stać się składnikiem kształcenia nie tylko w naukach ścisłych, ale również przyrodniczych, humanistycznych i społecznych. Istotną gałęzią humanistyki akademickiej na UŚ będzie humanistyka cyfrowa.

Indywidualizacja programów kształcenia. Uniwersytet Śląski oferuje studentom 76 kierunków studiów i oko-

ło 235 różnego typu specjalności. Mimo tego bogactwa, rzeczywistość rynku pracy zmienia się w tempie, którego nie odzwierciedlą najbardziej rozbudowane zestawy kierunków kształcenia. Modyfikujemy więc programy studiów tak, aby student w co-

raz większym stopniu mógł decydować o swoim wykształceniu. Jednostką eksperymentalną w tym zakresie jest Kolegium Indywidualnych Studiów Międzyobszarowych UŚ, gdzie studenci mogą tworzyć indywidualne programy, wybierając z całej oferty dydaktycznej uniwersytetu.

Kształcenie osobowe, tzw. kontaktowe. W obliczu depersonalizacji wiedzy za sprawą technologii informacyjnej, paradoksalnie, ogromnemu wzmocnieniu ulega najbardziej tradycyjny element kształcenia, jakim jest bezpośredni kontakt nauczyciela akademickiego i studenta. Nie zastąpi go najlepszy nawet internetowy kurs prowadzony „na odległość” przez wybitnego profesora (np. w systemie MOOC – ang. massive open online course). Praca z nauczycielem w rzeczywistym czasie i przestrzeni jest niezastępowalną formą badania wiedzy i umiejętności. Szczególnie cenną jest forma *tutoringu*, w ramach której student ma możliwość indywidualnej dyskusji z uczonym. Wobec powszechnego zwątpienia w prawdę informacji realny nauczyciel jest gwarancją wiarygodności wiedzy, którą przekazuje. Dlatego m.in. Uniwersytet Śląski nigdy nie stanie się aplikacją na smartfona.



Fot. Julia Agnieszka Szymala



Dr hab. prof. UŚ
TOMASZ PIETRZYKOWSKI

Prorektor UŚ ds. współpracy
międzynarodowej i krajowej

Przez ostatnie trzy dekady Uniwersytet Śląski, podobnie jak inne polskie uczelnie, przechodził okres koncentracji na intensywniej misji edukacyjnej. Wynikało to z konieczności nadrobienia zaległości w dziedzinie kształcenia na poziomie wyższym, sytuujących wówczas Polskę w ogonie rozwiniętych krajów Europy.

Doprowadziło to do zdecydowanego wzrostu poziomu wykształcenia, co ma skądinąd szczególne znaczenie zwłaszcza na Śląsku, podnosząc nasze szanse i potencjał modernizacyjny w obliczu wielkich wyzwań cywilizacyjnych, przed którymi stajemy, a także bardzo szybko zmieniającej się gospodarki, technologii i stylów życia.

Obecnie nasz kraj znalazł się w czołówce państw o najwyższym wskaźniku scholaryzacji. Dlatego, w kolejnych

dekadach Uniwersytetu Śląskiego niezbędne jest zwiększenie nacisku na prowadzenie badań naukowych na najwyższym światowym poziomie, które w wielu dziedzinach zostały nieco przytłoczone intensywnym i masowym kształceniem.

Najważniejszymi wyzwaniem, jakie stają przed naszą uczelnią u progu drugiego 50-lecia jej istnienia to zdobycie i utrwalenie pozycji jako jednej z wiodących instytucji badawczych w Polsce, o rozpoznawalnej marce międzynarodowej i znanych w świecie osiągnięciach naukowych przynajmniej w kilku wiodących dziedzinach wiedzy. Oznacza to konieczność znacznie silniejszego niż dotąd wyeksponowania działalności badawczej, udziału w międzynarodowych projektach

i zespołach naukowych, zwiększenia obecności w najważniejszych czasopiśmie i wydarzeniach naukowych na świecie.

Sądzę, że w dalszej perspektywie uzyskanie liczącej się pozycji w świecie nauki wymagać będzie także zacieśnienia współpracy pomiędzy śląskimi uczelniami, dlatego że na tle Europy i świata pozostajemy bardzo mocno rozproszeni – z odrębnymi uczelniami ekonomicznymi, technicznymi, medycznymi, artystycznymi, muzycznymi itd. Nadmiernie utrudnia to prowadzenie najważniejszych obecnie badań interdyscyplinarnych, a przede wszystkim ogranicza nasze szanse na efektywne konkutowanie z dużymi instytucjami naukowymi w świecie, a w coraz większej mierze także w innych ośrodkach akademickich w Polsce. Tylko w ten sposób Górną Śląsk ma szanse zdobyć na mapie nauki miejsce adekwatne do swojego potencjału gospodarczego, ludnościowego czy kulturowego.

Bardzo ważne jest przy tym utrzymanie najwyższego możliwego poziomu kształcenia, może mniej masowego, a w większym niż dotąd stopniu zindywidualizowanego, które w uniwersytecie jest i musi pozostać nierozdzielalnym dopełnieniem działalności badawczej. We współczesnym świecie nauki uznanie i prestiż zdobywa się najwyższej próby odkryciami i dokonaniem naukowymi, jednakże czyni się to przede wszystkim po to, aby gromadzoną i rozwijaną w ten sposób wiedzę przekazywać młodym adeptom nauki. I jedno, i drugie stanowi wartość, jaką Uniwersytet Śląski wnosi w życie regionu, z którego wyrosta i w którym jest zakorzeniony. Po pierwszym półwieczu swojego istnienia można także bez cienia wątpliwości powiedzieć – któremu przynosi chlubę i którego może być dumą. ■

Fot. Julia Agnieszka Szymala



Jak studenci Uniwersytetu Śląskiego włączyli się w obchody 50-lecia Uczelni i jak opiniują nowy projekt ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce?

Czas jubileuszu 50-lecia jest wyjątkowy dla całej społeczności akademickiej, w tym także dla studentów, którzy spędzają tu jeden z najważniejszych okresów w swoim życiu. Studenci Uniwersytetu Śląskiego aktywnie i z wielkim zaangażowaniem włączyli się w obchody 50-lecia swojej *Alma Mater*. Jako Samorząd Studencki, aby hucznie świętować urodziny uczelni, postanowiliśmy rozszerzyć formułę naszych sztandarowych wydarzeń. Najważniejsze inicjatywy studenckie zorganizowane w ramach jubileuszu to m.in. XI Gala Lauru Studenckiego z koncertem Kuby Badacha, gdzie nagrodziliśmy instytucje, osoby czy organizacje najbardziej zasłużone dla studentów oraz XIV Śląski Studencki Festiwal Nauki, gdzie nasze organizacje studenckie mogły pochwalić się swoimi dokonaniem i po raz kolejny udowodnić, że nauka jest fascynująca. W tym roku udało nam się również gościć Radę Studentów Parlamentu Stu-

dentów Rzeczypospolitej Polskiej, która podczas XVI posiedzenia podjęła okolicznościową uchwałę, w której zaznaczono niezwykle istotną rolę Uniwersytetu Śląskiego dla szkolnictwa wyższego oraz samorządności studenckiej w Polsce i regionie. Dodatkowo we współpracy z Centrum Obsług Studentów UŚ przygotowaliśmy szereg nowych inicjatyw studenckich specjalnie na obchody jubileuszowe. Nasi studenci m.in. mogli zaprezentować się od strony artystycznej w przeglądzie „50 Voices of UŚ” i w ramach nagrody wystąpić podczas Juwenaliów Śląskich bądź podczas koncertu plenarnego „5 dekad” na katowickim rynku.

Wierzmy, że reforma nauki i szkolnictwa wyższego jest niezbędna, by podnieść jakość kształcenia oraz zapewnić rozwój uczelni wyższych w Polsce. W naszej opinii ustawa prawo o szkolnictwie wyższym i nauce zawiera szereg prostudenckich i pro jakościowych rozwiązań z myślą o przyszłości młodego pokolenia. Parlament Studentów Rzeczypospolitej Polskiej, który jest ustawowym reprezentantem ogółu studentów w Polsce, aktywnie uczestniczył

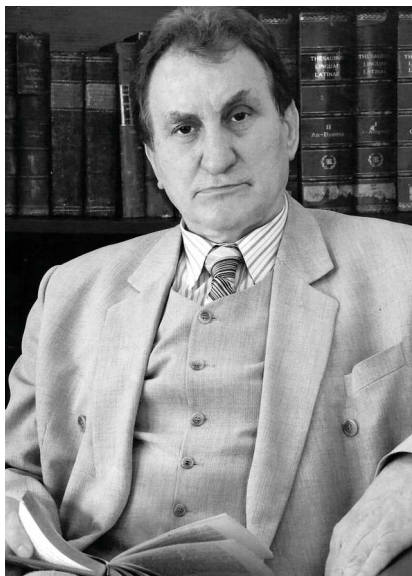
w pracach nad ustawą podczas całego procesu jej tworzenia, m.in. wielokrotnie przesyłając swoje uwagi do projektu. Opracowano i uchwalono również Studencki Projekt Założeń do Ustawy 2.0, którego znaczna część została uwzględniona w finalnym projekcie ustawy. Najważniejsze uwzględnione studenckie postulaty to m.in. uczciwy system opłat i kary finansowe dla uczelni za łamanie praw studenta, członkostwo przewodniczącego samorządu studenckiego w radzie uczelni oraz utrzymanie dotychczasowych przywilejów studenckich tj. bezpłatność studiów stacjonarnych w uczelniach publicznych czy 50% ulgi w opłatach za przejazdy publicznymi środkami komunikacji miejskiej. Dodatkowo udało się zachować *status quo* w kwestii przedstawicielstwa w senacie i kolegium elektorów uczelni, gdzie studenci i doktoranci mają stanowić minimum 20 procent tych gremiów. Konstytucja dla Nauki zwiększa autonomię uczelni oraz daje wiele szans i możliwości, które mamy nadzieję zostaną przez uczelnie należycie wykorzystane.



Fot. Julia Agnieszka Szymala



Prof. zw. dr hab.
JÓZEF BAŃKA
Profesor honorowy
Uniwersytetu Śląskiego



Panie Profesorze, jaki powinien być model zaledwie pięćdziesięcioletniego Uniwersytetu Śląskiego w rzeczywistości społecznej i kulturowej XXI wieku?

Prezentując – z punktu widzenia minionego już pięćdziesięciolecia Uniwersytetu Śląskiego – możliwe drogi jego dalszego rozwoju, ich wyrastanie z jego dotychczasowych form funkcjonowania, ich z nimi powiązanie, wreszcie ich ugruntowanie w nich, a zarazem różnicowanie się od nich, musimy rozpocząć realizację tego zamiaru od przypomnienia pojęcia „uniwersytet”

Jest to wyższa uczelnia obejmująca zwykle wydziały nauk podstawowych, niestety bez technicznych. Tymczasem już najbardziej powierzchowne spojrzenie na instytucję uniwersytecką ujawnia nierozzerwalne splecenie się nauk podstawowych z instrumentalizacją nauk technicznych. Uniwersytet musi dokonać czegoś, co go postawi na wysokości nowo zbudowanej przez człowieka rzeczywistości – cyfrowej.

Żadnej z tych kategorii nie można dokładnie ująć, jeżeli się ją rozpatruje w oderwaniu; pomyślmy chociaż o bogactwie rzeczywistości wirtualnej, która opanowała umysły młodzieży u nas studiującej – o tym „wynałazku” rozumie cyfrowego. Bo to ona, wywarłszy głę-

boki wpływ na umysłowość studentów, od pierwszej dekady XXI wieku odgrywa wcale niemałą rolę, i to nie tylko u ślepych apologetów totalnej cyfryzacji życia, która współcześnie cieszy się takim wpływem na studiującą młodzież, lecz także zdobyła wzięcie u jej zorientowanych na sposób abstrakcyjno-wirtualny nauczycieli.

Nigdy nie należy zatem tracić z oczu tego, że chodzi tu o konieczne – z cywilizacyjnego punktu widzenia – drastyczne przejście od tradycyjnego poziomu funkcjonowania nauki uniwersyteckiej do poziomu cyfrowego, jakościowo różnego. Należy przy tym jednak stale mieć na uwadze, że dotychczasowe wyizolowane rozpatrywanie roli Uniwersytetu oznacza, iż dokonujemy pewnej abstrakcji; cyfryzacja, związanie nauki z potrzebami aktualnego rozwoju kraju itd. wylaniają się wprawdzie na każdym kroku z pracy uczonego, ale nie odbywa się to według jakiegoś wyraźnie dającego się określić następstwa czasowego, lecz w istocie równocześnie. To, co przeprowadzamy tutaj, rysując perspektywę cywilizacyjnego postępu w organizacji Uniwersytetu, stanowi więc pewną abstrakcję sui generis; pierwsze zniesienie tej abstrakcji następuje już w najbliższym zetknięciu z życiem, gdy tylko przedmiotem badania uczynimy proces społecz-

nej konsumpcji osiągnięć nauki. Ta postać abstrakcji w widzeniu roli Uniwersytetu w jego naturalnym środowisku społecznym nie oznacza przeto, podobnie jak nie oznaczała w innych warunkach w przeszłości, iżby problemy tego rodzaju zostały – rzecz jasna, chwilowo – usunięte w pełni z pola widzenia, lecz jedynie, że się tu pojawiają, rzecz można, wyłącznie na obrzeżu styku nauki z praktyką, na ich horyzoncie, a ich właściwe, konkretne i całościowe zbadanie odłożone zostaje zwykle do przyszłych etapów analizy. Na razie wystąpią one – również w polu naszych rozważań – o tyle tylko, o ile stanowią jej najbliższe następstwa. W nader krótkiej przecież, jak na Uniwersytet, historii, rzucają się w oczy dwie, sprawiające wrażenie sprzecznych, tendencje. Pierwsza, towarzysząca nam od średniowiecza, by w Uniwersytecie widzieć ostoję tradycji; i druga, wiążąca postęp z pojęciem czasu trwania „całki działania”. To drugie ważne jest ze względu na czas „wybuchu”, tj. czas, po którym rozwiązanie równania różniczkowego przestaje istnieć. Obie tendencje spotykają się w punkcie asymetrii i stanowią nie lada wyzwania.

Podejmując te wyzwania, nie znamy granicy ich spełnień. Dlatego jest zasługą cywilizacji cyfrowej, że w punkcie centralnym procesu transformacji Uniwersytetu znalazł się komputer. Na razie ten „skończony”, oparty na żmudnej, przypominającej goniącego za żółwem Achillesa, operacji zero jedynekowej, a w przyszłości – „Nieskończony”, ze zharmonizowanym sposobem odczytywania zera i jedynek, jako „zera harmonicznego” będącego przez odcień barwy jednocześnie jedyneką. O syntezie rozpoznawania przez Komputer Nieskończony zera i jedynek w pojęciu „zera harmonicznego” dowiemy się lada chwila, co postawi świat na głowie – jakby powiedział Hegel – i będziemy musieli się z tym szybko uporać. Także i ten fakt stanie się przesłanką cywilizacyjną w tym przejściu Uniwersytetu od rozumu potocznego do rozumu cyfrowego. To uruchomi wyobraźnię uczonych i Uniwersytet, jeśli by temu zadaniu nie sprostał, wróciłby do stanu pierwotnego – właściwego średniowieczynie – zastój.

Kiedy mówimy, że stajemy tu być może przed nowym paradygmatem „zera harmonicznego”, to mówimy tu o „epoce skróconej”, bowiem typujemy do takiego skrótu całą przestrzeń nadchodzącej cywilizacji. A trzeba pamiętać, że taką „skróconą” przestrzenność we współczesnym świecie wirtualnym otrzymuje także podmiot zwany tu Uniwersytetem. ■





List JM Rektora Politechniki Śląskiej Prof. dr. hab. inż. Arkadiusza Mężyka

Gliwice, 9 czerwca 2018 roku

**Jego Magnificencja
Rektor Uniwersytetu Śląskiego
Prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk**

Szanowny Panie Rektorze

Powstanie Uniwersytetu Śląskiego odegrało niezwykle ważną rolę w rozwoju naszego regionu. Śląsk, do tej pory kojarzony głównie z przemysłem ciężkim i kształceniem technicznym, dzięki powstaniu Państwa Uczelni otworzył się również na nauki przyrodnicze, społeczne i humanistyczne. Środowisko akademickie Uniwersytetu, kształcąc elity intelektualne – tak bardzo potrzebne w naszym silnie uprzemysłowionym regionie – włączyło się natychmiast bardzo aktywnie w kształtowanie jego nowego oblicza, wspierając swą wiedzą i doświadcze-

niem liczne dokonujące się przemiany. Państwa jubileusz jest więc znaczącym wydarzeniem nie tylko dla społeczności akademickiej Uniwersytetu Śląskiego, ale i dla wszystkich mieszkańców Śląska.

Dziś Uniwersytet Śląski jest jedną z największych, dynamicznie rozwijających się polskich szkół wyższych. Dzięki licznej rzeszy wybitnych absolwentów, znaczącemu potencjałowi twórczemu i intelektualnemu, a także wysokiej pozycji w obszarze szkolnictwa wyższego Uniwersytet Śląski jest postrzegany jako nowoczesny ośrodek myśli naukowej, liczący się zarówno w kraju, jak i za granicą.

Z okazji doniosłego jubileuszu 50-lecia Uniwersytetu Śląskiego w imieniu własnym, Senatu Politechniki Śląskiej oraz całej społeczności akademickiej naszej uczelni chciałbym na ręce Pana Rektora złożyć serdeczne gratulacje pracownikom, studentom, absolwentom oraz wszystkim, którzy

z zaangażowaniem i pasją przez lata pracowali na sukces Uniwersytetu Śląskiego. Pragnę również złożyć życzenia dalszych sukcesów i wszelkiej pomyślności oraz satysfakcji z działalności naukowej i dydaktycznej.

Cieszę mnie, że Politechnika Śląska oraz Uniwersytet Śląski od wielu lat ściśle ze sobą współpracują, zarówno na płaszczyźnie badań, jak i kształcenia studentów, wspólnie wspierając rozwój naszego regionu. Mam nadzieję, że nadal będziemy tę współpracę rozwijać, wykorzystując bogate pokłady potencjału naukowego i badawczego, który posiadają obie Uczelnie.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

**Rektor Politechniki Śląskiej
Prof. dr hab. inż. Arkadiusz Mężyk**



Fot. Julia Agnieszka Szymala



JANUSZ KRYSZAK

NIAGARA FALLS

Edwardowi Zymanowi

Wyobraźnia jest bardziej plastyczna
niż rzeczywistość dnia przy Niagara Falls
gdzie huk spadającej wody
cichszy jest niż błysk fleszy
japońskich aparatów fotograficznych

Daleko od domu od północnych chmur
uczę się nowego języka czarnych wiewiórek
i szopów przemykających szosą tuż przed samochodem

Co mam zrobić z sobą daleka Europo
której wojny przeminęły w błysku fleszów
tylko DNA naszych kości przenosi pamięć
tamtych dawno minionych lat
ale tu myślałem że już nie wrócę do wierszy
bo Europa wydała mi się fantomem
urojonym bólem po amputacji ciała
zwłaszcza że miejscowy handlarz Indianin
dał mi w prezencie naszyjnik z ptakiem burzy
i cały mój świat zawirował
i nic już nie składało się w harmonię rzeczy
mnie otaczających mogłem tylko drzeć
w niepokoju przy wschodzie i zachodzie
obojętnego słońca niemy i pusty

Szukam więc słów dawnych poematów
by ratować pamięć amputowanego ciała
dla którego nie ma miejsca
w kraju spustoszonego bo czas już się wypełnił

Its Time i czas kończyć biesiadę
zanim odjedzie ostatni pociąg *loost train*
jak krzyczy konduktor przed odjazdem
do piekła a ja znam wszystkie jego kręgi
poznałem je w ciągu mych 70 lat
danych mi od schyłku wojny
znam imiona zmienne twarze przeszłości
i nikt mi nie wierzy gdy mówię o tym
przy stoliku z piwem a młoda kobieta
kładzie mi palec na usta
bym milczał niemy i pusty

Mam przyjaciół w tamtym amputowanym ciele
Zbyszka przesiedleńca wszystkowiedzącego Witka
i jeszcze kilku innych ale oni to ginące zdjęcie
które traci kontury bo czas ma swoje nieubłagane prawa
i pustka zawsze zwycięża i wymazuje wszystko
z kliszy pamięci
tu nad Niagarą odwracam twarz
i patrzę gdzie leniwa woda spokojnie płynie
doliną i głęboki oddech przestrzeni
czyni mnie pokornym wobec takiej zmienności świata



Rys. Anna Pawluszkiewicz

Mój letni dom dwie splecione z sobą sosny
i brzoza wielka przy domu oto mój świat
tam w Europie której język mi najbliższy
nawet gdy wczesnym ranem czytam półgłosem
łacińskie ody do Leukonoe nikt ich tutaj
nie rozumie bo bliższa im mowa wymarłych plemion
dawnych tubylców czarnych stóp i huronów
to i dobrze bo jest to zawsze jakaś ciągłość
pochłaniającego nas czasu przed nim bronimy się
przegraną zwycięzcy

oto my jesteśmy
jeszcze

chciałbym całować palce zamykające mi usta
gdy między wersami szeptu
błyska jak flesz
spadająca głowa słońca

OPOWIEŚCI BIOGRAFICZNE: POETA MA KOTA

W wiktoriańskim domu na West Hampstead
przy stole kuchennym stary poeta
tłumaczy mi z greki przewrotną opowieść
o czarach pięknej Kirke i brzmi to
jak nieznanne *cantos* Pounda
a niesforna zazwyczaj i dzika kotka *kitawa*
spogląda na nas z parapetu pod oknem
złym okiem jakby to o niej były
te dziwne frazy

Potem jeszcze długi spacer na Strandzie
aż utknęliśmy na dobre w pubie węglarzy.

*

W pracowni Feliksa Topolskiego
na stołach albumy i wielojęzyczne pisma
otwarte zawsze na stronach z pracami mistrza
W dniu osiemdziesiątych urodzin artysty
pijemy czerwone wino a śmiech
młodych kobiet otaczających stoły
unosi nas wysoko ponad przeszła mostu Waterloo
tylko *kubus* zaprzyjaźniony kot poety z sąsiedniej arkady
leżąc na wyliniałej kanapie mruczy sceptycznie
na co i komu ta papierowa chwała.

*

Przy Keewatin Ave 263
nie słycać ciężkiego oddechu jeziora Ontario
tylko tłusty czarny kot *jasper two*
ma przekrwione oczy i sroży się na mój widok

a ciałem jego wstrząsają nerwowe dreszcze
gdy mówię doń w nieznanym mu języku

Ta melodia wzajemnej obcości
wznosi się wysoko by nagle
zapaść się w milczenie.

ŻYCIE CODZIENNE

Życie codzienne mało daje satysfakcji.
Młoda kobieta nieopodal o wczesnej godzinie rannej
(dopiero dochodzi szósta) ukrywa rozczarowanie
pod ostrym makijażem, bo jeszcze w mięśniach
odzywa się pamięć źle przespanej nocy,
a wysoko uniesiona głowa
wymyka się objęciom lustra.

Nieco dalej stary człowiek spod przymkniętych powiek
śledzi obojętnie lot wielkiego owada
czasu i lęka się burzy wśród wysokich drzew
wokół domu. Wolałby siedzieć w fotelu
z książką na lekko drżących kolanach,
ale wybujała trawa w ogrodzie oczekuje kosiarki,
a dzika róża darmo broni się przed mszycami.

Nieplewiony świat urąga słabościom podeszłego wieku.

Kamionki, czerwiec 2017

PRZENIESIONY ŚWIATŁAMI AUT W INNĄ STRONĘ CZASU

Na krawędzi chodnika
przeniesiony światłami mijających aut
w inną stronę czasu

Ta pewność słuchu że dźwięki które do nas docierają
są właśnie tymi na które tyle lat
czekaliśmy z nadzieją
w powietrzu bez oparcia

pospiesz się mówią zielone światła

Jak przejść na drugą stronę
po wąskiej kładce czasu bez poręczy
gdy wszystko pod nogami burzy się i pieni

pospiesz się mówią zielone światła

W ciasnym przedsionku starości
zatraskują się wszystkie drzwi obrazów
ona ma 19 lat i pragnie mężczyzny
czego nie może jej dać chłopiec
w krótkich spodenkach przepasanych sznurkiem
przytłoczony rozgrzanym do białości powietrzem
które drży gdy chłopiec łapie w dłonie jego drobiny
jak miniaturowe obrazy

pospiesz się mówią zielone światła

Oto pewność słuchu co niczego nie rejestruje
samotne drzewo zgarnia pod siebie wychudzony cień
i wszystkie głosy milkną jak ptaki
w listowiu schowane przed deszczem
pospiesz się mówią ale czyjeś dłonie
zamykają mi usta



Rys. Anna Pawluskiewicz

(fragmenty)

przełożył

MARIAN KISIEL

Pisarz to osoba, której specjalnością jest pisanie. Są niebywali mistrzowie tego fachu.

Artysta jest osobą, której „specjalnością” jest głębokie, wewnętrznie przeżyte doznanie egzystencji i, w koniecznym następstwie, ucieleśnienie jej w sztuce.

* * *

Nie lubię literatury rzymskiej. Namiętnie, entuzjastycznie kocham literaturę grecką. Dlatego, że nie lubię pisarstwa, a kocham sztukę. Wszyscy poeci rzymscy są pisarzami, doskonałymi mistrzami słowa. Czytając, widzimy i zdumiewamy się, jak dobrze jest to zrobione! A u Hellenów? Nawet jeśli posiadli tę zdumiewającą umiejętność, nie dostrzegamy jej, ponieważ rzecz nie w niej, ale w wewnętrznym ogniu, którym są wypełnieni.

Najnowsza literatura to rosyjska i francuska. U nas – sztuka, u Francuzów – pisarstwo. I jeszcze jakie pisarstwo! Gdzie nam do nich! A przecież powinniśmy być dumni z tego, że go nie mamy.

Są jednak wyjątki i u nas, i u nich. Elita naszej starszej moderny: Mereżkowski, Wiaczesław Iwanow, Briusow to najbardziej typowi pisarze. Francuzi zaś mają wspanialszych artystów: Baudelaire, Verlaine. Powiedziałbym nawet ze szczególnym entuzjazmem: również Maupassant. Ale i u niego – jakież upadki na mieliznach pisarstwa! Opowieść o tym, jak karmiąca kobieta rozpacza w wagonie, że jej pierś pęka od mleka. Jakby nie wiedział, jak łatwo jest odciągnąć u siebie mleko. I to robotnik oferuje jej swoje usługi, wysysa mleko, a kiedy ona mu dziękuje, odpowiada, że to on powinien jej podziękować, ponieważ nie jadł od dwóch dni.

Cóż to za literatura!

* * *

Jakim nieokrzesanym samoukiem wydaje się być Homer przy Wergiliuszu! Jak niechlujne są czasem jego wiersze, jak nieprzekonujące rytmy, jak prymitywne aliteracje, jak niepotrzebne poślizgnięcia, a nawet banalne rymy! Inaczej w wypadku Wergiliusza: perfekcyjny krój wersetu, wspaniała eufonia, rytmy dokładnie pasujące do treści, cudowna aliteracja...

A jednak to śmieszne, by łączyć ich razem. Olbrzym Homer, a potem do kolan niesięgający mu Wergiliusz. Kiedy czytam Homera, wokół mnie zaczyna szaleć płonący żywioł życia, czuję młodzieńczy wigor w każdym mięśniu, nie boję się żadnych lęków i biedy życia, przede mną w cudownym pięknie powstają nieznaną trosk bogowie – symbole otaczających nas mocy.

I czuję, że Homer śpiewa, ponieważ nie może nie śpiewać, ponieważ płonie dusza i płonącymi językami wydzierza się na zewnątrz. Lew Tołstoj pisał o nim do Feta: „ten diabeł i śpiewa, i krzyczy całą pierśią, i nigdy mu do głowy nie przyjdzie, że ktoś go będzie słuchał”.

Kiedy czytam *Eneidę* Wergiliusza, widzę z wielkim mistrzostwem opowiedzianą bajeczkę o przygodach fikcyjnych bohaterów, o żywiole bogów, w których ani Wergiliusz nie wierzy, ani my. Tak samo jest z *Jerozolimą wyzwoloną* Torquata Tassa. Nawet zabawne to, lecz, w istocie, jakoś niezręczne: po co ludzie tracą czas na bajki! A u Homera po prostu zapominasz, że opowiada on bajki, ponieważ nie one są ważne, a to, czego nie ma śladu ani u Wergiliusza, ani u Tassa.

* * *

PRAWDZIWE

Naprzeciw bufetu na niewielkiej estradzie grała orkiestra. Zwyczajna orkiestra w restauracji. Dwoje skrzypiec, flet, wiolonczela, kontrabas i pianino. Goście głośno rozmawiali przy stolikach, uśmiechniętymi ustami szeptali do uszu kobiet wyznania, nikt nie słuchał muzyki. A orkiestra grała słodkie walce i zadziorne potpourri, i od tych dźwięków ludzie, niczego nie dostrzegając, stawali się weseli i pijani, jak od wina.

Siedziałem w kącie przy szklance wina, zamyśliłem się. I nagle słyszę, że coś radośnie śpiewa w duszy, jakoś zrobiło się dobrze. Skąd to? Wiolonczelista grał solo z akompaniamentem pianina. Przez liście palmy widziałem jego wielką głowę w otoczeniu lekko kręconych włosów, ogoloną, dużą twarz i pince-nez. Za nim, na blacie bufetu, różowiły się pęczki rzodkiewek, a na półmisku leżały pomarańczowe raki. Grał bardzo dobrze, i to od jego muzyki tak wyraźnie zaśpiewało mi w duszy. Zrobiło mi się dziwnie. Jak to? Nikt go nie słyszy? Przy stolikach śmiało się, głośno rozmawiano.

Wpatrywałem się w muzyka. Dla kogo on gra? Kiedy widzi, że nikt go nie słyszy, jak może tak grać? A on odwrócił głowę do akompaniatora i coś niecierpliwie mu powiedział, widocznie, że ten nie tak mu akompaniuje, jak trzeba. Boże, czy to nie wszystko jedno? Przecież nikt tego nie słucha.

Skończył. I nawet nie rzucił spojrzeniem na publiczność. Nawet kątem oka nie zechciał rzucić, czy ktoś go może jednak słuchał. Zdjął nuty ze stojaka i spokojnie zaczął rozmawiać z pianistą.



Chciałem kiwnąć głową w jego stronę, lecz on na mnie nie patrzył.

Witaj, kolego! Osiągnąłeś więcej niż to, do czego dąży artysta. Wykonałeś swoją pracę, dałeś ludziom to, co chciałeś im dać. I spokojnie odszedłeś. I gdybym nieoczekiwanie zaklaskał, to z niedowierzaniem spojrziałbyś na mnie i zdumiał się.

Wiosna, 1913, Kijów.

* * *

„Chcesz być wielkim, umiej się streszczać.
Mistrzostwo jest w ograniczeniu.”

Goethe powiedział to w jednym ze swoich sonetów. Puszkina w cudowny sposób władał tą umiejętnością, zdolnością „ograniczenia” aż do skrajności. [...]

* * *

[...] Jest to rzeczywiście charakterystyczna właściwość Puszkina, że nie lubił obrazów i porównań. Stąd jest jakoś szczególnie prosty i stąd też szczególnie tajemnicza i porażająca jest jego siła. Czasami wydaje mi się, że obraz jest tylko substytutem prawdziwej poezji, że tam, gdzie poeta nie ma dość siły, by po prostu wyrazić swoją myśl, ucieka się do obrazu. Ten pogląd jest, oczywiście, herezją i nie jest trudno rzucić mu wyzwanie. Wtedy, między innymi, załamie się cała poezja Wschodu. Nie ulega wszelako wątpliwości, że obraz otwiera szczególną przestrzeń dla wszelkiego rodzaju pretensjonalności i kręactwa.

* * *

Dlaczego oryginalny artysta powinien starać się być oryginalny? Michelangelo. Dusza przepelniona niespotykanymi, nigdy przez nikogo nieucieleśnionymi obrazami. Gołobrody, nagi Chrystus z torsem i potwornymi mięśniami Herkulesa. Bogurodzica ze zwłokami syna na kolanach jako delikatna szesnastoletnia dziewczynka. Potężna męska figura *Nocy* z lekimi stożkami kobiecych piersi. Jednego tylko potrzeba: odwagi bycia sobą.

* * *

– Epatiez de bourgeois! – Zaimponować mieszcuchowi! Jakże to jest charakterystyczne dla przeciętnego talentu i dla beztalencja! Czy Michelangelo zrobiłby choćby jedną linię ryłcem, czy Beethoven napisałby choćby jedną nutę, żeby komuś „zaimponować”?

* * *

Nie wiem, czy zostało to gdzieś zapisane. Usłyszałem to od ludzi, którzy znali artystę W. I. Surikowa. Jego obraz *Poranek przed stracaniem strzelców*. Brzask poranka. Miejsce egzekucji. Na wozach strzelcy przywiezieni na egzekucję z posiniałymi od tortur twarzami, z palącymi się woskowymi świecami w dłoniach. Żołnierze przemienieni. Car Piotr na koniu dogląda przygotowań do egzekucji. Szubienica nakreślona jest niewyraźnie.

Kiedy Surikow kończył już obraz, zawitał do jego pracowni Repin. Popatrzył.

– Powiesiłby Pan choć jednego strzelca!

Surikow posłuchał rady, powiesił. I obraz w trzech czwartych... utracił swoją grozę. I Surikow usunął powieszzonego.

* * *

Émile Zola. *Brzuch Paryża*, rozdział 1. Wystawa sklepowa z kielbasami. „Ustawiono ją na posłaniu z cienkich skrawków niebieskiego papieru, miejscami liście paproci, misternie ułożone, zmieniały niektóre talerze w bukiety okolone zielenią. Było to mnóstwo smacznych rzeczy, soczystych, tłustych rzeczy. Najpierw, na samym dole, przy lustrze, znajdowały się w rzędzie stoiki z mieloną wieprzowiną, na przemian ze słojami musztardy. Powyżej następowały golonki o pocziwym, okrągłym obliczu, żółtym od tartej bułki, z kostką zakończoną zielonym pomponem. Po czym szły główne dania: krwiste, nadziewane ozory sztrasburskie, czerwone i lśniące, obok białych parówek i nówek wieprzowych, czarne kiszki zwinięte jak dobrotliwe żmije, rzucone na stos parami, kiszki wieprzowe, tryskające zdrowiem, kielbasy jak grzbiety kantorów w srebrnych kapach...” [przekł. Nina Gubrynowicz. PIW, Warszawa 1957, s. 36]. I tak długo jeszcze, i długo! Więcej nawet! Wciąż tak samo! I pomyśleć, że jeszcze parę dekad temu można to było czytać całkiem serio i nie widzieć w tym największej kpiny z siebie!

* * *

Jak łatwo było tak pisać! Weź zeszyt, stań przed witryną sklepu i pisz! Opisz wygląd mężczyzny: miał jasne, wysokie czoło, gęste brwi wisały nad czarnymi, zamy-



Rys. Bogna Skwara



Rys. Bogna Skwara

ślonymi oczami, nos... usta... włosy... I tak dalej. Albo meble w pokoju: pośrodku stał stół przykryty różowym obrusem z frędzlami; wokół stołu było ustawionych pięć lub sześć krzeseł... Komoda w kącie... W drugim kącie... I tak dalej. Ale jeśli potrzebujesz czegoś zupełnie innego, zamknij oczy i pomyśl, odpowiedz sobie: co najbardziej uderzyło cię w tej twarzy lub umeblowaniu? I tymi dwoma, trzema szczegółami – ale szczegółami charakterystycznymi, wyraźnymi – opisz to wszystko. I wystarczy.

* * *

Bunin. Rok 1915. W bieżących almanachach i czasopismach od czasu do czasu pojawiają się opowiadania Iwana Bunina. Każde z nich najzupełniej słusznie budzi wielki entuzjazm krytyki i nazywane jest arcydziełem. I rzeczywiście są prawdziwymi arcydziełami. Ale co dziwne: nie można nic o tych arcydziełach powiedzieć. O każdej, napisanej bez smaku i niearcydziennej rzeczy Leonida Andrejewa można rozmawiać dwie lub trzy godziny, o *Wojnie i pokoju* – cały wieczór, o *Fauście* – dziesiątki wieczorów. A tutaj – czy to żart: „arcydzieło”! I nic więcej. Powszechnym tonem recenzji krytycznej są słowa: „Na pierwszym miejscu, co do tego nie ma wątpliwości, trzeba umieścić opowiadanie Bunina, które jest prawdziwym arcydziełem. Naśladują je...” I wobec tych naśladowców krytyk ożywia się, spiera z nimi, emocjonuje... Jak przed umieszczoną przy wejściu do nieba ikoną: każdy żegna się z szacunkiem – „arcydzieło”! Czyny to względem ikony z lekkim sercem! I idzie dalej...

* * *

„Kiedy opisujesz mężczyznę, kobietę, miejsce, myśl zawsze o kimś, o czymś rzeczywistym” – Stendhal.

To jest prawdziwie głęboka obserwacja. Trzeba uporczywie, nie ustając, szukać właściwej osoby – na ulicy, w teatrze, w tramwaju, w wagonie kolejowym, aż znajdzie się taka, która idealnie będzie pasować do wyobrażonej przez siebie twarzy. A potem musisz do końca trzymać się tej osoby. I ona odkryje przed tobą wiele nieoczekiwanych i pięknych detali, które ożywią wymyślony przez siebie i nierozpoznany obraz. Tak samo jest z krajobrazem. Siła Lwa Tołstoja polega na tym, że on zawsze tak robił.

* * *

Należy zakończyć opis natury, zanim czytelnik zauważy, że autor ją opisuje.

* * *

„Iwan Piotrowicz podszedł do stołu, był bardzo wesoły”.
Przeczytawszy coś takiego, wszyscy czują się zobowiązani udawać idiotę i pytają:

– Kto był wesoły? Stół?

Homer wcale nie wstydził się mówić: „uciekł”, ponieważ z kontekstu rozumiano o kim mowa, nawet jeśli w poprzednim zdaniu sprawa dotyczyła słupa.

* * *

Modlitwa pisarza: „Panie, ratuj mnie przed korektorem, z zecerem poradzę sobie sam”.
Bez względu na to, jak sobie poradzisz z korektorem, to i tak zecer na końcu zamiast „koniektura” wstawi „koniunktura”, zamiast „interpelacja” – „interpolacja”, zamiast „cezura” – „cenzura”.

* * *

Co pięć lat ponownie czytaj *Fausta* Goethego. Jeśli nie będziesz zaskoczony tym, ile nowych rzeczy zostanie ci objawionych, i nie będziesz zdziwiony tym, że wcześniej tego nie zauważyłeś – to będzie znaczyć, że zatrzymałeś się w swoim rozwoju.

* * *

Oczy są zwierciadłem duszy. Co za bzdury! Oczy to zwodnicza maska, oczy to ekrany, które ukrywają duszę. Lustro duszy to usta. Jeśli chcecie poznać duszę człowieka, spójrzcie na jego usta. Cudowne, jasne oczy i drapieżne usta. Dziewiczo niewinne oczy i lubieżne wargi. Przyjazne i radosne oczy i posłusznie zaciśnięte usta, z obniżonymi kącikami w rogu. Strzeżcie się oczu! Oczy tak często mamią ludzi. Usta nie kłamią.

* * *

Rozumną twarz poznaje się u człowieka nie dlatego, że jest inteligentny, ale dlatego, że dużo myśli. Znam kilka kobiet: mają bardzo dobre, zamyślane, inteligentne twarze, ale są głupie; niemniej traktują życie poważnie i myślą w dobrej

wierze. Znałem jednego krytyka. Rzadko można było spotkać tak głupiego człowieka. Ale sumiennie wypuszczał swoje wróble z mózgu, choć jego twarz naprawdę była inteligentna. U Kartezjusza i Kanta oblicza są całkowicie głupie. Być może ich myśli były całkiem niepoważne.

* * *

– O czym myślisz?

Dobra odpowiedź na to pytanie może nastąpić dopiero po pewnym czasie. Kiedy człowiek „zastanawia się”, pracuje podświadomość, a jej wyniki jeszcze nie doprowadziły go do świadomości. Zewnętrzny wizerunek człowieka w tym czasie jest taki: podniesione brwi, wylupiate oczy i spoglądanie w przestrzeń. Żadnej myśli. Kiedy człowiek „myśli”, widzimy inny obraz: brwi są ściągnięte, spojrzenie utkwione w jeden punkt. Wtedy może natychmiast odpowiedzieć, o czym myśli.

* * *

Wspomnienie zawsze upiększa bliską nam osobę. Tak właśnie powinien być namalowany portret.

* * *

Nie ma nic bardziej okropnego i nic piękniejszego niż starcze twarze. I nic bardziej prawdziwszego. Z młodej, jędrnej twarzy bez śladu znikają zmarszczki, które są przenoszone przez myśli i nastrój osoby. Na starej twarzy życie duszy jest przecinane przez wszystkim widoczną, nieusuwalną pieczęć.

* * *

Rada dla hipokrytów. Udajesz, że jesteś entuzjastą, sympatyczną osobą, dobrym towarzyszem. W samotności i w gronie rodziny nie musisz udawać, więc twoja twarz przybiera wyraz paskudnego i okropnego egoisty, który myśli tylko o sobie. I na twojej twarzy rysują się pewne znaki, które stają się bardziej widoczne w miejscach publicznych. Hipokryty i samotnika. Wtedy twoja maska staje się wyrazistsza.

* * *

Kiedy człowiek ma wielki żal, jego nadmiar już nie wpływa na duszę. Ale mała radość też nie daje duszy niczego. Bukiet kwiatów lub konfitura do herbaty są skazane na odrzucenie. Ale to jest dziwne: kiedy człowiek bardzo się cieszy, chce dodać do swej radości jeszcze więcej: kwiaty, smaczne jedzenie, wino, spacer.

* * *

Ludzie, którzy boją się brudu zazwyczaj są nieczyści. Bardzo długo się temu dziwiłem, ale potem zrozumiałem, że nie może być inaczej: ktoś, kto boi się brudu, łatwiej nim obrasta.

* * *

Im bardziej szare i jednostajne życie, tym jaśniejsze i kolorowe sny. Wiedzą o tym mieszkańcy więzień.

* * *

Ludzka głupota ma własne niewzruszone prawa.

– Tramwaj jedzie tylko do Arbatu!

Z co najmniej dziesięciu osób jedna z pewnością zapyta:

– A dalej nie jedzie?

* * *

W psychologii kłamstwa są pewne prawa. Kiedy powiemy do początkującego pisarza: „Naśladuje pan takiego i takiego”, on odpowie z niezmienną stanowczością: – Mówiono mi już o tym. Ale proszę zapamiętać, że kiedy pisałem swoje dzieło, nie czytałem jeszcze tego pisarza.

Jeden młody człowiek, który dał mi do przeczytania swoje opowiadanie, i w manierze, i w planie akcji do absurdu naśladujące *Martwe dusze*, zapewniał mnie, że nie czytał jeszcze *Martwych dusz*.

* * *

Homer. Bogowie siedzą, rozmawiają, piją nektar, pocą się przy ciężkiej pracy. Nawet ich chód jest jak ludzi. Bogowie, jak mężczyźni, „chodzą szeroko”. Bogi-



Rys. Bogna Skwara



Rys. Bogna Skwara

nie, jak kobiety, drobiazgi nogami, mają „chód nieśmiałych gołębi”. Do czegoż jest podobna ludzka wyobraźnia! Wszędzie religie przedstawiają Boga lub bogów pod postacią ludzi, zwierząt lub ich kombinacji. Dlaczego nie mogły stworzyć czegoś równie pięknego, wspaniałego, uduchowionego, prawdziwego i nieprzypominającego żywych stworzeń? Najgenialniejszy artysta mógłby oszaleć realizując to zadanie.

* * *

Oczekujemy przyszłości, wspominamy przeszłość. Kiedy nauczymy się cenić terażniejszość?

* * *

Najtrudniejsze w nauce szczęścia jest doświadczyć terażniejszości jako tego, co minęło.

* * *

Każde dwuletnie dziecko jest geniuszem, każde piętnastoletnie łobuzem.

* * *

Do czego zdolny jest najbardziej inteligentny człowiek, kiedy zraniona została jego duma!

* * *

Jeśli chcesz docenić człowieka, musisz wcześniej odrzucić jego dumę i próżność. Inaczej, być może, nie będzie on dla ciebie ani bohaterem, ani człowiekiem pełnym wyrzeczeń, ani mędrcom.

* * *

Z dziennika. 13 lutego 1923 r. – Patrę na swoje życie z wdzięcznością. Los był dla mnie życzliwy, nawet bardziej – zepsuł mnie. I najcenniejszy dar: dał mi możliwość poznania swojego miejsca i nieprzeceniania siebie. Dlatego prawie zupełnie pozbawiony byłem najcięższego cierpienia – zazdrości i doświadczenia samolubstwa. Patrę w przyszłość: czeka mnie wiele radości. Kończę powieść, wezmę się za pracę nad Puszkinem.

I nagle zauważyłem w sobie, że jeszcze na coś czekam z radością. Na co dokładnie?

Na śmierć!

Jak dziwnie. Nigdy nie bałem się śmierci, lęku przed śmiercią nigdy nie mogłem zrozumieć. Ale ostatnio poczułem, że czekam na nią, jak na wielkie, podnoszące na duchu, olśniewająco jasne zdarzenie. Wcale nie w sensie pozbycia się ciężaru życia – kocham życie. Sama z siebie śmierć świeci w mrocznej dali przyszłości jasnym punktem.

A niedawno zauważyłem w sobie jeszcze coś. Człowiek umarł niespodzianie – na zawał serca lub wpadł pod tramwaj.

– Dobrze jest tak umrzeć – bez cierpienia, nie czekając na zbliżającą się śmierć!

Nie, moim zdaniem, wcale nie jest dobrze. Śmiertelne męczarnie... Czy są okropne? A może z nieoczekiwaną śmiercią jesteśmy pozbawieni doświadczenia takiego szczęścia, przed którym wszystkie śmiertelne męczarnie są nic nie warte?

* * *

Z dziennika. 10 grudnia 1927 r. Od lekarza. – Było to dla mnie całkowite zaskoczenie: serce powiększone o trzy centymetry, stwardnienie i powiększenie aorty, ogólna arterioskleroza. A ja uważałem się za całkiem zdrowego! Chociaż już od trzech miesięcy nawet przy zwykłym chodzeniu, a nie tylko przy wchodzeniu po schodach, „czuję” swoje serce. Ale byłem bardzo dumny, że nikt nie daje mi tyle lat, ile mam, z powodu braku siwych włosów, siły fizycznej, ogólnej żywotności. Pamiętam, że kilka lat temu staliśmy rozmawiając w Akademii Sztuk Pięknych, nieżyjący już M.O. Gerszenon, prof. I. I. Gliwenko i ja. Gerszenon powiedział, że na starość coraz częściej ma skłonność do pisanja aforyzmami i bardzo krótkimi, zamkniętymi zdaniem; zgodził się z tym również Gliwenko. Powiedziałem, że u siebie zauważyłem to samo. Gliwenko spojrzał na mnie z pewnym wyrzutem:

– Cóż, jeszcze za wcześnie, żeby pan o tym mówił.

Zagotowałem się.

– Czy mogę zapytać, ile pan ma lat?

Gliwenko:

– Pięćdziesiąt trzy.

Gerszenon:

– Pięćdziesiąt pięć.

– Cóż, a ja mam pięćdziesiąt siedem lat!

A teraz – co? A więc – pierwszy dzwonek? Dziwne: w ogóle mnie to nie niepokoi i nie przeraża. Nigdy nie mogłem zrozumieć lęku przed śmiercią, chociaż coraz bardziej kochałem życie. I tylko jedno jest nieprzyjemne: z taką chorobą można umrzeć nieoczekiwanie. Nie chcę tego. Chciałbym podejść do śmierci powoli, nawet z męczarnią. Odrętwiały czekam na to, jak na coś bezzmiernie słodkiego i wspaniałego. A już na pewno, absolutnie, nie chcę umrzeć z rozmiękczoną i rozpadającą się psychiką. Ale co innego jest gorzkie. Wydaje mi się, że dopiero teraz nauczyłem się myśleć, pisać, żyć, obcować z ludźmi. Teraz by można właśnie otworzyć się na życie i pracę. Ale tętnice w mózgu są już zwapniałe.

* * *

Kiedyś była pełna wdzięku, bardzo piękna. I utalentowana. Dziwnie było teraz praterć na nią i myśleć, że jeszcze tak niedawno, pięć lat temu, można z nią było rozmawiać, jak z równą sobie. Starzejąca się, pomarszczona twarz, przyćmione oczy – i pyta głosem, jakim mówią bardzo bojące się małe dzieci:

– Czy to prawda, że wkrótce będzie wojna?

– Kto to może wiedzieć!

– Bardzo się martwię. Ostatnio czytałam w gazetach, że wydaliśmy maski przeciwgazowe, a oni to przemilczeli.

Jej córka, uśmiechając się, pyta:

– Kim oni są?

– No... Polska, Anglia... Rumunia.

– Jaka może być odpowiedź na maski przeciwgazowe?

Wszyscy się śmieją, a ona wzdycha smutno:

– Piszą, że arcybiskup Canterbury jest za nami, ale papież przeciwko niemu. Teraz cała moja nadzieja w ojcu.

– Mamo, dlaczego w tatusiu?

– On jest także przeciwko wojnie.

– Mama ma nadzieję w tatusiu, tatuś w mamie.

Znowu śmiech, a ona patrzy na śmiejących się z zakłopotanym półuśmiechem.

Ma tysiąc różnych starczych chorób: rozedmę płuc, zapalenie mięśnia sercowego, chorą wątrobę, zapalenie okrężnicy. Postarzała się, zgłupiała od trosk i bezsennych nocy. Córka opiekuje się nią z wielkim oddaniem. Stara kobieta jest wobec niej pełna gniewu i pragnie ją zranić. Pyta mnie:

– Nie może mnie pan umieścić w szpitalu?

– W szpitalu? Po co to pani?

– Ja tutaj wszystkich krępuję. Wiera tylko myśli o tym, jak się mnie pozbyć.

– Mamo, co ty mówisz!

– Tak, ja dobrze wiem. Czuję, że jestem dla was ciężarem. Jak pan myśli, może powinnam napisać bezpośrednio do Siemaszki? Mówią, że jest dobrym człowiekiem...

Cały czas gani córkę, że mało się o nią troszczy, że nie kocha matki. Jeśli córka wyjdzie przejść się na pół godziny, stara kobieta robi jej wyrzuty, że ją „zostawiła”. W nocy nagle woła śpiącą córkę:

– Wiera! Wiera!

– Słucham, mamo?

– J-a n-i-e ś-p-i-ę!

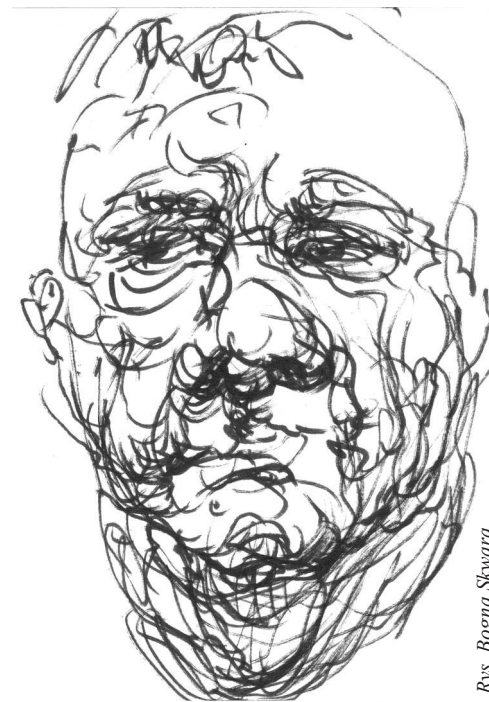
Jak, powiada, możesz spać spokojnie, kiedy ja nie śpię. I często mówi do córki:

– Kiedy umrę, sumienie będzie cię dręczyło, że byłaś taką egoistką. Będę przychodziła do ciebie we śnie. A córka powiedziała mi:

– Cały czas czuję się najgorszą zbrodniarką i nie mogę sobie przetłumaczyć, że u mamy bierze się to tylko ze starczej demencji! Pamiętam przecież, że zawsze była taka kochająca i oddana.

A wszyscy z przerażeniem powtarzali:

– Nie daj Boże nikomu dożyć takiej starości!



Rys. Bogna Skwarra

1926

* * *

Z dziennika. 11 lutego 1929 r. – Ciągle powracam do tej samej myśli. Już umarł Juzyn, umarł Sologub. Ale profesor Manuilow wciąż jeszcze żyje. Żywy, odmawiający śmierci trup, już nie poznający swoich bliskich. Maria Aleksandrowna, wdowa po moim wujku ze strony matki, nie wstaje już od czterech lat, na poły sparaliżowana. Najwyższe duchowe potrzeby całkowicie umarły, nie dotrzymuje moczu i kału, przez cały czas z niej cieknie; smród i mokro. Córka rozpaczliwie była nią zmęczona.

Chcę krzyczeć, wyć: dajcie mi prawo do swobodnego rozporządzania sobą! Zaakceptujcie moją wolę, wypełnijcie ją. Jeśli nie nadają się do życia, jeśli moja duchowa istota zacznie się rozpadać, wy, przyjaciele, wy, którzy mnie kochacie, udowodnijcie czynem, że jesteście moimi przyjaciółmi i kochacie mnie. Zróbcie tak,

Rys. Bogna Skwara



żebym mógł z godnością pożegnać się z życiem, jeśli sam będę pozbawiony możliwości uczynienia tego!

* * *

- Babko, czas umierać!
- Ojczulku, chciałabym, ale przecież mam duszę. Wypluję ją?

* * *

Dr X. Umierała jego matka – bardzo ją kochał. Paraliż, obrzęk płuc, głębokie odleżyny, całkowita degradacja zdolności umysłowych. Oddychające zwłoki.

Siostra Miłosierdzia:

- Puls spada, wstrzyknąć kamforę?
- Wstrzyknij morfinę.

Siostra ze zdziwieniem otworzyła oczy:

- Morfina?

Powtórzył mocno i dobitnie:

- Wstrzyknij morfinę!

Matka umarła.

Mam do niego wielki szacunek, miłość i nadzieję. I kiedyś mu powiedziałem:

– Największy mój strach to życie z paraliżem. A w mojej rodzinie, zarówno ze strony ojca, jak i matki, wielu umarło na skutek udaru. Jeśli zostaną sparaliżowane, to proszę mi obiecać... Dobrze?

Spojrzelśmy sobie w oczy, z milczącą obietnicą opuścił powieki.

* * *

Ze wszystkiego to jest najważniejsze: człowiekowi powinna być dana możliwość godnego spotkania ze śmiercią.

* * *

Z dziennika. – 18 lipca 1929 r. Koktebel. – Ostatni autoportret Rembrandta. W jego biografii przeczytałem opis portretu: „zgarbiony, siwy, wychudzony, wydaje się być cieniem dawnego atlety – Rembrandta”. Miał wtedy 61 lat. David Hume pisał w swojej autobiografii: „Uważam, że człowiek umierający w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, tylko uwalnia się od kilkuletniego niedołęstwa – dlaczego więc tak trudno jest znaleźć kogoś, kto byłby przywiązany do życia mniej niż ja”.

Tak, to wszystko robi ogromne wrażenie. Mam sześćdziesiąt trzy lata. Ale wciąż nie czuję zbliżającej się śmierci, jestem wesoły i silny. Mam ogromne pragnienie pracy. Gram w tenisa. Czuję się na tyle młody, że czasami przemyka mi przez myśl: czy to nie pomyłka, że w moim paszporcie zapisano rok urodzenia 1867, i że ci zgrzybiali, skuleni, autentyczni starcy są moimi rówieśnikami?

A jednak wszystko to jest już bardzo blisko i przede mną. Wczoraj spacerowałem po swoim ogrodzie, przywiązywałem winorośle do tyczek i myślałem: niebawem, już niedługo przyjdzie mi żyć „na emeryturze” – na duchowej emeryturze, z „zasłużonym prawem do odpoczynku”. I nie mogłem sobie wyobrazić, jak

Rys. Bogna Skwara



będę wtedy żył? Wygrzewając się na słońcu, wspominając przeszłość i chodząc po ogrodzie, drżącymi dłońmi podwiązując winorośl. I nic więcej. Co za absurd!

* * *

I umrzeć wolny, dnia słonecznego,
Pachnącą śmiercią skoszonej trawy.

(Moje)

* * *

Umierał jeden mój znajomy, człowiek głęboko wierzący. Poszedłem go odwiedzić. Schudł, urosła mu siwa broda. Żona poświęciła mu wszystkie siły. Miała bladą twarz z powodu bezsennych nocy i trosk. Coś mi opowiadała, uśmiechając się. On wrogo spojrział na nią i powiedział:

– Proszę! Ja umieram, a ona się śmieje!

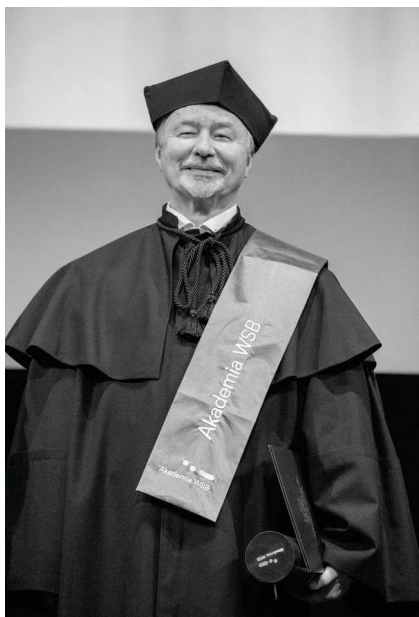
* * *

9 września 1940 r. Ciśnienie krwi stale rośnie, lekarstwo niewiele daje. Teraz mam 210. Nie mogę pracować fizycznie, co tak mnie zawsze cieszyło. Niewiele i z wysiłkiem mogę pracować umysłowo: teraz właśnie zaczęła mnie boleć głowa. Cóż! Siedemdziesiąt trzy lata. Czas i honor to wiedzieć. Zdumiewające, jak w znikomym stopniu przeraża mnie śmierć!

Ostatnim pragnieniem Aleksandra było, żeby w dzień jego śmierci co roku odbywały się gry dziecięce. Ja nie mam do tego prawa, ponieważ dla dzieci niczego nie zrobiłem. Lecz chciałbym, aby w czasie mojej śmierci rozlegał się dziecięcy śmiech, żeby wszyscy się wkoło uśmiechali, żeby nie było nastroju żałobnego, żeby ludzie nie chodzili ze zwieszonymi nosami, nie wdychali z żalem. Niech nie stoi nade mną Schubertowski *Wilder Knochenmann*, „dziki, kościsty człowiek” z kosą. Niech płacze dobroduszny Thanatos, brat bliźniak Snu.

■

Wikentij Wieriesajew, właśc. Wikentij Smidowicz, urodził się 4/16 stycznia 1867 w Tule, zmarł 3 czerwca 1945 w Moskwie. Rosyjski pisarz i lekarz polskiego pochodzenia. W Polsce znany jest m.in. z powieści *Spowiedź lekarza* (1902), *Siostry* (1933), ze szkiców *Puszkina żywy* (1978) i *Wspomnień* (1951). *Notatki dla siebie* to zbiór uwag o sztuce tworzenia, relacjach między pisarstwem i sztuką, o życiu i jego wyobrażeniach, a także o starości i umieraniu. Ten *quasi-dziennik*, jakże charakterystyczny dla kultury modernizmu, ma swój genologiczny odpowiednik w wielu literaturach europejskich. Jest w istocie rzeczy „dziennikiem bez daty”, rodzajem wariacji literackiej, gdzie pamięć porządkuje poszczególne epizody życia. *Notatki* mają swój wewnętrzny porządek, każdy zapis ściśle łączy się z poprzedzającym. W tym wyborze dajemy tylko przedsmak całości.



Doktorat honorowy dla profesora Wiesława Banyśa

MICHAŁ PAWLAK

28 maja 2018 r. tytuł doktora honoris causa Akademii WSB odebrał prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś, profesor nauk humanistycznych, filolog, JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego w latach 2008-2016, przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich w latach 2012-2016, członek zarządu European University Association, wiceprzewodniczący Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, prezes zarządu Stowarzyszenia Pro-Silesia Biznes-Nauka-Samorząd, od wielu lat jest zaangażowany w prace na rzecz rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego, zarówno w Polsce, jak i w Europie, osoba reprezentująca najlepsze europejskie tradycje uniwersyteckie.

Senat Akademii WSB, uchwałą z dnia 17 kwietnia 2018 r., podjął decyzję o nadaniu tytułu doktora honoris causa prof. zw. dr hab. Wiesławowi Banyśowi jako wybitnemu uczoneму o światowym autorytecie w zakresie językoznawstwa, doświadczonemu i ceniłemu dydaktykowi, znakomitemu organizatorowi zaangażowanemu bezwarunkowo w budowanie jakości i rozwój kształcenia akademickiego oraz nauki w wymiarze międzynarodowym, orędownikowi tak koniecznej w obszarze szkolnictwa wyższego różnorodności. Decyzję podjęto w uznaniu wielkiego wkładu prof. Wiesława Banyśa w integrację środowiska naukowego w Polsce, działania na rzecz rozwoju szkolnictwa wyższego, nauki i kultury oraz promowania polskich osiągnięć za granicą.

Uroczystość swoją obecnością zaszczytili licznie przybyli rektorzy uczelni wyższych, przedstawiciele największych ośrodków akademickich, m.in. Przewodniczący KRASP prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, Rektor Politechniki Warszawskiej, rektorzy Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Śląskiego, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Politechniki Gdań-

skiej, Politechniki Opolskiej, Politechniki Wrocławskiej, Akademii Sztuk Pięknych i in., przedstawiciele Sejmu i Senatu RP, przedstawiciele władz regionu.

– *Nadając najwyższą godność akademicką – tytuł doktora honoris causa panu prof. Wiesławowi Banyśowi społeczność Akademii WSB pragnie wyrazić swoje najwyższe uznanie dla dostojnego Doktora, osobowości przyczyniającej się do kształtowania otaczającej nas rzeczywistości w sposób niezaprzeczalny* – podkreśliła JM Rektor Akademii WSB prof. nadzw. dr Zdzisława Dacko-Pikiewicz.

– *Prof. Banyś to człowiek o imponującej biografii, człowiek twórczy, człowiek czynu, świetny organizator i lider wielu ważnych dla polskiej nauki instytucji, także w „złotym trójkącie” współpracy: nauka – biznes – samorządy. To zaszczyt dla Akademii WSB, że pierwszy w jej historii tytuł doktora honoris causa przyjmuje osoba reprezentująca najlepsze europejskie tradycje uniwersyteckie. Taka uroczystość ma również po raz pierwszy miejsce w historii ponad 100-letniej Dąbrowy Górniczej, gdzie nasza uczelnia odnowiła tradycje akademickie – zaznaczyła JM Rektor Akademii WSB.*

W trakcie uroczystości laudację wygłosił prof. zw. dr hab. med. Wojciech Nowak, JM Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. *Całokształt osiągnięć naukowych, dydaktycznych i organizacyjnych prof. Wiesława Banyśa świadczy o tym, że jest to badacz znamienity, który potrafił w pełni wykorzystać swoje kompetencje badawcze i umiejętności organizacyjne dla dobra uczelni i nauki polskiej. Zaslugi prof. Banyśa dla spraw polskiego szkolnictwa wyższego, również na arenie europejskiej, a nawet światowej, są niepodważalne* – powiedział prof. Nowak.

– *Czuję się bardzo doceniony i wyróżniony, otrzymując w Dąbrowie Górniczej tytuł doktora honoris causa. Wszyscy*

bardzo ciężko pracujemy, by szkolnictwo wyższe i nauka rozwijały się w Polsce jak najlepiej. To jest nasza praca, chcemy działać na rzecz większej jakości, słyszalności i skuteczności polskiego środowiska naukowego. Jeszcze raz bardzo dziękuję dąbrowskiej Akademii WSB za to zaszczytne wyróżnienie – zaznaczył prof. Wiesław Banyś.

– *Chcę pogratulować pani rektor Akademii WSB tego wyboru. Prof. Wiesław Banyś z punktu widzenia całego szkolnictwa wyższego jest osobą wybitną. Od kilkunastu lat w mniejszym lub większym stopniu ma ogromny wpływ na to co działo się i dzieje się w środowisku akademickim. Jego wpływ wynika nie tylko z wiedzy i umiejętności, bo to oczywiste, ale przede wszystkim z osobowości. Nikt nie miał wątpliwości, że to on właśnie powinien objąć stery Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, a potem Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz Regionalnej Konferencji Rektorów Uczelni Akademickich po poprzednikach* – gratulował prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, JM Rektor Politechniki Warszawskiej.

Gratulacje w imieniu Prezydenta RP Andrzeja Dudy złożył prof. Bolesław Pochopiń, członek Narodowej Rady Rozwoju. W imieniu Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego Jarosława Gowina laudację okolicznościową wygłosił senator Tadeusz Kopeć. Gratulacje złożył również JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego, macierzystej uczelni prof. Wiesława Banyśa, prof. Andrzej Kowalczyk.

Prof. Wiesław Banyś podczas uroczystości wygłosił wykład pt. *Po co nam Uniwersytety?* Galę uświetniły koncerty w wykonaniu Chóru Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia” oraz Kuby Bada

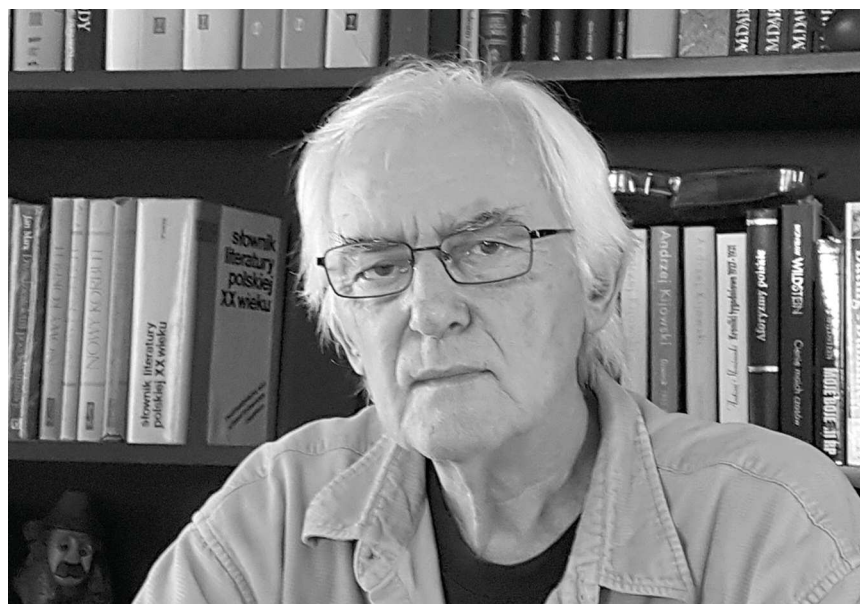


Edward Zyma to poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta i wydawca, który dzięki kolejnej już konferencji naukowej z serii *Światy poetyckie*, powrócił na Śląsk po trzydziestu pięciu latach od swojego wyjazdu do Kanady. Tym razem nad twórczością poety pochylił się badacz z Uniwersytetu Śląskiego i z Uniwersytetu Rzeszowskiego, spotykając się 8 czerwca 2018 roku o godzinie 11:00 w Centrum Kulturalno-Edukacyjnym w Czerwionce-Leszczynach.

O ważnej roli autora *Jasności* na Śląsku opowiadał prof. Marian Kisiel. Zwrócił uwagę, że Zyma stał się egzystuje między światami. To twórca zawieszony między pokoleniem lat 60., a tym pokoleniem, które właściwie nigdy nie wykształciło się na Śląsku, czyli Nowej Fali. Poeta – według badacza – z jednej strony opowiada się za wartościami wysokimi, chcąc, aby przeniknęły ze środowiska ogólnopolskiego do młodej, powstającej w regionie literatury; z drugiej pragnie, aby pokazywały one, że istnieje silny związek pisarza z miejscem i z czasem. Ponadto Zyma został nazwany przez Kisiela nomadą. Nomadą, który zmienia przestrzeń zamieszkania, kilkunastoletnie miejsca pobytu i dalej gdzieś się przenosi, ale też nomadą – jak powie badacz – w znaczeniu literackim, poszukującym tych wartości i sensów, które wydawały się poecie najważniejsze. „Chęć zobaczenia siebie jako nomady – konstatował Kisiel – to chęć zobaczenia człowieka, który zawsze pamięta o miejscu wyjścia i zawsze będzie pozostawał w nim zakorzeniony, ale też [...] w czymś o wiele ważniejszym – w języku. Jest on świadectwem i określa naszą tożsamość”.

Jako drugi zabrał głos prof. Janusz Pasterski, ukazując słuchaczom najdłuższy odcinek twórczości poetyckiej Edwarda Zymana – okres kanadyjski. Badacz wskazał na kręgi problemowe tworzące korpus myślowy „podręcznego leksykonu” pojęć poety-emigranta: „[...] to zestaw dość charakterystyczny dla twórczości emigracyjnej, niejako rozciągnięty pomiędzy tu i tam, teraz i kiedyś, ale równocześnie potwierdzający [...] istnienie trwalszych źródeł postawy egzystencjalnej i dyspozycji światopoglądowej”. Pasterski zwrócił uwagę na najważniejsze motywy twórczości autora *Poematu współczesnego*. Są nimi samotność i wyobcowanie ze świata współczesnego. To „efekt emigracyjnego niezadowolenia, ale także, jak się zdaje, trwałe składniki indywidualnego obrazu świata, cecha wewnętrznej optyki”. Badacz zaznaczył: „Sam Edward Zyma przyznał w jednym z wywiadów, że emigracja oznacza dla niego pewien rodzaj okaleczenia i wymuszonej rezygnacji z wartości”.

Trzeci referat dotyczący związków poety z innym emigracyjnym twórcą, Bogdanem Czaykowskim, wygłosiła prof. Magdalena Rabizo-Birek. W swoim wystąpieniu w sposób szczególnie zwróciła uwagę na wiersz *Nad wielką wodą* Edwarda Zymana. Badaczka zauważyła, że wpisuje się on nie tylko w tradycję mickiewiczowską, ale także odwołuje się do liryków lemańskich. Zwróciła uwagę, że analizowany przez nią wiersz koresponduje z *Ostatnim listem*, podyktowanym Zymanowi przez Czaykowskiego na łożu śmierci. Utwór ten to „artystyczne notowanie procesu odchodzenia ze świata, umierania, znikania”. Opisuje moment „ostatniego błysku świadomości, zanim nastąpi nieprzytomność i zapadnie noc śmierci”. *Ostatni list* Czaykowskiego zawiera frazę, którą zainspirował się Edward Zyma w *Nad wielką wodą*. Chodzi o dialog z oceanem. Uczona przypomniała, że woda symbolizuje zarówno życie, jak i śmierć, ale też stanowi



Fot. Piotr Zyma

Konferencja *Światy poetyckie* Edwarda Zymana

realny obraz. Jest nim ocean, który otacza ze wszystkich stron Vancouver.

Kolejnym referentem był mgr Piotr Zaczekowski. Swoje wystąpienie rozpoczął od przypomnienia motta tomu *W czym obcym domu* Edwarda Zymana. Poeta – wskazywał badacz – odnalazł towarzysza przygody literackiej w Tymoteuszu Karpowiczu, przywołując w swoim zbiorze jego wiersz, rozpoczynający się od frazy: „Nie przyglądaj się mym rękóm”. Zaczekowski w nawiązaniu do niej przypominał, że jednym z przedmiotów czy detali zainteresowania autora *Bez prawa azylu* były zaciśnięte dłonie – pięści. Referent zwrócił uwagę na zaciekawienie omawianego poety boksem. Zyma określa go w swoich utworach „prawdźwie męskim sportem”, w którym jest „coś z [...] heroiczną przeszłością” jego pokolenia.

Ostatni głos w konferencyjnej dyskusji został odczytany przez dr Bożenę Szalastę-Rogowską. Był nim list samego poety, skierowany do uczestników i organizatorów konferencji. Autor *Z dziecięcej fabryki złudzeń* napisał w nim: „[...] Choć mało życzliwy los sprawił, że mój powrót na Śląsk jest zaledwie wirtualny, to przecież jest powrotem i to najlepszym z możliwych. Bo cóż dla piszącego może być bardziej satysfakcjonujące od pełnego namysłu pochylenia się nad jego [...] dziełem mężów i dam znamienitych, w każdym calu kompetentnych [...]. Bo choćby to było pełne pochylenie, bo choćby to i było pochylenie najbardziej krytyczne, a nawet – co trudno wykluczyć – niepozabawione pewnego, rzecz jasna, współzucia, to przecież sam fakt dostrzeżenia paru ulotnych, skreślonych na prowincjonalnej, bo położonej daleko od centrum polskości obczyźnie słów w świecie, który demonstacyjnie odwraca się od słowa, jest faktem godnym

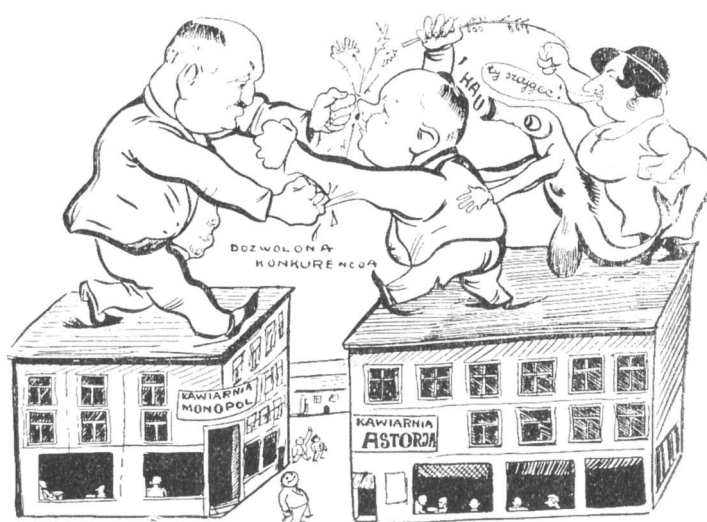
uznania i szczególnej wdzięczności. [...] Z siedemdziesięcioletniego żywota na Śląsku spędziłem zaledwie lat czternaście. Inna sprawa, że było to lata niezwykle intensywne i ważne w doświadczeniu. [...] ów śląski epizod był dla mnie ważnym kapitałem, z którym u progu lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku opuszczałem kraj w roli emigranta z bagażem romantycznych asocjacji, z jakim zwykliśmy kojarzyć to pojęcie”.

Wygłaszane referaty były przeplatane wierszami Edwarda Zymana, które odczytywał przybyły na konferencję z Kanady, prof. Andrzej Busza – także poeta, eseista, tłumacz i literaturoznawca. Wśród nich znalazły się utwory ważne dla samego przyjaciela Zymana z grupy Kontynenty, m.in. *Nadzieja sprzed lat*, opisujący trudny moment wyjazdu z Polski czy *To brzmi jak żart*, przypominający podwórkę w Radomsku – utracone miejsce dzieciństwa.

Zorganizowaną przez Zakład Literatury XX i XXI wieku Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego oraz Miejski Ośrodek Kultury w Czerwionce-Leszczynach konferencję moderował i podsumował prof. Marian Kisiel: „Tematów, które można odnaleźć w poezji Edwarda Zymana jest wiele. Nie tylko ważne są te dotyczące jego trzydziestoparoletniej obecności na obczyźnie, ale również te mówiące o funkcjonowaniu Zymana w przestrzeni polskiej literatury przez co najmniej dwadzieścia lat”. Badacz tymi słowami wskazał na potrzebę dalszej interpretacji twórczości autora *Jasności*. Zapewne będzie dla nich miejsce w planowanej, dziesiątej już publikacji książkowej z serii *Światy poetyckie*.

Sekrety katowickich kawiarni

Fot. karykatura Roleckiego z albumu pt. „Karykatury śląskie”



Kawiarnie »Monopol« i »Astoria«

— Cóż to za puryc piękny i młody,
cóż za siedząca dziewczica?

— Toż to Gałzka w kryzysu mode
szuka Feiwlowe lica.

Walczy wraz z Rybką o więcej gości,
Chociaż pośladek w pośladku,
chociaż za zbyt obite kości
żądać można cen spadku.

M.

Gałzka Rybka kontra Feiwl

Astoria kontra Monopol

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Te dwie kawiarnie, w okresie międzywojennym należały do ścisłej czołówki. Walczyły ze sobą o palmę pierwszeństwa. W wyścigu o popularność, jedna z drugą, na zmianę wygrywała o przysłowiową pierś. Największą korzyść miała z tego klienta. Sensacyjna, kupiecka rywalizacja nie uszła uwagi wszędobylskich dziennikarzy. Mieczysław Rolecki, dowcipny rysownik i pierwsze pierśko śląskiej karykatu-

ry sportretował współzawodników a redaktor Jan Smotrycki, nobliwy sekretarz „Polonii” dopisał do tego rymowany komentarz. Obydwaj należeli do kawoszy i ludzi towarzyskich rozkochanych w atmosferze kawiarnianego salonu.

Rysownik był utalentowanym i czarującym artystą a do tego pieczeniarem w najlepszym – krakowskim – znaczeniu tego słowa. Bywał w gościnie u katowickich gastronomików, chwalił (za-

zwyczaj królewski) poczęstunek i godziwie płacił najlepszą walutą, jaką były karykatury wychodzące spod jego ręki. Owocem artystycznych lustracji Roleckiego pozostają sympatyczne albumy z podobiznami kafejkarzy, cukierników, restauratorów a także innych prominentnych osobistości ceniących sobie usługi katowickiej gastronomii.

Jego starszy kolega, jowialny mężczyzna w kwiecie wieku, w młodości żurnalista warszawski i bywalec stołecznych salonów, był postacią niezwykle malowniczą i prawdziwą ozdobą kawiarnianego towarzystwa. Wzrok przykuwał czarnym kapeluszem z wielkim rondem, nieodłączną fajką z wiecznie kopącym cybuchem i peleryną à la Przybyśzewski. „(...) fajczarz z Jana Smotryckiego był zawołany. W jego prywatnym mieszkaniu całe dwie ściany zawieszono były fajkami różnych wielkości i kształtów – wspomina, jeden z początkujących wtedy redaktorów „Polonii”. Jako sekretarz i wzięty felietonista – autor „Marginesu” – najbardziej poczytnej rubryki w najczęściej czytanej śląskiej gazecie, był jej rzeczywistym mózgiem i sercem. Swoje teksty sygnował pseudonimem: Jotes. Drogę pomiędzy domem przy ulicy Drzymały a redakcją przy ulicy Sobieskiego, w jedną i w drugą stronę przemierzał per pedes a przy okazji wstępował do „swoich przydrożnych kawiarni”. Nigdy nie omijał Astorii ani Monopoli. Zasiadając wśród znajomych i wstępujących do towarzystwa przyjaciół zwracał się per „Kochasiu”.

Stanisław Janicki, kolega Smotryckiego i Roleckiego poświęcił im stosowne rymowanki:

„SMOTRYCKI (Jotes) redaktor
Polonji

Trudno wierszem brać Jotesa! Sam ma
wierszy pół notesa.

Wszystkie Panie je czytają I ponoć się
w nich kochają;

Gdy zaś czytasz Wuję Jana, w dziec-
ko zamienisz się sama”.

Rolekiemu napisał:

„Niebezpieczny malarz główek

Brusi stępiony ołówek,

Kto mu rysunki zaczepi,

Temu jeszcze mocniej wlepi”.

Astoria

Katowiczanie oczarowani sukcesami gospodarczymi USA i karierą w amerykańskim stylu przy Mariackiej 1 wychuchali sobie własny elitarny zakątek, który nazwali „Astoria”. Mieli wrażenie, że pod tym symbolicznym znakiem spotykają się światowcy, ludzie najbogatsi, piękni i wpływowi co najmniej tak jak John Jacob Astor, pierwszy amerykański multimilioner, jednym słowem crème de la crème, czyli wybrańcy spośród śmietanki towarzyskiej. Gwiazdom i rekinom miejscowej finansjery towarzyszyły fordanserki i panie do towarzystwa a znudzonym żonom krezusów



goniących za pieniądzem – kociakowate i uśmiechnięte żigolaki. Do dobrego tonu należało oglądanie najnowszych ekranizacji z fabryki snów w Hollywood a potem odsłuchiwanie płyt długogrających z nagraniami śpiewających aktorów zza Wielkiej Wody. Przy pobliskich ulicach jak grzyby po deszczu wyrastały iście amerykańskie chmurolapy; przy Wojewódzkiej Dom Profesorów, przy Zwirki i Wigury drapacz chmur Izby Skarbowej, u zbiegu św. Jana i Dworcowej wielopiętrowy dom Jakuba Squedera, przy Mickiewicza oryginalny biurowiec Banku Gospodarstwa Krajowego a na wzgórzu za opłotkami dawnego rolnego przedmieścia wspaniały gmach śląskich wojewodów i katedra katolickiego biskupa.

Po gruntownej modernizacji w 1927 roku Astoria zmieniła się nie do poznania. Minęło właśnie ćwierćwiecze jej istnienia. Tylko nieliczni pamiętali dawną salę konsumpcyjną z wielką tubą nad magicznym patefonem, z której wydobywał się głos słynnego tenora Caruso śpiewającego operowe partie księcia Mantui i Rigoletta. Po odrestaurowaniu lokalu firmową orkiestrą taneczną, przez kilka sezonów, do kwietnia 1928 roku dyrygował utalentowany wiolinista i kapelmistrz Bronisław Paster. Zasłynął z wirtuozerii w grze na skrzypcach. W międzyczasie jako solista dawał też koncerty w nastrojowym lokaliku „Oaza” przy ulicy 3 Maja 14 – obok sławnej księgarni „Kados” (Katowicka Dostawa Szkolna), poprzednio Gotfryda Siwinny.

Mimo wysokich cen, „Astoria” tak jak dawniej miała wiernych konsumentów chwalcących parzoną tu kawę, wypiekane ciasta i klimat budzących emocje transakcji. Po 1922 roku katowickim dziennikarzom przypadła do gustu jako miejsce koleżeńskiej giełdy sensacji, poczty pantoflowej i nowinek. Red. Bolesław Surówka z katowickiej „Polonii” uchyla rąbką tajemnicy: „Wymiana wiadomości odbywała się tak, aby i wilk był syty, czyli własna gazeta, i owca cała, czyli konkurencja, każdy więc z reporterów jakiś »rodzynek« chował zwykle dla siebie”.

Od nowoczesnej giełdy towarowej niespodziewanie mrozącej krew w żyłach lub dostarczającej elektryzujących wieści o boomach i slumpach a mieszczącej się przy ulicy Wojewódzkiej, tuż za tunelem pod magistralą kolejową dzieliły ich 2 minuty truchtem. Po drugiej stronie ulicy przy Mariackiej 2, całą dobę czuwało biuro PAT – Polskiej Agencji Telegraficznej. Zurnaliści okupowali stoliki już od poranka.

Od pierwszego dnia 1930 roku Astoria stała się własnością spółki handlowej pod firmą „Gałązka i Rybka Astoria-Kawiarnia”. Jej współnicy to: Regina Gałązka, z domu Minc oraz Walenty Rybka, oboje z Katowic. W roli kierownika sławnej kawiarni występował energiczny i pomysłowy pan Walenty, który

nad kawiarnią, pod adresem Mariacka 1 wynajmował mieszkanie nr 7. Kamienica należała do kupca Jakuba Gałązki, męża Reginy, który był też właścicielem kilku innych domów przy ulicy Moniuszki i Piastowskiej, a wraz z żoną mieszkał przy Teatralnej 14.

Według pewnego wielbiciela „Małej ale mocnej” piszącego na łamach „Polski Zachodniej”, w „Astorii” podawano „wodny roztwór czarnej kawy, w którejby każda Rybka czuła się w swoim żywiole”. Satyrycy niechętni sąsiadom z zachodniej granicy utrzymywali, że jest to narodowy sposób parzenia tego przysmaku tam, gdzie go parzą Szwaby i Brandenbury.

Wbrew tak poważnemu uchybieniu staropolskiej tradycji, tłoczno robiło się tutaj już od godzin przedpołudniowych gdy koncertowały popularne krajowe i zagraniczne orkiestry. Jedną z nich była kameralna „Braci Dorian” z Warszawy, prezentująca utwory Gounoda i Liszta. Pod kierunkiem Aleksandra Sienkiewicza, pianisty, koncertowało w niej dwu jego braci Henryk skrzypek i Edward wiolonczelista. Byli spokrewnieni ze sławnym autorem trylogii. Ich katowicki występ podziwiał i oklaskiwał Stefan Marian Stoiński, kompozytor, dyrygent i dyrektor Teatru Operowego w Katowicach. Po koncercie zanotował: „umieją połączyć tak modny dziś na estradzie kawiarni humor z dobrą muzyką”. Szkoda, że recenzent nie objaśnił w jakiej intencji bracia Sienkiewiczowie wybrali pseudonim „Dorian”. Może utożsamiali się z Dorianem Grayem Oscara Wilde’a a może ze starogreckimi Dorami wywodzącymi swój rodowód od samego Herkulesa?

Na spotkania towarzyskie i poranki muzyczne „Astoria” zapraszała w świętki, piątki i niedziele:

„Rendez-Vous inteligencji
Katowic i okolicy
Codziennie koncert

W niedzielę i święta od godz. 11 do godz. 1 po poł. Matinée”

Latem 1933 po raz pierwszy, a po raz drugi w karnawale następnego roku przed publicznością tego przybytku wystąpili mistrzowie tanga i prekursorzy polskiego jazzu Artur Gold i Jerzy Petersburski. Na „Dzień dobry!” wykonali swój firmowy szlagier „Gdy Petersburski razem z Goldem gra, jazzbandu te Ajaksy dwa”. W chwilę później wraz z widownią odśpiewali „Tango Milonga”. Jeszcze ostatniego dnia tego samego 1934 roku sławna warszawska orkiestra tangowa grała do tańca na balu sylwestrowym przez Klub Brydzowy Pań zorganizowanym w nowoczesnym gmachu Syndykatu Węgla i Żelaza przy ulicy Lompy 14 w Katowicach. Jak i co grali można posłuchać w Internecie: https://staremelodie.pl/kompozytorzy/13/Artur_Gold

Po koncercie i dancingu krakowskich „The Jolly Boys” czyli „wesółych chłopaków”, najstarszego swingującego pol-

skiego zespołu jazzowego braci Sperberów z Krakowa, grających z saksofonistą Zygmuntem Berlandem, red. Władysław Komperda – naczelny redagowanej i drukowanej w Katowicach – „Polskiej trybuny” napisał:

„Orkiestra »Jolly Boys« jest jedną z tych właśnie, która począwszy od najwytworniejszych lokali stolicy po wszystkie miasta Polski zyskała sobie za pełne 12 lat swoich artystyczno-muzycznych występów miano jednej z najlepszych orkiestr jazzowych. (...) popularnych ulubieńców publiczności całej Polski znamy z wielu audycji Polskiego Radia i z występów w lokalach reprezentacyjnych”.

Kawiarnia udostępniała parkiet i tapetów bądź muzykujące zespoły. Po godzinie 22:30 katowicka rozgłośnia radiowa transmitowała stąd nocne koncerty muzyki tanecznej. Do tańca grały modne jazzbandy. Prócz nieśmiertelnego walca, dostojnego tanga i nieco ekscentrycznego fokstropa wypadało się kręcić w rytm jazzopochoдного stepa, cake walka, shimmy, black bostona, charlestona i temu podobnych tańców amerykańskich.

„Astoria” uchodziła za jedną z najśłynniejszych w mieście. W polskiej i niemieckojęzycznej prasie była anonosowana jako „Najlepsza kawiarnia na Górnym Śląsku”. Do legendy przeszła jako miejsce elitarnych spotkań towarzyskich oraz awangardowych inteligentek randek zrywających z tradycją konwencjonalnych rozmówek zapoznawczych pod okiem rodziny lub przyzwoitek.

Początkowo na prekursorskie, powszechnie nieakceptowane randkowanie odmiennych płci w lokalu publicznym pozwalali sobie tylko śmiałkowie nie obawiający się obyczajowej infamii. Naturalnie do tego tak jak do tanga, „trzeba było dwojga” – ewentualnie jeszcze kilkoro. Rychło okazało się, że upodobali to sobie tak młodzi jak i kalendarzowo bardziej zaawansowani. W przypadku metrykalnych dysproporcji pocieszali się „choć różnica lat nas dzieli, łączy nas różnica płci”. W 2014 roku Piotr Szarota opublikował społeczno-kulturowe studium *Anatomia randki* i autorytatywnie stwierdził: „randkowanie jako zwyczaj pojawiło się w Polsce zaledwie osiemdziesiąt lat temu”.

Po roku 1930 – modne stało się również w Katowicach. To był powód, dla którego największe kawiarnie, swoje przytulne zakamarki anonosowały jako miejsce „rendez-vous inteligencji”. W takim teatrum, do dobrego tonu należało popołudniowe flirtowanie, wzbudzanie sympatii przy stoliku, ośniewanie intelektem albo dowcipem, popisywanie się anegdótką i kalamburem. Spuneryści igrali i świntuszili zabawnymi przejęzyczeniami z ogromnej kolekcji „grającego półsłówka”. Za biblię polskiego inteligenta kawiarniana i czytelnicza publiczność jednomyślnie okrzyknęła *Słówka* Boya Żeleńskiego. Wypadało



Karykatura autoportret Roleckiego



Karykatura Smotryckiego

oszałamiać się szampanem, utrzymywać podwyższoną temperaturę konwersacji a wieczorem i nocą zabawić i uwodzić na parkiecie. Nowoczesnemu rendez-vous, z wielką ochotą oddawały się panie a z jeszcze większą panowie w kwiecie wieku i bardziej zaawansowanym.

Po gruntownym remoncie sale „Astorii” wypełniło światło i przyjazna feeria pastelowych barw, tu i ówdzie rozpłomienionych eksycytującą czerwienią. Nowa aranżacja stwarzała nastrój zachęcający do płasania na nowoczesnym parkiecie i oddawania się cudownie zniewalającej mocy Terpsychory bądź Polihymnii, które hipnotyzowały wespół lub na zmianę. W „Astorii” danciering trwał do 3 nad ranem a na specjalne życzenie nawet do białego dnia.

Podczas zabawy i relaksu gospodarz „Astorii” i jego bogata klientela nie zapomniała o bliźnich pozostających w niedostatku. Prominentna, przemysłowa, kupiecka i rzemieślnicza elita miasta poczuwała się do misji dobroczynnych. Zapraszała do udziału w oryginalnych benefisowych imprezach. Na konkurs bezrobotnych muzyków podwórkowych zgłosiły się kapele Gustlików, Hanysów i Zeflików, a wraz z nimi wokalistki: Róża i Otylia Malikównie. Sensację wzbudziło kilku wykonawców, na gitarze grających stopami. Nigdy przedtem a chyba i nigdy potem, nie było w „Astorii” takiego tłoku jak podczas tego folklorystycznego przeglądu bezdomnych talentów. Mimo zamkniętych drzwi kawiarni gromady wielbicieli wschodzącej plejady gwiazd katowickiego podwórka, tkwiły na chodnikach i jezdniach Mariackiej i Mielęckiego. Urzekająco

brzmiających tenorów spotkały zaszczyty i honory. Nagroda publiczności dostała się dowcipnemu kupceciście za satyryczne rymowanki z politycznym podtekstem. Zwycięzcy otrzymali premie pieniężne a na ich torsach szczerzy mecenas zawiesili wieńce spletnych kiełbas – symboliczne wawrzyny godne niecodziennych laureatów. Zamiast dyplomów uczestnictwa wszystkim artystom wręczono zaproszenia na uroczysty obiad w „Astorii”, podczas którego otrzymali honorarium za występ a niektórzy także engagement do katowickich lokali gastronomicznych.

W 1935 roku podczas pokazu psów rasowych personel „Astorii” zorganizował pomysłowy konkurs zatytułowany „Dama i jej pies”. Na parkiecie defilowało kilkadziesiąt pudli, spanieli, bokserów i innych niemniej szlachetnie urodzonych czworonogów. Dochód z imprezy organizatorzy przekazali katowickiemu Towarzystwu Ochrony Zwierząt.

Monopol

Z pobliską „Astorią” konkurowała kawiarnia hotelu Monopol, wraz z całym obiektem gruntownie odnowiona w 1928 roku przez nowego posesjonata Juliusza Feiwela, właściciela Domu Towarowego „Bobrek” przy ulicy obecnie nazywanej Staromiejską. Pozostał postacią tajemniczą. Do dziś wiemy o nim niewiele.

W Katowicach pan Feiwel pojawił się w 1922 roku. Jedni twierdzą, że przybył z Wiednia a inni że z Krakowa. Kupił

Dom Handlowy „Bobrek” przy ulicy Staromiejskiej 10 (wtedy Poprzecznej) i pod tym adresem zamieszkał. Tego samego roku został zaprzysiężony w parafarności „Concordii” łoży – Stowarzyszenia Humanitarnego „Bnei Brith” („Synowie Przymierza”). Skupiało elitę finansową i kulturalną katowickich Mozaistów. W 1924 r. zainicjował powstanie firmy pod nazwą „Nieruchomość, Towarzystwo Obrotowe, Spółka akcyjna – z siedzibą w Katowicach”. Przedmiotem jej działalności były: „transakcje przemysłowe i komercyjne wszelkiego rodzaju, niewyłączając nieruchomości”. Jego współnikami byli bajecznie bogaci promieniści z Wiednia i Katowic. Zarząd firmy miał siedzibę w Katowicach a jego dyrektorem był Paweł Willig. Lata 30. dla hotelu, restauracji i kawiarni „Monopol” uchodzą za najwspanialsze w jego historii. Dobra passa skończyła się nagle w 1938 roku. Feiwel został skrachowany i znikł bez pożegnania.

W latach prosperity swojej nowej budowlę zafundował powszechnie wówczas lansowaną, modernistyczną elewację. Powiększył salę restauracyjną, premodelował hol i wejścia do budynku od 1931 roku iluminowane efektowną reklamą elektryczną a przedsiębiorstwo, od strony ulicy Dyrekcyjnej poszerzył o rozrywkowy i trochę już staroświecki etablissement w radosne podkniecenie wprawiający głównie przedszkolaków i towarzyszące im babunie.

Zazdrośni bywalcy lokalu przy Mariackiej 1 podśmiewali się z awangardowych pisuarów przy Dyrekcyjnej 2. Były wyposażone w porcelanową poręcz, na której, jak głosił napis, powinien

się podeprzeć każdy, kto cierpi na morską chorobę. Gmach oddany do użytku w 1902 roku miał elektryczne oświetlenie, windę i centralne ogrzewanie. Jednak tak dawniej jak i po przebudowie był nowoczesny pod każdym względem i godny zwiedzenia – chociażby tylko toalet. Za Feiwela na 5 kondygnacjach starannie wystylizowanej kamienicy mieściło się 114 jedno- i dwuosobowych numerów hotelowych wyposażonych w aparat telefoniczny, a prócz renomowanej kawiarni o niebanalnym kolistym wnętrzu – ekskluzywna restauracja z nieco tajemniczym nocnym lokalem w podziemiu. Na luksusowych piętach „Monopolu” sypiali sławni goście z Europy i kilku innych kontynentów. Należał do najdroższych w mieście.

Kilkakrotnie mieszkał pod tym dachem Jan Kiepusza od czasu do czasu, swoim tenorem bohaterskim śpiewający arie na scenie katowickiego teatru operowego. Gdy po raz pierwszy Marian Stoiński, dyrektor tego przybytku zaproponował Kiepuszowi 100 złotych honorarium za występ, artysta odrzekł „Niech pan zapomni o Kiepuszce”. Za mniej niż 500 złotych na scenę nie wychodził.

W pokoju z numerem 102 gościł 31 października 1936 roku. To wtedy prezydent dr Adam Kocur (po wielu latach, ksiądz i biskup katolicki) Janka i jego narzeczoną Martę Egert związał małżeńską przysięgą. Sławomir Koper ocalił od zapomnienia związaną z tym anegdotę: „Uroczystość zakłóciło roztrągnięcie pana młodego – zapomniał obrączek. Kiedy coraz bardziej zdenerwowany przeszukiwał kieszenie garnituru, Marta odłożyła bukiet i z uśmiechem na twarzy wyjęła obrączki z torebki”.

O tym, że tutejszą kawiarnię i restaurację, swoją obecnością zaszczycił Julian Tuwim, w rozmowach przypominał Wilhelm Szewczyk. Potwierdzają to tuwimowskie strofy „Wierszy o Małgorzacie”, w których poeta ze skrupulatnością reportera notuje zwierzenia kawiarnianej fordanserki czy też hotelowej kurtyzany:

„W Katowicach jeden szwab To mi tyś się na stół kładł.

Nawet ładny, nawet młody, Ja w cukierni jadłam lody: Malinowe, ananasowe (Bo ja lubię owocowe).

On podchodzi, grzecznie wita się, Ja go nie znam, a on pyta się:

„Ist der Platz – powiada – frei?”

(Jeszcze raz się sztachnąć daj.)

Zaciągnęła się. Uśmiechnęła się.

Jak kot w miękki kłęb zwinęła się.

Mówię: „Frei”. Bo czemu nie? Siadł i zaczął kusić mnie.

Ze on dobry, że ożeni się,

Ze on stały, nie odmieni się,

Ze on w banku krocie ma I w Cieszynie ciocię ma.

A ta ciocia... No, jednym słowem

Dwie pięćsetki seledynowe

Kładł mi na stół, żebym w holu Dziś czekała w „Metropolu”.

Ja go słucham, bo on miły, A mnie lody się roztopiły”.



Astoria wnętrze – pocztówka



Astoria – rendez-vous inteligencji z programu teatru w Katowicach 1924 r.



Café Astoria w Schaffen und Schauen 1925 r.



Gold i Petersburski w Astorii 1 września 1933 r. Urzędowa Gazeta Gminy Izraelickiej



Orkiestra Artura Golda i Jerzego Petersburskiego w Astorii



Orkiestra Karasińskiego i Katuszka z Samem Salvano

JEDEN Z CHÓRU DANA: MIECZYŚLAW FOGG



Młody Mieczysław Fogg – chór Dana

Sławnymi duchami złotej legendy tego miejsca są: Jadwiga Smosarska, Eugeniusz Bodo, Aleksander Żabczyński, Karol Adwentowicz. Tutaj do występów w Teatrze Polskim przygotowywały się Hanka Ordonówna i ciemnoskóra, trzydziestoletnia tańcząca piosenkarka Josephina Baker, którą katowicki recenzent August Grodzicki tak zapamiętał:

„... w pełnym rozkwicie swego kunsztu czarowała publiczność. Cudownie zbudowana, samą postacią tworzyła dzieło sztuki. W zwiewnych tiulach tańczyła na tle trzydziestoosobowego zespołu jazzowego muzyków w niebieskich fraczkach i śpiewała – jak śpiewała! – o „dwóch miłościach, swoim kraju i Paryżu”...”.

Hol główny dawnego hotelu Lustiga, restauracja, kawiarnia z salą taneczną i koncertową – znajdowały się na parterze. Do kawiarni i pokoju brydzowego, w którym katowiczanki, od czasu do czasu rozgrywały partyjki w swoich wyłącznie „damskich czwórkach” prowadziło wejście od strony Dyrekcyjnej, w księgach adresowych opisywane jako Dyrekcyjna 2.

Przy stolikach „Cafe Monopol” ubijali interesy miejscowi biznesmeni. Ze wspomnień kelnerów i pikolarów wynika, że nie szczędzili sowitych napiwków. Dyrektor miejscowego banku, legendarnego garsona Huta uhonorował bakszyszem w kwocie 7 słownie siedem tysięcy złotych polskich. Do obowiązków pikolaka czyli chłopca w firmowym mundurku należało podawanie cygara, papierosa i ognia, odstawianie krzesła przed stołem, roznoszenie sekretnych liścików albo wizytówek i spełnianie niespodziewanych zachcianek klientów. Widywało się tutaj najbardziej znane osobistości katowickiej palestry, prokuratury i sądownictwa, na małą czarną wpadające w pauzach między procesami rozstrzyganymi vis a vis w salach Sądu Okręgowego.

Stylową kafenię chętnie odwiedzali zamożni mieszkańcy Katowic i okolicznych miejscowości. Jej wnętrza należały do najbardziej popularnych salonów koncertowych i tanecznych miasta, którego co najmniej 100 tysięcy obywateli lubiło śpiewać, pisać i muzykować.

W 1933 roku w „Astorii” a potem w „Monopolu” występował także najstarszy polski zespół jazzowy – warszawski jazz-band Szymona Katuszka i Zygmunta Karasińskiego. Debiutowali w listopadzie 1922 r., podczas otwarcia słynnej warszawskiej „Oazy”. Poza Karasińskim grali w orkiestrze: na fortepianie Szymon Katuszek, na trąbce Kazimierz England, na perkusji śpiewający czarnoskóry Sam Salvano występujący też jako dobrze stepujący tancerz a wraz z nimi multiinstrumentalista Alfred Melodyst, przez prasę okrzyknięty „polskim Whitmannem”; ze szczególnym upodobaniem muzykował na pile.

Z estrady kawiarni „Monopol”, wybredną katowicką publiczność, lirycznym barytonem wzruszał młody Mieczysław

ślaw Fogg wespół z chórem Dana. „Jesiennie róże” Artura Golda i Andrzeja Własta bisował kilka razy.

Podczas inauguracji w 1934 roku otwarcie ponownie zmodernizowanego lokalu uświetniły występy sławnego zespołu Henryka Golda, znakomitego skrzypka, pianisty, kompozytora, dyrygenta i menadżera również na budzącym się do życia, polskim rynku nagrań płytowych. Po cyklu koncertów w Krynicy prasa pisała „Zespół ten stale grywa do płyt gramofonowych, dzięki czemu produkcje jego rozchodzą się na wielkim obszarze kraju”, a katowicki dziennikarz Komperda relacjonował:

„Artysta muzyk-kapelmistrz i kompozytor. Henryk Gold, to jeden z tych artystów, który muzyką swoją potrafi słuchaczy porwać do tego stopnia, że najczęściej interesujący temat dyskusji pójść musi na drugi plan. Słuchacz znajdujący się w lokalu, w którym koncertuje Henryk Gold zapomina dosłownie, że znajduje się w kawiarni, a raczej jest w tej chwili na sali koncertowej, gdzie zebrana muzykalna publiczność słucha w skupieniu wykonywanych utworów. Jest faktycznie sztuką, aby lokal kawiarni i w niej szalony gwar potrafić zamienić w jednej chwili na salę koncertową. Do tego stopnia czarować muzyką i zasugerować swoich słuchaczy umie artysta tej miary co Henryk Gold”.

Kierownikiem firmowej orkiestry tanecznej „Monopolu” był gitarzysta i kapelmistrz lwowianin Wiktor Tychowski. Urodził się w 1903. nad Pełtwią, w stolicy polskich kresów wschodnich. Tam spędził dzieciństwo i wczesną młodość. Jako gimnazjalista zgłosił się do pierwszego powstania śląskiego. Jako weteran został odznaczony Krzyżem Walecznych. Był członkiem Związku Powstańców Śląskich. Grał na gitarze hawajskiej i komponował piosenki, między innymi *Musiałem cię zostawić*, *Moja gitara* i *Tango lwowskie*. Katowiczanie oglądali go na srebrnym ekranie: Szpieg w masce (1933) z muzyką Henryka Warsa i *Dwie Joasie* (1935) z muzyką Władysława Eigera.

Na salonowo-jazzbandowe koncerty i zabawy taneczne w „Monopolu” damy ubierały stroje eksponujące ich smukłe figury i kobiece wdzięki. O tym gdzie, kiedy i w czym należy się pokazywać dowiadywały się nie tylko z żurnali ale przede wszystkim podczas rewii i wystaw organizowanych w hotelowych salonach obok kawiarni. Wojciech Janota zapewnia, że nowe kreacje: „Prezentowały stołeczne modelki i najpiękniejsze kobiety Warszawy. W 1933 roku w hotelu tym odbył się pierwszy Bal Mody z konkursem o tytuł Królowej Mody i Najpiękniejszej Pani Górnośląska”.

Modne kostiumy wizytowe składały się z zakietu o rozkloszowanej baskinie doszytej poniżej talii i wąskiej spódnicy nie ograniczającej tanecznych ewolucji. Obowiązywała wizytowa czerń stopniowo wypierana przez granatowe



Dworcowa z hotelem Monopol – międzywojnie

źródło: internet



Bal sylwestrowy brydzystek, 1934

źródło: internet

suknie z wełnianej koronki. Głowę nakrywały toczeniem lub mały, filcowym kapelusikiem. Na nogach miały jedwabne pończochy i pantofle z miękkiej skóry na wysokim obcasie. W drodze na bal i potem, gdy już świtało, w towarzystwie mężów lub kochanków wracały do domów, wtułały się w czarne, popielate lub brązowe Brajtszwance z wyporków azjatyckich owiec. Z podobnego karakułowego futerka z krótkimi loczkami miały też kołnierze do innych zimowych palt oraz legendarne mufki – niezapomniane rekwizyty naszych prababek.

Bywalczy tanecznych spotkań w „Monopolu” występowali we frakach. Zaopatrywali się w ekskluzywnym magazynie Grünpeterów przy ulicy św. Jana 11. Ten „Skład artykułów męskich” oferował kapelusze, pantofle, bieliznę i ubrania sprowadzane wyłącznie z pracowni wiedeńskich i londyńskich rzemieślników. Choć sprzedawane po słonych ce-

nach miały stałych i licznych nabywców przybywających tutaj również z dalekiej Warszawy.

Wiosną modne katowiczanki na kawę do „Monopolu” ubierały strojne tweedowe lub jerseyowe suknie. Na głowach miały kapelusze na kształt беретów lub z szerszym rondem wykonane z kolorowej słomki. Stosownie do zaleceń warszawskiego dyktatora mody Bogusława Hersa, ich: „Toalety popołudniowe i wieczorowe odznaczające się piękną linią” szyte z „przejrzystych tkanin miękkich, wzorzystych materii” upodobały je „do barwnego motyla lub pięknego kwiatu”.

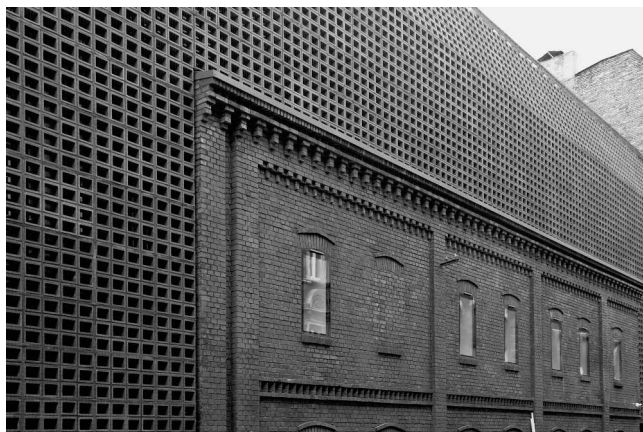
P.S.

Pani dr Barbarze Maresz z Biblioteki Śląskiej, Za kwerendy i dobór ilustracji, autor składa serdeczne podziękowania!

Katowice, 30 maja 2018



Fot. Ryszard Czernow



Budynek Wydziału Radio i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego zdobył wyróżnienie Grand Prix Nagrody Roku Stowarzyszenia Architektów Polskich. Grand Prix od SARP to nie jedyne wyróżnienie dla nietypowego i ważnego budynku. Obiekt został też wyróżniony w edycji konkursu „Bryła Roku” w ubiegłym roku. Organizatorem konkursu była AGORA S.A. Konkurs odbywał się na zasadach plebiscytu; każdego roku można zgłaszać własne propozycje nominacji, spośród których jury złożone z ekspertów wyłania finałową dziesiątkę, na którą następnie można oddawać głosy drogą internetową. Poza tak wyłonioną Bryłą Roku jurorzy wybierają Bryłę Roku Jury 2017. To właśnie to wyróżnienie otrzymał Wydział Radio i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.





ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

W Lubinie, w Ciaśnie i na Miechowicach

Kiedy przed paroma tygodniami na moim wykładowym szlaku znalazł się Lubin, stary XII-wieczny gród kasztelański leżący na Nizinie Śląskiej, lokowany już w końcu XIII stulecia, będący dziś centrum zagłębia miedzianego, jeszcze przed spotkaniem z nauczycielami i uczniami usłyszałem żale mieszkańców miasta do tych rodaków, którzy używają błędnych form „do, z Lubinia”, „w Lubiniu”. Pocieszylem ich, że nazwa leżącego dziś w granicach województwa śląskiego Będzina równie często przyjmuje identyczne błędne warianty „do, z Będzina”, „w Będzinu”. Wszystkie one powstają na skutek opacznej analogii do takich nazw-rzeczowników miękko tematowych, jak *Lubań, Luboń, Lubień, Lichen, Ustron* czy *Kodeń*, mających w dopełniaczu i miejscowniku oczywiste brzmienia *do, z Lubania, w Lubaniu, do, z Lubonia, w Luboniu, do, z Lubnia, w Lubniu, do, z Lichenia, w Licheniu, do, z Ustronia, w Ustroniu, do, z Kodnia, w Kodniu*.

Dlaczego owa analogia jest opaczna? – Ano dlatego, że zarówno *Lubin*, jak i *Będzin* były zawsze nazwami-rzeczownikami twar-dotematowymi – takimi jak *Lublin, Koszęcin, Konin* czy *Kobylin*, utworzonymi przyrostkiem *-in* (z twardym „n”) od podstaw słowotwórczych-dawnych imion (przezwisk): *Luba* (skrótowiec od *Lubomira*), *Będa* (od *Będzimir*), *Lubel* albo *Lubla*, *Koszęta* (podstawa *Kosz* od *Konstantyna*), *Koń*, *Kobyła*. Nazwy te prymarnie oznaczały „własność Luby, Będy, Lubla albo Lubli, Koszęty, Konia, Kobyły”. Zgodne z normą i uzasadnione morfologicznie są więc tylko brzmienia *do, z Lubina, w Lubinie, do, z Będzina, w Będzinie* – tak jak *do, z Lublina, w Lublinie, do, z Koszęcina, w Koszęcinie, do, z Konina, w Koninie, do, z Kobyliny, w Kobylinie*.

W dzień po wizycie w Lubinie, kiedy wracałem z wykładu na mojej wrocławskiej polonistyce, zastałem pod gabinetem czekających na mnie gości – nauczycieli i uczniów z Bodzanowic w powiecie oleśkim, rodzinnej wsi biskupa seniora diecezji gliwickiej Jana Wieczorka. Od razu powiedziałem im, że *Bodzanowice* (z dawn. postaci *Bodzanowicy*) to typowa nazwa patronimiczna, odojcowiska, o prymarnym znaczeniu osobowym „potomkowie, ludzie

Bodzana”, *Bodzan* zaś to dawne imię od podstawy *bod-* (*bodeg*). Z kolei typową nazwą topograficzną, nawiązującą do realiów terenowych, jest *Olesno* (dawniejsze *Oleszno*) – urobione od *olchy*, znanego drzewa terenów podmokłych (dlatego jest kilkanaście identycznych nazw z przyrostkiem *-no, -na* (*Oleszno, Oleszna*), a i takich formacji, jak *Olsza, Olszanica, Oleszyce, Oleśnica*.

Powiedziałem też miłym gościom, że w czasie dopiero co skończonego wykładu przywołałem nazwę miejscową *Ciasna* – wsi leżącej między Olesnem a Lublińcem, rzeczywiście *ciasno* usytuowanej między licznymi stawami. Kiedy w moich rodzinnych Tarnowskich Górach potrzebowaliśmy postaci przypadków zależnych tej nazwy, spontanicznie tworzyliśmy formy *do Ciasnej, z Ciasnej, w Ciasnej* – odpowiadające brzmieniom deklinowanego przymiotnika *ciasna* (widzę je też w słownikach). Tymczasem przed wieloma laty, w drodze do Rodziców, usłyszałem w pociągu od mieszkańców tej miejscowości wariantywnie brzmienia *do Ciasny, z Ciasny, w Ciasnie* – strukturalnie możliwe i poprawne, bo nazwom tego typu polski system gramatyczny oferuje albo odmianę rzeczownikową (*Warszawa – do, z Warszawy – w Warszawie, Częstochowa – do, z Częstochowy, w Częstochowie, Jabłonna – do, z Jabłonną, w Jabłonie, Miłosna – do, z Miłosną, w Miłosnie*), albo przymiotnikową (*Kolbuszowa – do, z Kolbuszowej, w Kolbuszowej, Limanowa – do, z Limanowej, w Limanowej*).

Odmianie typu *Ciasna – do, z Ciasny – w Ciasnie*, powiedziałem swoim studentom i bodzanowiczantom, sprzyja też tendencja do uniknięcia homonimii fleksyjnej, czyli jednakowości brzmień poszczególnych przypadków gramatycznych: *do Ciasny, w Ciasnie*, bo *ciasnej sukienki, koszuli* itp. To przecież także z tego powodu mieszkańcy miejscowości Turek koło Konina tworzą postacie *do Turku, z Turku* – różniące się od dopełniacza *Turka* rzeczownika osobowego *Turek* – tak jak mieszkańcy Warszawy od nazwy ulicy *Nowy Świat* urabiają dopełniacz *Nowego Świata* (bo *świata* to dopełniacz wyrazu pospolitego *świat*), a mieszkańcy Stochowej, tatrzańskiej miejscowości *Ząb* mówią, że są z *Zębu* (bo *z-*

ba to drugi przypadek rzeczownika pospolitego *ząb*).

Gdy zbliżałem się już do końca niniejszego felietonu, zadzwonił jeden z moich najserdeczniejszych kolegów, który po latach pracy w Niemczech wrócił z żoną na Górny Śląsk – do Bytomia. Zapytałem go, jak spędza emerycki czas. Odpowiedział: „Często z żoną robimy spacerki na Miechowice”. Nie ukrywam, że połączenie „na Miechowice” trochę mi w uszach zazgrzytało, bo doskonale pamiętam czas administracyjnej samodzielności tej bardzo starej rodzinnej miejscowości ks. Norberta Bończyka, autora słynnego poematu autobiograficznego *Stary kościół miechowski* z roku 1879, a jako stary kibic mam w pamięci mecze piłkarskie tarnogórskich drużyn z Silesią Miechowice. Nie mogę się przecież gorszyć syntagmami *na Miechowice, na Miechowicach*, owszem – przyznaję, że musiały się one pojawić w obiegu komunikacyjnym i zastąpić stare wyrażenia *do Miechowic, w Miechowicach, z chwilą* gdy Miechowice stały się administracyjną częścią Bytomia.

Podobny „zgrzyt” przeżyłem 40 lat temu, gdy pewien krakowianin, przeprowadzwszy się do Katowic, poinformował mnie, że mieszka *na Welnowcu*. Miałem zbyt wielu znajomych mieszkających w *Welnowcu* i *do Welnowca* jeżdżących, bym mógł bez zastrzeżeń odebrać syntagmę *na Welnowcu*. No i był Rapid Welnowiec, poprzednik dzisiejszego GKS-u Katowice! Skoro jednak Welnowiec przyłączono do Katowic, nieuchronne stało się funkcjonowanie nowych syntagm *na Welnowcu, na Welnowiec*, wypierających dotychczasowe w *Welnowcu, do Welnowca*.

Identyczne zmiany przeżyłem przez 55 lat pobytu we Wrocławiu. Gdy odrębne kiedyś miejscowości Oporów, Klecina, Brochów czy Pawłowice przyłączono do nadodrzańskiego grodu, natychmiast pojawiły się nowe wyrażenia: *na Oporów, na Oporowie, na Klecinę, na Klecinie, na Brochów, na Brochowie, na Pawłowice, na Pawłowicach* – podciągnięte do szeregu składniowego z nazwami starych wrocławskich dzielnic: *na Sępólno, na Sępólnie, na Biskupin, na Biskupinie, na Krzyki, na Krzykach, na Zalesie, na Zalesiu, na Różankę, na Różance*.

Z dr. hab. **TOMASZEM NAWROCKIM**
oraz dr. hab. **KRZYSZTOFEM BIERWIACZONKIEM**
rozmawia dr **MAŁGORZATA KŁOSKOWICZ**

Fot. Julia Agnieszka Szymala



O tożsamości Gliwic i gliwiczian

Gdańsk, Gliwice oraz Wrocław stały się przedmiotem socjologicznej debaty o kształtowaniu się nowej tożsamości miast i ich mieszkańców. Naukowcy zbadali między innymi znaczenie historii miejsc, kształtowanie tożsamości mieszkańców w odniesieniu do miejskich przestrzeni oraz rolę, jaką odgrywają przestrzenie publiczne w tworzeniu się miejskich narracji. Jaka jest tożsamość Gliwic i ich mieszkańców?

Małgorzata Kłoskowitz: Opublikowana w 2017 roku książka będąca wynikiem współprowadzonych przez Panów badań to studium trzech miast: Gdańska, Gliwic i Wrocławia. W jej tytule pojawia się, oprócz miasta i przestrzeni, słowo tożsamość. Co ten termin oznacza z perspektywy socjologa?

Krzysztof Bierwiaczonek: Najkrócej tożsamość określić można jako zbiór właściwości opisujących istotne cechy aktora lub podmiotu społecznego w jego własnych przekonaniach. W przypadku miasta to zbiór najbardziej charakterystycznych cech wyróżnio-

nych przez konkretne podmioty społeczne. Są nimi mieszkańcy, przedstawiciele władz, eksperci, instytucje. Mówiąc o tożsamości miasta, rozmawiamy zatem o różnych miejskich narracjach. Miasto bowiem jest zawsze przez kogoś „opowiadane”.

Tomasz Nawrocki: Interesowało nas między innymi to, czy miasto staje się punktem odniesienia mieszkańców. Nie chodzi zatem jedynie o wizerunek miasta kształtowany przez informacje publikowane np. w mediach czy wynikający ze strategii promocyjnej lokalnych władz, lecz o pewien układ odwoływań do elementów związanych z przestrzenią miejską. Takim przykładem jest sprawdzanie, czy mieszkańcy Gdańska, Gliwic i Wrocławia, odpowiadając na pytanie: kim jestem, wplatali w nią narrację o mieście.

MK: Jaki jest związek między miejskimi opowieściami a przekonaniem mieszkańców? Czy są to narracje tożsame?

TN: Nie zawsze. Opowieści miejskie to kategoria szersza. Łączy bowiem te

narracje, w których miasto jest „bohaterem”. Może to być literatura, pewna linia ideowa, strategia rozwoju, a także promocja miasta – przygotowywane przez władze miejskie; wypowiedzi ekspertów (socjologów, historyków, architektów) oraz lokalnych autorytetów i wreszcie tożsamościowe narracje mieszkańców kształtowane pomiędzy tradycyjnie rozumianą przestrzenią publiczną a nowymi formami obecności miasta w przestrzeniach informacji, rozrywki i handlu.

MK: Jaki obraz Gliwic i gliwiczian wyłonił się na podstawie przeprowadzonych badań? Czy narracje mieszkańców pokrywają się z miejskimi opowieściami innych podmiotów?

TN: Gliwice to przykład miasta, w narracji o którym dominuje właściwie jedno hasło: „przeszłość”. Analizowaliśmy wiele różnych źródeł, rozmawialiśmy z ekspertami odpowiedzialnymi za tworzenie strategii rozwoju miasta i narracji o nim. Badaliśmy oczywiście również kontrnarracje, bo takie zawsze są obecne w dyskusjach o mieście. Następnie konfrontowaliśmy wyłaniający się obraz Gliwic z wypowiedziami mieszkańców.

MK: Co mówili eksperci i przedstawiciele lokalnych władz?

TN: Ujmę to w ten sposób: Gliwice w narracjach tych podmiotów to miasto, w którym sprawnie rozwija się bieżące problemy, stawia się na rozwój, w tym na rozbudowę infrastruktury miejskiej i patrzy w przyszłość. Tożsamościowe kwestie związane z miastem czy mieszkańcami nie stanowią głównego przedmiotu debaty, schodzą na dalszy plan.

KB: Jedno z pytań zadanych ekspertom i przedstawicielom lokalnych władz dotyczyło znaczenia przeszłości dla powstających narracji o mieście. Wielu z nich wskazywało od razu instytucje z założenia mające zajmować się tym tematem, tj. założone w 1905 roku Muzeum w Gliwicach oraz Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej, którego celem jest przypomnienie o wielokulturowości Śląska i prowadzenie dialogu międzynarodowościowego. Te instytucje, zdaniem przedstawicieli władz oraz wielu ekspertów, odpowiadają za relację przeszłości z teraźniejszością. Musimy jednak pamiętać, że są to instytucje mające swoich ściśle określonych odbiorców, a zatem również o ograniczonym wpływie na tworzenie się tożsamości wszystkich mieszkańców.

MK: W kontekście Gliwic można chyba jednak mówić o pewnym rodzaju połączenia tradycji i władzy. Zygmunta Frankiewicza pełni funkcję prezydenta miasta nieprzerwanie od 1993 roku...

TN: Narracja o mieście tworzona jest także przez prezydenta, który od dwudziestu pięciu lat ma legitymizację wyborczą. Nazwaliśmy ją technokratycznym sposobem myślenia o mieście.

MK: Co to oznacza?

TN: W Gliwicach realizowana jest konsekwentnie technokratyczna wizja miasta jutra. Mieszkańców łączy miejsce pracy, współdzielone przestrzenie rozrywki i handlu, ale nie myśli się o tworzeniu prawdziwej wspólnoty. Nic więc dziwnego, że gliwiczanie nie korzystają z prawa do decydowania o mieście. Na przykład niewielkie znaczenie ma inicjatywa budżetu obywatelskiego. Jest to miasto przyszłości oferujące atrakcyjne miejsca pracy, sprawną komunikację samochodową oraz rozbudowane przestrzenie rozrywki, rekreacji i handlu dla mieszkańców-konsumentów, lecz nie obywateli wspólnoty miejskiej.

MK: Wynika z tego, że gliwiczanie również nie muszą konstruować tożsamości miasta, ponieważ oni już wiedzą, że „przyszłość jest tutaj”...

KB: ... „cokolwiek to znaczy”, jak powiedział jeden z ekspertów. Tu pojawia się wątek kontrnarracji, które były słyszalne, ale w zdecydowanej mniejszości i właściwie bez większego znaczenia dla głównej wizji miasta. Co ciekawe, kilkoro respondentów – mieszkańców Gliwic – odpowiedziało, że są dumni z mieszkania w tym mieście...

MK: Czy to zła odpowiedź? Rozmawiamy o mieście, w którym zapewne jedną z najbardziej łączących wszystkich instytucji jest Politechnika Śląska kształcąca przyszłych inżynierów...

KB: Jeden z ekspertów opowiedział nam pewien żart. Otóż, jeśli na ulicach Gliwic ktoś krzyknie: „Panie inżynierze!”, odwrócić się wszyscy mężczyźni... Politechnika Śląska jest wiodącą uczelnią techniczną w Polsce i rzeczywiście mieszkańcy są z niej dumni, wymieniając ją jako jedną z najbardziej spajających przestrzeni. Jednak czy miastotwórczą siłę można opierać jedynie na technologiczno-infrastrukturalnej wizji?

MK: Kim jest zatem współczesny gliwiczanie?

TN: Gliwiczanie identyfikują się przede wszystkim z polskością, w dalszej perspektywie z miastem. Aby być gliwiczanie, wystarczy... mieszkać w Gliwicach. Nie ma tu rzeczywistego historycznego zakorzenienia, czasem jedynie pojawiają się odwołania do lokalnych mitów. W ogóle te historyczne wątki w wypowiedziach mieszkańców są niezwykle ciekawe. W odpowiedziach na pytanie o najślawniejszego gliwiczanie najczęściej pojawiała się

nazwisko Oscara Tropłowitza, współwynałazcy kremu Nivea, a jednym z najważniejszych wydarzeń z przeszłości miasta był natomiast... przemarsz wojsk Jana III Sobieskiego, który miał tu napisać „List do Marysienki”. Zapomina się natomiast o innych istotnych wydarzeniach, jak chociażby o lądowaniu sterowca „Graf Zeppelin” w 1931 roku, o wiele bardziej znaczącego dla przestrzeni lokalnej.

MK: Jest jeszcze Radiostacja Gliwice...

TN: To także kontekst szerszy, europejski. My szukaliśmy opowieści, które bardziej zakorzeniłyby mieszkańców w regionalnym i lokalnym kontekście narracyjnym.

KB: W tym sensie ciekawym przykładem jest inny znany gliwiczanie, Karl Schabik, o którym mieszkańcy prawie zupełnie zapomnieli, choć pamięta o nim wielu ekspertów, a który przecież to miasto tworzył w I połowie XX wieku. Był znanym architektem odpowiedzialnym za planowanie przestrzenne Gliwic. Zaprojektował zresztą jedną z ważniejszych osi urbanistycznych prowadzącą od pl. Krakowskiego obok obecnej siedziby Urzędu Miasta.

MK: Jakie są konsekwencje technokratycznego sposobu myślenia gliwiczanie o mieście oraz konstruowanie tożsamości w niewielkim stopniu odnoszącej się do miejskiej przestrzeni? Czy taka postawa może sprzyjać silniejszemu odplywowi mieszkańców w sytuacji, gdy miasto przestanie sprawnie funkcjonować? I, powiedzmy, gliwiczanie bez problemu za chwilę stanie się np. rybniczanie albo katowiczanie?

KB: Ten wątek w jednym ze swoich tekstów poruszył prof. Tadeusz Sławek. Pisząc o odkrywaniu miasta, nawiązał do metafory miasta „dolnego” i „górnego”, a także łączącej ich bramy. „Dolnym” miastem poruszamy się na co dzień, to tkanka urbanistyczna i architektoniczna – i z niej gliwiczanie są zadowoleni. Jest jeszcze „górne” miasto, a więc próba zbudowania głębszej, indywidualnej relacji z miastem, w którym mieszkam. Trzeba tylko podjąć trud odnalezienia bramy stanowiącej przejście między obiema sferami, a to oznacza m.in. konieczność obecności jednostki w mieście, jej aktywne uczestnictwo w zdarzeniach mających wpływ na funkcjonowanie miejsca. Wydaje się, że w Gliwicach ten rodzaj wysiłku nie jest podejmowany.

MK: Czy mieszkańcy Gliwic mają świadomość, że największy wpływ na to, w którym kierunku rozwija się miasto, ma lokalna władza?

TN: Zdecydowana większość respondentów wskazała lokalną władzę jako najsilniejszą miastotwórczą siłę. Swoją

wpływ na miasto postrzegają znacznie słabiej. Co ciekawe, nawet jeśli mogą bezpośrednio decydować o zmianach, to nie do końca się angażują w tego typu wydarzenia. Trudno żeby było inaczej, jeżeli władze miasta niechętnie patrzą na inicjatywy społeczne, takie jak np. próba zorganizowania akcji Żywa Ulica przez Fundację Napraw Sobie Miasto.

MK: Państwa badania dotyczyły także Gdańska i Wrocławia. Czy tego typu analizy socjologiczne mogą mieć wspólnego odbiorcę?

TN: Szczególnie ciekawe wydaje się zestawienie wyników przeprowadzonych przez nas badań w kontekście współczesnej tożsamości tak różnych przestrzeni miejskich i ich mieszkańców. A różnic tych jest wiele: historia, geograficzna lokalizacja, strategia rozwoju miasta, pochodzenie mieszkańców, ich stosunek do władz i lokalna polityka, typy uczelni, znaczenie w skali regionu, kraju i Europy itd. Zależało nam na tym, aby pokazać, jak różne strategie mogą być obierane zarówno przez władze, jak i mieszkańców w kontekście konstruowania własnych tożsamości. Pewnych rzeczy możemy się od siebie uczyć i dawać wskazówki, na co osoby mające wpływ na kształtowanie świadomości mieszkańców mogą zwrócić jeszcze uwagę, przygotowując strategię rozwoju i promocji miasta na następne lata. Szczególnie ciekawym przykładem jest tu Gdańsk, w którym prowadzi się od lat debatę o tożsamości miasta i w sposób świadomy kreuje wspólnotę mieszkańców. Gdańsk zdecydowanie odróżniał się zarówno od Gliwic, jak i Wrocławia.

KB: Na pewno będzie to również ciekawa lektura dla mieszkańców miast, którzy dzięki temu być może zadadzą sobie podobne pytania o znaczenie miasta w konstruowaniu własnej tożsamości.

MK: Dziękuję za rozmowę. ■

Książka pt. *Miasto – Przestrzeń – Tożsamość. Studium trzech miast Gdańsk, Gliwice, Wrocław* autorstwa dr hab. prof. UW r Katarzyny Kajdanek, dr hab. Krzysztofa Bierwiazczonka, dr hab. Małgorzaty Dymnickiej i dr hab. Tomasza Nawrockiego ukazała się w 2017 roku nakładem Wydawnictwa Naukowego Scholar. Wywiad ukazał się w cyklu „Nauka i sztuka”, ogłaszany na portalu internetowym Uniwersytetu Śląskiego: www.us.edu.pl



Z prof. dr. hab. **PRZEMYSŁAWEM MARCINIAKIEM**
rozmawia dr MAŁGORZATA KŁOSKOWICZ

Fot. Sekcja Prasowa UŚ



Ci pragmatyczni Bizantyńscy

Jaki był mieszkaniec XII-wiecznego Konstantynopola? To zazwyczaj dobrze wykształcony chrześcijanin znający starożytną literaturę grecką i nią zafascynowany. Mówił po grecku i miał też greckie poczucie humoru. Gdy chciał kogoś obrazić, nazywał go pijanym mężczyzną bez brody. Nie znał łaciny, bo jej nie potrzebował, a mimo to nazywał siebie Rzymianinem. Sprzeczności te dobrze oddaje słowo „ρωμιοσύνη” oznaczające zarazem „rzymskość” i „greckość”.

Małgorzata Kłoskowitz: XII-wieczni Bizantyńscy to...

Przemysław Marciniak: ...chrześcijańskie społeczeństwo mówiących po grecku Rzymian, które żywo zainteresowało się kulturą spuścizną antycznej Grecji, chociaż zawsze miało do niej stosunek ambiwalentny ze względu na jej pogański charakter.

MK: Jeśli Bizantyńscy czuli się Rzymianami i tak się określali, dlaczego tak bardzo interesowała ich antyczna literatura grecka?

PM: Być może to, co teraz powiem, zabrzmi nieprawdopodobnie, ale Bizantyńscy praktycznie nie znali łaciny. Czuli się politycznymi spadkobiercami starożytnego Rzymu, ale w przestrzeni kultu-

ry, w tym również literatury, bliższa im była spuścizna starożytnej Grecji. Co więcej, nie uważali łaciny do tego stopnia, że w liście do papieża Mikołaja I cesarz Michał III – znany w historiografii jako Pijak – nazwał ją językiem barbarzyńskim. Bizantyńscy byli pragmatyczni. W okresach silniejszych napięć z Rzymem potrafili zmieniać kody kulturowe stosownie do aktualnie odpowiadającej im orientacji politycznej.

MK: A gdyby nazwać ich Grekami?

PM: Przez wiele wieków określenie „Grek” („Graikos”) lub „Hellen” miało negatywne znaczenie, „Hellen” był synonimem poganina, a my rozmawiamy przecież o społeczeństwie chrześcijańskim. Z czasem jednak zmieniło się znaczenie tych słów i w wyniku nagłego oraz intensywnego zainteresowania literaturą helleńską używali ich, by podkreślić z dumą swe greckie powinowactwo.

MK: Szczególnie silne zainteresowanie literaturą starogrecką przypada właśnie na okres XII-wiecznego Bizancjum. Dlaczego akurat wtedy stała się tak bardzo popularna?

PM: Jest to jeden z fenomenów w dziejach Cesarstwa Rzymskiego. XII wiek to czas ekonomicznego odrodzenia tej czę-

ści Imperium, która pod rządami dynastii Komnenów osiągnęła niezwykle wysoki poziom rozwoju gospodarczego. Rosła populacja, ożywił się handel. Okres rozkwitu sprzyjał migracjom, do Konstantynopola przybywali wykształceni ludzie szukający zatrudnienia. XII-wieczne Bizancjum to chyba jedyne miejsce w historii świata, w którym bycie filologiem klasycznym gwarantowało pracę i całkiem przyzwoite dochody. Specjaliści zatrudniani byli przede wszystkim w cesarskiej administracji, gdzie posługiwano się językiem starogreckim. To tak, jakbyśmy w polskich urzędach mieli posługiwać się językiem z czasów Jana Kochanowskiego. Potrzebni byli zatem wykształceni pracownicy tłumaczący i opracowujący dokumenty. Wówczas było ich tak wielu, że często musieli ze sobą konkurować, by zwrócić uwagę patronów.

MK: Do tego służyła im literatura antyczna?

PM: Jeden z żyjących w XII wieku nauczycieli pisał, że w jego czasach w Konstantynopolu retorów było niczym królików. Zarzucał swoim kolegom, że rabowali groby starożytnych, a co zapożyczyci, to przedstawiali jako swoje. Zanim jednak porozmawiamy o kopiowaniu, musimy zrozumieć, że Bizantyńscy musieli się najpierw nauczyć starogreckiego. Czytali zatem greckie tragedie nie po to, by uczyć się moralności (przekonanie, że tragedie greckie uczą moralności jest tak naprawdę nowożytną projekcją), lecz by poznać język. W związku z tym nie dziwi komentarz zapisany gdzieś w odniesieniu do pism rzymskiego satyryka Lukiana z Samosat – świetny styl, treść pozbawiona sensu. Bizantyńscy uczyli się jednak nie tylko języka, lecz również sposobu pisania tekstów w oparciu o helleńską literaturę. W tym sensie wykorzystywali starożytną formę, łącząc ją z bizantyńską rzeczywistością głównie po to, jak już wspominałem, aby skutecznie przyciągnąć uwagę patronów.

MK: Czy każdy temat Bizantyńscy potrafili uczynić sobie współczesnym?

PM: Korzystali z wielu starożytnych toposów właściwie z wieloznacznymi wyjątkami. Pirat, który zakochał się w chłopcu? Do tego tematu Bizantyńczyk nie sięgnąłby. Nie zapominajmy, że było to społeczeństwo chrześcijańskie.

MK: Jeżeli zatem mieszkańcy Konstantynopola łączyli starożytną formę, wplatając w nią współczesną im rzeczywistość, czy można na podstawie zachowanych tekstów odtworzyć realia XII-wiecznego Bizancjum?

PM: Odpowiedź na pytanie, któredy biegne granica między rzeczywistościami – starożytną i bizantyńską – jest niezwykle trudna. Obie spletały się silnie w tekstach, które powstały prawie dziesięć wieków temu. W jednym z romansów Teodora Prodromosa opisany jest człowiek pełniący funkcję błazna, który udaje, że popełnia samobójstwo.

Mamy zatem opis typowego zachowania mimów na dworze cesarskim ujęty w formę tekstów Lukiana. Nie możemy więc mówić o prostym zwierciadle świata. Jest to raczej bizantyńska rzeczywistość ubrana w starożytne szaty.

MK: Potwierdza to także tytuł projektu naukowego, którym kieruje Pan Profesor. Mowa o przejęciu i przekształceniu literatury antycznej w twórczości XII-wiecznych bizantyńskich pisarzy...

PM: Kopiowanie tekstów starożytnych mogło się odbywać na poziomie zdobywania edukacji, gdy uczyli się języka starogreckiego. Jednak potem, ze względu na konkurencję, o której już wspominałem, próbowali tworzyć coś nowego. Zachował się dwunastowieczny anonimowy tekst satyryczny pt. *Timarion*, w którym otrzymujemy opis targu św. Demetriusza organizowanego w Salonikach. Jest to jedyny zachowany materiał dokumentujący ten targ. Jeden z badaczy odkrył, że opis jest wzorowany na podobnym fragmencie z powieści Heliodora Etiopika. Znów aktualne pozostaje pytanie, gdzie kończą się zapożyczenia, a w którym miejscu zaczyna się opis rzeczywiście istniejącego wówczas targu. I, nade wszystko, czy taki targ w ogóle się odbywał, skoro *Timarion* jest jedynym tekstem, który przynosi jego opis. Anonimowy autor prowadził grę z czytelnikiem.

Co więcej, pozornie pochlebne opisy mogły okazać się tak naprawdę ośmieszające, co dodatkowo komplikuje pracę filologów. Oto przykład: Prokopiusz z Cezarei piszący głównie pochwalne teksty na temat cesarza Justyniana jest również autorem największego plotkarskiego dzieła wczesnego Bizancjum, które konwencjonalnie nazywamy „*Ἀνέκδοτα*” („*Anekdoty*”, a zatem dosłownie: niepublikowane), w którym odsłaniał inną twarz cesarza i jego żony Teodory, opisując ich zbrodnie oraz intrygi – często nie wprost. Ale na zawołaną krytykę pozwalał sobie także w tekstach bardziej oficjalnych. W jednym z fragmentów innego dzieła Prokopiusz wspominał cesarza Justyniana, który w czasie powstania Nika postanowił opuścić Konstantynopol. Cesarzowa Teodora, namawiając go do pozostania, stwierdziła, że purpura cesarska jest najwspanialszym całunem. Cytowała opinię starożytnego greckiego tyrana, co stawia jej wypowiedź w zupełnie innym świetle. Współcześni czytelnicy nie mieli problemu z rozszyfrowaniem właściwego sensu tego tekstu. My musimy włożyć w jego rozumienie znacznie więcej wysiłku...

MK: Badacze literatury bizantyńskiej przypominają zatem archeologów. Pracują na dawnych treściach ubranych w jeszcze dawniejszą formę. Rzeczywiście można zgubić trop...

PM: Bizantynistyka ma wymiar międzynarodowy. Musimy się konsultować z innymi badaczami, co zresztą czy-

nimy z przyjemnością, by wymieniać się wiedzą i spostrzeżeniami, a także weryfikować kolejne odkrycia i pomysły. Badamy teksty, które przetrwały do naszych czasów. Niewiele z nich zostało wydanych, znaczna część dostępna jest w manuskryptach. Interesują nas nie tylko teksty literackie (w takim sensie, jak my je dzisiaj definiujemy), czytamy źródła „użytkowe”, takie jak scholia, czyli komentarze do starożytnych tekstów, kroniki lub historiografie. Znów te różnice między tekstami literackimi i użytkowymi są mocno zatarte. Na przykład Jan Tzetzes, XII-wieczny gramatyk, napisał w ramach scholiów poemat satyryczny. Niejednokrotnie odkrywamy zapiski, które nas zaskakują. Wspomniałem na początku, że Bizantyńczycy nie znali łaciny. Jest takie dzieło o tytule *Księga Suda* – leksykon bizantyński z X wieku, w którym znajdziemy hasła odnoszące się między innymi do starożytnych rzymskich osobistości – z licznymi błędami. Mylone są imiona cesarzy, historie im przypisywane itd.

MK: Skąd takie błędy?

PM: Autorzy bazowali na greckich tekstach opisujących czasy starożytnego Rzymu. Gdyby czytali po łacinie, mogliby odwoływać się do bardziej wiarygodnych źródeł. Łacina nie była im jednak do niczego potrzebna. To było praktycznie myślące społeczeństwo, o czym już wspominałem. Jeszcze w czasach trwania Cesarstwa Rzymskiego jedna jego część była bardziej łacińska, a druga – grekojęzyczna.

MK: Stosunek do cesarstwa zachodniego widać zapewne również w ich tekstach...

PM: To prawda. Teodor Prodomos napisał między innymi *Wyprzedaż żywotów* będącą przekształceniem czy też rodzajem kontynuacji tekstu Lukiana o tym samym tytule. W pierwowzorze Zeus wraz z Hermesem licytorem prowadzą wyprzedaż żywotów starożytnych filozofów. Tysiąc lat później Teodor Prodomos kontynuuje wyprzedaż, sprzedając najważniejszych pisarzy starożytności. Pod młotek poszły żywoty Eurypidesa, Arystofanesa, Demostenesa, Homera, Hipokratesa i... pewnego rzymskiego prawnika Pomponiusza. Hermes licytator odpowiadał na pytania kupujących, którzy, będąc przecież pragmatycznymi Bizantyńczykami, najczęściej chcieli wiedzieć, do czego może im się przydać dany pisarz. Eurypides pomoże oplakać zmarłą córkę, retor Demostenes – sprzedać wszystko każdemu, Hipokrates podpowie, jak ukryć brak wiedzy medycznej, a Arystofanes? Do niczego się nie przyda, ponieważ za dużo przeklina. Chociaż nie. Właśnie do tego może być wykorzystywany. Jeśli Bizantyńczycy zamierzali przeklinać, cytowali fragmenty pochodzące właśnie z tekstów Arystofanesa. Pozostał zatem rzymski prawnik Pomponiusz, który, jak można się domyślić, odpowiadał na pytania kupujących po łacinie. Tłumaczem był

Hermes. Rozpoczyna się jeden z moich ulubionych fragmentów, w którym dochodzi do licznych nieporozumień na tle językowym. Słowa łacińskie bowiem niejednokrotnie znaczą co innego w grece. Podam przykład. Pomponiusz zapytany, czym się zajmuje, odpowiedział: „*lege*”, co po grecku znaczy dosłownie: „*mów*”, na co kupujący odpowiedział: przecież mówię. Włączył się wówczas Hermes, który tłumaczył nieporozumienie. „*Lege*” po łacinie to oczywiście odmieniona forma słowa „*lex*” oznaczającego „*prawo*”. Prodomos podaje błędny przykład, ale to już wypadek przy pracy.

MK: Przywołane teksty świadczą o tym, że Bizantyńczycy mieli poczucie humoru...

PM: Jeśli Bizantyńczyk chciał kogoś obrazić, nazywał go pijakiem lub obrzezanym. Zachował się również jeden z bizantyńskich poematów składający się z pojedynczych słów dwunastosylabowych, z których każde jest obelgą. Bardzo obraźliwe było jednak nazwanie kogoś mężczyzną... bez brody. Taki wygląd charakteryzował eunuchów. Pod koniec istnienia Bizancjum powstała *Msza bezbrodego* – jeden z najbardziej nieprzyzwoitych utworów tamtego okresu. Na pewno greckie, fizjologiczno-erotyczne poczucie humoru było im bliskie. Potrafili w towarzystwie opowiadać dowcipy, które nas mogłyby żenować. Zachował się na przykład tekst obrażający w ponad stu wersach dojrzałą kobietę próbującą się odmłdzać. W poemacie znalazł się opis jej życia, została porównana między innymi do legowiska węgory lub portu, do którego zawinęło zbyt wiele statków. To także jest spuścizna starożytnych Greków. Była w XII-wiecznych Bizantyńczykach intrygująca sprzeczność. Badamy bowiem społeczeństwo do głębi chrześcijańskie zafascynowane jednocześnie pogańską literaturą.

MK: Dziękuję za rozmowę. ■

Prof. dr hab. Przemysław Marciniak pełni funkcję koordynatora Byzantine Reception Network, sieci naukowej finansowanej ze środków nagrody przyznanej przez Alexander von Humboldt Stiftung. Jest kierownikiem Katedry Filologii Klasycznej, pracował i przebywał na długoterminowych stażach badawczych w Belfaście, Berlinie, Paryżu, Uppsali, Waszyngtonie i Princeton. Jest pierwszym od ponad czterdziestu lat Polakiem, którego tekst ukazał się w najbardziej prestiżowym czasopiśmie bizantynistycznym „*Dumbarton Oaks Papers*” wydawanym przez Harvard University Press. Wywiad ukazał się w cyklu „*Nauka i sztuka*”, ogłaszającym na portalu internetowym Uniwersytetu Śląskiego: www.us.edu.pl.



Profesor Krzysztof Uniłowski

MARIAN KISIEL

Jest krytykiem wybitnym, uznanym, nagradzanym, o rozległych horyzontach intelektualnych oraz niezwyklej intuicji literackiej. Tak pisać jak on, tak odczuwać literaturę jak on, i tak dyskutować jak on, potrafi niewielu. Dzisiaj jest jedną z najważniejszych osób w polskim środowisku literaturoznawczym, zajmujących się prozą, krytyką literacką i krytyką idei. Jest ponadto znakomitym historykiem literatury polskiej XX i XXI wieku, czołowym teoretykiem badań nad postmodernizmem/ponowoczesnością.

W ostatnim dwudziestoleciu, kiedy piszący starają się uzasadnić swoją inną pozycję poznawczą niż ona jest

w rzeczywistości (krytyk pragnie być filozofem, historyk literatury krytykiem, interpretator pisarzem, pisarz natomiast wszystkie te role chce dzierżyć pospołu), w licznych pracach Krzysztofa Uniłowskiego relacja między krytykiem a historykiem literatury zawęża się i – jednocześnie – zacieśnia. Uczony jest akademikiem, dlatego w krytyku uzewnętrznia swój dystans historyk, a w historyku próbuje się wydobyć z podskórnej tkanki subiektywność krytyczna. Ten zaplot nie jest pierwszoplanowy, ale znaczący. Świadczy o niemożności rozgraniczenia dwóch konkurujących z sobą ról (krytyka i badacza literatury), jest

także wskaźnikiem potwierdzającym znaną prawdę, iż o współczesności nie można pisać z dystansem, jakkolwiek tego dystansu należy poszukiwać, by nie wpaść w przepaść solipsyzmu.

Pozycję Krzysztofa Uniłowskiego – jako krytyka – ustaliły we współczesnym literaturoznawstwie polskim głównie jego książki: *Skądinąd. Zapisy krytyczne* (1998), *Polska proza innowacyjna w perspektywie postmodernizmu* (1999), *Koloniści i koczownicy. O najnowszej prozie i krytyce literackiej* (2002), *Granice nowoczesności. Proza polska i wyczerpanie modernizmu* (2006), *Kup pan książkę! Szkice i recenzje* (2008), *Prawo krytyki. O nowoczesnym i ponowoczesnym pojmowaniu literatury* (2013), *Historia, fantastyka, nowoczesność. Szkice* (2016). Szeroko komentowane, zostały docenione w swoim czasie nagrodami literackimi imienia Ludwika Frydego i Kazimierza Wyki. Książki te nie określają jednakże całego dorobku badacza. W rozproszeniu pozostają szkice, które słabiej przystają do jego książek o prozie i krytyce, liczne recenzje, felietony i polemiki. Do takich ważnych, wielokrotnie cytowanych i inspirujących prac zaliczyłbym np. studia o Tadeuszu Różewiczu, twórcy na pograniczu nowoczesności i postnowoczesności. Ale tych szkiców jest znacznie więcej.

Niebywale wysoko cenię pierwszą książkę Krzysztofa Uniłowskiego, której tytuł brzmi *Skądinąd*. Krytyk nie tyle (choć także) pisze w niej o konkretnym utworze (powieści polskiej lat dziewięćdziesiątych), ile rekonstruuje świadomość literatury końca XX wieku. Pyta nie o poszczególne przypadki, lecz o regułę, która organizuje funkcje prozy nowoczesnej: estetyczną i poznawczą. Zasadniczo też najbardziej interesujące jest w jego książce to, co nazywa on „korzennością” (Uniłowski, przypomnijmy, jest świetnym teoretykiem tego nurtu), a co w przełożeniu na tradycyjny język krytyczny oznacza „źródło”, „początek”, „tradycję”. Jakkolwiek zatem zabrzmiałoby to nienowocześnie, w powieści nowoczesnej ostatniego ćwierćwiecza poszukuje on siły, która jednoczy w uniwersum rozbicia, nieciągłości i destrukcji. W dobie „ruin” szuka „domu”.

Badacz napisał: „Dom, miejsce naszej obecności, koniecznie posiadać musi także pewną lukę, niezbędną po to, by przyjąć i ugościć cudzą nieobecność. Strażnikiem tej luki jest pamięć, dzięki której nawiedza nas gość – zjawia nieobecnego, Wszelako



obecność tej zjawy w domu w pewnym sensie zawiesza nasze prawo własności, nas samych czyniąc gośćmi – ze wszystkimi przywilejami i powinnościami gościa. Tym samym dom, zamiast miejscem bycia, zawsze będzie miejscem pobytu, miejscem, które nawiedzamy. Nigdy nie jesteśmy (w tym lub w każdym innym miejscu), lecz zawsze przychodzimy (skądinąd). A »korzeń« (czykolwiek by był: tradycją, genealogią, kulturą) pozwala nam jedynie o tym zapomnieć” (*Skądinąd*, s. 56).

Mówiąc inaczej: „korzenność” jest poznawaniem, powrotem do źródeł (rodziny, środowiska, społeczeństwa), próbą opanowania chaosu i terapii w stanie rozbitcia. Jest równocześnie poszukiwaniem „punktu zero” dla współcześnie zdekomponowanej świadomości kulturowej. Bardziej określa ją hermeneutyczny „brak” niż jakakolwiek koncepcja holistyczna. „Korzenność” nie chce powrotu do holizmu, pokazuje, że jest on dzisiaj niemożliwy, nawet wtedy, kiedy pojawia się pod postacią niestającej – i jak chce Przemysław Czapliński: „wzniośle” – tęsknoty. Czy był możliwy kiedykolwiek? To inna historia.

Krzysztof Uniłowski pisze w swojej książce o prozaikach różnego autoramentu. *Skądinąd* dobrze; tytuł jego zbioru „zapisków” jest bowiem znaczący. Krytykowi nie zależało na tym, aby pokazać wyłącznie najwybitniejszych naszych pisarzy, ale by uchwycić główny trend świadomości kulturalnej końca wieku. Stąd obok takich autorów, jak: Teodor Parnicki czy Gustaw Herling-Grudziński, Feliks Netz czy Jan Witold Suliga, Dariusz Bitner czy Stefan Chwin, znaczną część *Skądinąd* zajmują omówienia książek prozaików debiutujących w ostatniej dekadzie. Nie zawsze są to nazwiska pierwszoplanowe, jak: Marek Bieńczyk, Natasza Goerke, Andrzej Stasiuk, Olga Tokarczuk czy Tomek Tryzna; pojawiają się również postaci mało znane, jak: Hubert Adamowski, Waldemar Bawolek czy Tomasz Małysek.

Uniłowski poszukuje w prozie lat dziewięćdziesiątych, by tak powiedzieć, reguły odpowiedzialności artystycznej. Sprawdza się ona zarówno w orientacji metaprozatorskiej jak też mitograficznej, a jej generalną definicję udaje się odnaleźć – według badacza – w dialektycznym spięciu modernistycznej i postmodernistycznej strategii pisarskiej. Proza polska końca wieku XX obydwie te strategie bowiem stosuje wymiennie. Co do te-

go autor *Skądinąd* nie ma wątpliwości – i słusznie. Ostatecznie jednak – i tutaj zasadza się wielka przenikliwość i intuicja krytyczna Krzysztofa Uniłowskiego – nie przesądza on o wadze któregoś z odłamów nowoczesnej prozy polskiej. Są one dla niego równorzędnym znakiem zmiany obecnej świadomości literackiej (kulturowej). I jakkolwiek krytyk sceptycznie odnosi się do cenzury roku 1989, to jednak w nieustannej dialektyce modernistycznej (starej) i postmodernistycznej (nowej) formuły zapisów narracyjnych dostrzega on to, co jest ośrodkiem przełomu. Bardzo trudno jest ten przełom definiować, choć można znaleźć jego zacieklego demona. Jest nim poczucie katabolizmu, nie uznające przeszłości i nie widzące przyszłości przed sobą. Ratunkiem przed taką świadomością może być tylko „korzenność”, powrót do tradycji, nawet jeżeli byłby to powrót do modernizmu *sensu largo*.

Skądinąd to książka uparcie trzymająca się podstawowej dyrektywy lekturowej: bliskiego kontaktu z tekstem. Uniłowski jeżeli nawet odchodzi na chwilę od tekstu, to tylko po to, by do niego powrócić z zestawem nowych pomysłów analitycznych. Tekst nie jest dla niego odskocznią dla jakichś – nawet jeśli są one metodologicznie kuszące – zбочzeń interpretacyjnych, lecz materiałem bezustannej obróbki intelektualnej, ciągłych i ponawianych pytań. I w tym upatrywać należy zarówno wielkiej wartości samej książki krytycznej, jak też sposobu lektury jej autora. Ten zbiór tekstów do dzisiaj czytanych i cytowanych, ukazał od razu krytyka całkowitego i kompetentnego, a jednocześnie niepodległego w swoich sądach. Doceniającego innych i kłócącego się z samym sobą. Poszukującego – powiemy za tytułem jego ostatniej książki – „prawa krytyki”.

W *Kolonistach i koczownikach*... owo „prawo krytyki” jest również „prawem do krytyki”. Przede wszystkim badacz zanegował w tej książce przekonanie o „wspólnotowym” wymiarze krytyki samej. Motto z Chozroesa Arsakida odnosiło się jeszcze do „korzenności” („Korzeń – cała tu i tajemnica! Ostatecznie, jedyne, słuszne zagadki rozwiązanie”, s. 7), ale sama książka, rozwijając temat podjęty w *Skądinąd*, była – w istocie rzeczy – próbą rozerwania tego, co z „korzennością” się wiąże, czyli ze wspólnotowością rozumianą jako „bractwo” wzajemne. W słusznej *skądinąd* polemice ze mną, Krzysz-

tof Uniłowski zauważył, że krytyk musi być bezwzględny w ocenie. Napisał o mnie: „Trudno mu wybić, kim powinien być: przyjacielem, starszym bratem, kibicem, »poputczikiem« młodych czy – przeciwnie – surowym mentorem” (s. 255-256). I ostatecznie sam sobie przydał ostatnią etykietę. Mentor to ktoś, kto nie poucza, ale dokładnie czyta; nie tyle oczekuje, ile pyta o podstawy decyzji; wierzy w pisarza, lecz mu nie schlebia. Można by w tej – poniekąd idealistycznej – postawie krytycznej widzieć/zauważyć to, co kiedyś nazywano „jądrem etycznym” krytyka, gdyby nie fakt, który Krzysztof Uniłowski stale podkreśla: krytyk jest dzieckiem swojego czasu i tym samym wchodzi w obieg wytwarzania, dystrybucji i reemisji znaczeń. *Et ipso*: nie może być sterylnie niezależny, ponieważ reprezentuje środowisko, z którego wychodzi i które współtworzy. Niezależność krytyka jest więc pozornym „faktem literackim”, by termin Jurija Tynianowa odnieść do innej rzeczywistości znaczeń. Krytyk komunikuje się nie zawsze z literaturą, o której pisze, ale zawsze komunikuje się ze swoją myślą, którą narzuca literaturze.

W *Kolonistach i koczownikach*, zbiorze recenzji i szkiców pięknie napisanych i świetnie przebranych, znajdziemy – wśród prozaików – Jerzego Limona i Stefana Chwina, Augustyna Barana, Andrzeja Barta, Annę Burzyńską, Andrzeja Falkiewicza, Brygidę Helbig, Witolda Izdebskiego, Michała Komara, Zbigniewa Kruszyńskiego, Wojciecha Kuczoka, Artura Daniela Liskowackiego, Jerzego Pilcha, Janusza Rudnickiego, Mariusza Sieniewicza, Andrzeja Stasiuka, Piotra Szewca, Adama Ubortowskiego. Jakaż piękna plejada, chciałoby się powiedzieć. I jednocześnie: jakaż dziwna plejada. Autorzy o nazwiskach wielkich sąsiadują z autorami o nazwiskach rozpoznawalnych. Nie łączy ich biografia, pokoleniowa przynależność, wspólnota („bractwo”) przyjaźni. Łączy ich temat literacki, czy to, co w innej perspektywie Uniłowski uzna za walor wielkości/sensu/znakomitości literatury. Napisze: „Ranga literatury [...] zasadza się na jej zdolności do podążania w ślad za człowieczym doświadczeniem” (s. 107). Dzisiaj, kiedy kategoria „doświadczenia” stała się głównym pojęciem antropologii, ten – może staroświecki – postulat indywidualnego potwierdzenia siebie w tekście wybrzmiewać może nieco ironicznie. A przecież tak

wybrzmiewać nie może. Kiedy przy okazji *Prababki* Mariusza Sieniewicza krytyk powie: „opowieść, nawet niezasadna i nieprawomocna, opowieść będąca wyłączenie grą re-kreacyjną, posiada walor terapeutyczny. Jest swego rodzaju procedurą magiczną – pozwala pogodzić się z utratą” (s. 155), w tych słowach zawiera się pełna otwartość na możliwe światy literatury, jej idiosynkratyczne uwikłania.

Zmierzam do tego, co niekoniecznie pewnie znajdzie potwierdzenie w tekstach pisanych, ale może odnajdzie swoją wiarygodność w przeczuć/intuicji krytycznej, że Krzysztof Uniłowski jest pełnym spadkobiercą tego myślenia o literaturze, jakie uosabiał Henryk Bereza. Totalności bezwzględnej, a jednocześnie czulego spoglądania na środowisko, które współtworzy. Kiedy w recenzji zbioru szkiców Dariusza Nowackiego napisze, że „to książka błyskotliwa, świetnie napisana, a jej autor nie jeden raz udowodnia, że potrafi czytać po swojemu”, to zaraz doda: „Może naprawdę zabrakło w tym wszystkim miłości. Nie do literatury. Do kilku książek” (s. 269). „Miłość”? To pojęcie w literaturoznawstwie anachroniczne! Mówi o niej krytyk znakomity, domagający się „intelektualnej nędzy trzeźwego rozumu, który zawsze potrafi odróżnić życie od literatury” (s. 75). Doświadczenie jako wyraźna kategoria antropologiczna staje się u Krzysztofa Uniłowskiego jakimś argumentem sporu, a może zdecydowanego współistnienia w jednym, drugim i trzecim – życiu, idei i wyrażeniu. Wydaje mi się, że to są kwestie zasadnicze w jego systemie krytycznoliterackim, który – naturalnie – jak zobaczyliśmy, nie może być zborny.

Trzecia książka krytyczna: *Kup pan książkę! Szkice i recenzje* (2008) była rozszerzeniem i – jednocześnie – radykalnym „odnowieniem” wizerunku krytyka akademickiego, jakim zawsze był Krzysztof Uniłowski. To zbiór tekstów, które wpisują się w nową przestrzeń humanistycznego dyskursu, mianowicie kultury literackiej (rozumianej trochę w duchu znakomitej szkoły kulturologii Stefana Żółkiewskiego). Tutaj być może najwyraźniej dochodzi do głosu to, co zamyka się w szufladach tzw. obiegu trzecich, czyli w obrębie literatury popularnej i jej wariantach szczególnych. Krzysztof Uniłowski podchodzi jednak do prozy (głównie do niej) tego kręgu z równą odpowiedzialnością, co do prozy tzw. wysokiej. Poszukuje

w niej mianowicie szacunku dla czytelnika. W tym sensie tytuł książki jest odzwierciedleniem reguły socjologicznoliterackiej: kup książkę, szanując autora.

Przeczytamy jednak (trochę dogmatyczne zdania): „nasza literatura, werbalnie odzeganująca się od postmodernizmu, tkwi aż po same uszy w pułapce ponowoczesnej właśnie kondycji. I trudno się spodziewać, aby wróciły stare, dobre czasy, kiedy to mniej więcej było wiadomo, do czego służą wiersze, opowiadania i powieści. Brak generalnej idei literatury może być zresztą rozumiany jako zaproszenie do refleksji nad tym, co tłumaczy wybory czytelnicze każdego z nas. Nie ma powodu, dla którego uzasadnienia »lokalne« musiałyby pozostawać błahe i miałkie. W końcu nieoczywistość literatury i nieoczywistość zajmowania się nią to nic innego jak wezwanie, by czytelnik samodzielnie zdecydował i ustanowił wartość czytanego dzieła” (s. 9).

Autorzy lektur się powtarzają i poszerzają (są nimi wszyscy ważni prozaicy lat 90. XX wieku i lat pierwszych wieku XXI), ale nie oni (sami w sobie) są ważni. Uniłowski – jako krytyk totalny – poszukuje osobowości. W jego wyobrażeniu krytycznym, a nie mamy powodu, aby temu nie wierzyć, osobowości te są wytworem wieku XX, głównie wyobraźni tego stulecia. Krzysztof Uniłowski powiada, że jesteśmy po to, by czytać, pisać i śmiać się, jeżeli jest taka potrzeba. Jeżeli spór ma mieć znaczenie, to winien on biec od języka do wyobraźni właśnie.

W jakimś sensie zdumiewa, ale i ujmuje, postawa krytyka, który od samego początku deklaruje swoje przywiązanie do Teodora Parnickiego. Krzysztof Uniłowski twierdzi, że ten pisarz odwołuje się do Logosu kultury zachodniej i – poniekąd – tworzy go dla nas w pełni. A, idąc dalej, projektuje nasze wyobrażenie o literaturze samej. Napisał: „zainteresowanie twórczością autora *Słowa i ciała* kierowało mnie ku szerszej perspektywie historycznoliterackiej. Zajmowały mnie szczególnie przemiany prozy XX wieku, widziane przez pryzmat pojęć modernizm i postmodernizm. To zaś kierowało moją uwagę w stronę debaty na temat wykorzystania kategorii modernizmu i nowoczesności do syntetycznego opisu polskiej literatury XX wieku. Przychyłam się do traktowania dwudziestowiecznej literatury polskiej jako zwartego okresu historycznoliterackiego, który najlepiej

określić mianem modernizmu. Czasowe ramy epoki obejmowałyby co najmniej sto lat: od roku 1890 (a więc początków Młodej Polski) po rok 1989. W ramach takiej perspektywy okres po roku 1956 stanowiłby zamknięcie polskiego modernizmu”.

Tak zdecydowane przeświadczenie prowadzi nas ku innej perspektywie poznawczej. Dwie niebywale ważne książki teoretyczno-krytyczne: *Polska proza innowacyjna w perspektywie postmodernizmu* (1999) i *Granice nowoczesności. Proza polska i wyczerpanie modernizmu* (2006) ustawiły Krzysztofa Uniłowskiego w pierwszym szeregu badaczy, którzy zajmują się literaturą na pograniczu historii, fantastyki (więc: innej historii), a także tego, co można nazwać przemykiem między powieścią, antypowieścią i metapowieścią.

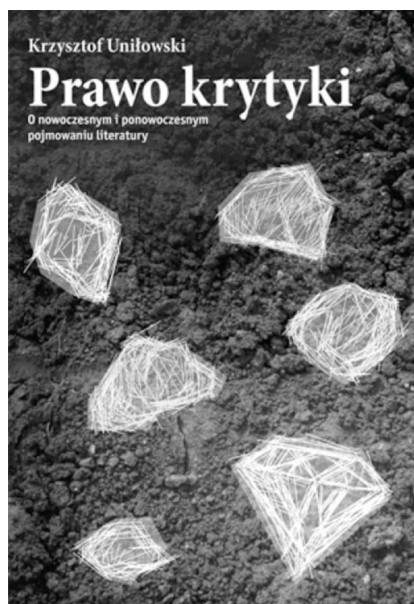
Badacz powiada, że korzysta z doświadczeń „poststrukturalistycznego tekstualizmu”. Tak jest bez wątpienia, ponieważ Teodor Parnicki, który stał się ikoną pisarstwa krytycznego Krzysztofa Uniłowskiego, w owym tekstualizmie odgrywa wielką rolę. Tymczasem, co warto podkreślić, jest on jedynie odskocznią dla literatury rozwijającej się w sposób żywiołowy, niekontrolowany, śmieszny niekiedy, a niekiedy poważnie. Krzysztof Uniłowski patrzy bowiem na autora *Srebrnych orłów* bardzo podejrzliwie, nie ulega owczemu pędowi gloryfikacji, ale stara się usłyszeć w tekście sprzed lat głos, który mógłby być głosem dzisiejszym. W *Granicach nowoczesności* przeczytamy: „Rzecz w tym, aby usłyszeć, jak w słowie dźwięczy pogłos nieobecnego głosu, aby zobaczyć, jak się odbija refleks bezpowrotnie zatartego zdarzenia...” (s. 129).

Krzysztofowi Uniłowskiemu, idealście ponowoczesnym (choć to oksymoron), który w Arystotelesowskiej triadzie: język – myślenie – rzeczywistość, tradycyjnej przeciwieństwo i nienowoczesnej, nacisk kładzie wyłącznie na myślenie, chodzi o to (jeśli dobrze go rozumiem), by wartość literatury, niezależnie od jej statusu historycznoliterackiego, rozpatrywać w kontekście ścisłego związku lekturowego. To, co określamy mianem desygnatu (wspólnej rzeczywistości dla twórcy i recypienta), staje się, by tak rzec, *ius primus* świata tekstowego. Pierwszą zasadą jest lektura, za nią idzie zrozumienie (lub niezgoda na rozumienie), a w końcu – stanowisko własne. Jeżeli tak jest, to studium *Polska proza innowacyjna...*, nieco dogmatyczne, choć świetnie napisane i mądre, na-

leży do marginesu dotychczasowej eseistyki krytyka. W tej książce tak bardzo mocno uwierzył w innowacyjność polskiej literatury, że Wielkie Nazwiska (Gombrowicz, Parnicki, Lem) uczynił projektodawcami nowej idei. Doświadczenie podpowiada jednak, że każda generacja musi odszukać w mocnej narracji to, co stanowi o jej wyjątkowości. I Krzysztof Uniłowski, nie rezygnując z pytań stawianych wielkim umarłym, zaczął szukać odpowiedzi, by tak rzec, na płaszczyźnie porozumienia. Zderzając głosy przeszłe z obecnie artykułującymi swoje potrzeby.

Książka *Prawo krytyki* do takich zderzeń należy. Jest zbiorem krytycznym i naukowym. Zaczyna się niepoważnie („Kukuryku”), a potem staje się coraz trudniejsza w odbiorze. Jeżeli potraktować poważnie (a innej możliwości nie ma) wcześniej cytowane zdanie z *Granic nowoczesności*, że łącznik lat 1890-1989 jest wspólnotą tej samej epoki, którą nazywamy modernizmem, to zauważamy niebywałą konsekwencję myślową Krzysztofa Uniłowskiego, nie bojącego się/nie wahającego się połączyć Stanisława Brzozowskiego z Tadeuszem Różewiczem, przepleść ich z Witoldem Gombrowiczem i Teodorem Parnickim, a następnie z Andrzejem Falkiewiczem, Mariuszem Sieniewiczem i Sławomirem Sierakowskim. Ten krąg nazwisk, różnych tytułów, tożsamościowych pytań i wielu innych kwestii, wyznaczy fundamenty obecnej „filozofii krytyki” Krzysztofa Uniłowskiego.

Nie detalizując szczegółowo wartości tej książki, powiedzmy, że jej sens da się streścić w sześciu zdecydowanie wyartykułowanych postulatach: 1) Krytyk, jest osobą w sensie Mounierowskim, tzn. ma podmiotowy charakter, uczestniczy w uniwersum życia społeczno-kulturalnego, a wygłaszając swój sąd, zawsze stoi wobec środowiska, niejednokrotnie formułując sądy niepopularne; 2) Krytyk, przywołując Stanisława Baczyńskiego, „sugestionuje” umysły środowiska, kształtuje ich potrzeby lekturowe i unieważnia dotychczasowe przyzwyczajenia; 3) Krytyk opowiada się za linią awangardową, nawet jeśli widząc jej niedostatki, chociaż potrafi docenić wartości tego, co klasyczne, a nawet ująć się za nimi w momencie zagrożenia ich istnienia; 4) Krytyk tworzy system estetyczny, niezależnie od jego spójności i ziarnistości zdań logicznych, ponieważ poza systemem krytyka nie istnieje; 5) Terminologiczna nieprzystawalność pojęć ogólnych,



typu: modernizm/nowoczesność, postmodernizm/ponowoczesność powoduje chaos metodologiczny; 6) Krytyk jest od redukcji chaosu na rzecz ładu.

Jakkolwiek nie wszystkie te postulaty dają się zauważyć w *Prawie krytyki* eksplicytnie, to przecież są one znakomicie identyfikowalne. Monografia ta jest bowiem skonstruowana na wzór książek poprzednich, chociaż ciężar gatunkowy jest tutaj znacznie większy. Przede wszystkim autor wielokrotnie rewiduje swoje wcześniejsze sądy. Jakby w myśl wskazania, że to, co dawne niesie z sobą posmak konserwy, Krzysztof Uniłowski zaczyna się sam z sobą spierać.

Ba! Znakomita okoliczność: spierać się z samym sobą! Ten spór pokazuje jednak, że krytyk nie miał możliwości prowadzenia debaty w iście akademickim stylu. Tym samym: centralne punkty kultury literackiej naszej współczesności zostały zmarginalizowane w dyskusji, odsunięte lub zaprzepaszczone. Krzysztof Uniłowski – wieczny dyskutant literacki – stawia kwestie zasadnicze: „krytycznie”, „nowocześnie”, „ponowocześnie” i „rozmaicie”. Już w tym uszeregowaniu przysłówków widać wyraźnie ironię, ale także dystans do przedmiotu badań. Nawet jeśli rzeczywistość literacka zmierza w stronę tak definiowanego świata, to powinnością krytyka jest obrona przed nim. Czym? Ironią właśnie, a może czasami zdecydowanym odporem, polemiką, serio wyłożonym projektem, w którym bezzasadnej popolitości przeciwstawi się jakąś normalną rację bytu.

Jest to książka wielkiej klasy, w której obok poważnego artykułu dobrane czuje się w sąsiedztwie szkic

mniejszej rangi. Boję się, że bliskie sąsiedztwo Stanisława Brzozowskiego sprawi, że Krzysztofa Uniłowskiego będzie się postrzegać właśnie w tej linii. Ale Brzozowski był humorzysty i niekonsekwentny w poglądach, podczas gdy Uniłowski jest stały w uczuciach literackich i wierny pisarzom. Jeżeli może ich coś łączyć, to tylko pasja poznawania, chęć ogarnięcia umysłem większej rzeczywistości niż ona jest.

Ostatnią książką Krzysztofa Uniłowskiego jest zbiór szkiców zatytułowany tak: *Historia, fantastyka, nowoczesność*. Otwierają się tutaj trzy porządki lektury: ten, który mieści się w klasycznym porządku prawdy historycznej; ten, który pyta o miejsce fantastyki w porządku (ewentualnej) historii; ten, który próbuje osadzić obydwa sposoby myślenia w porządku tzw. nowoczesności (czy modernizmu). Krytyk podejmuje różne wątki ideowe, pyta o konwencje literackie, zasadniczo jednak nie dzieli literatury na elitarną i popularną (w dawnym rozumieniu), ale stara się pokazać współzależność tego, co mieści się w nurtach głównym i pobocznym pisarstwa dwudziestowiecznego. To, co dyskursywnie elitarnie może być czytelniczo popularne, a to, co czytelniczo popularne staje się dyskursywnie elitarnie; poza tym układem (*streamem*) nie istnieje nowoczesność rozumiana jako splot rozmaitych wariacji literackich czy też sylw. W jakimś sensie Uniłowski jest obrazoburczy, kiedy łączy Zofię Kossak i Teodora Parnickiego, pisarzy z panteonu, z Krzysztofem Kęćkiem, o którym niejedynemu literaturoznawca nie wie, że istnieje. Tadeusz Różewicz, Joanna Chmielewska i Sylwia Chutnik? Jan Sowa, Romuald Pawlak i Szymon Twardoch? Te zestawienia drażnią i niepokoją. W trzynastu szkicach interpretacyjnych krytyk pyta jednak nie tylko o pojedynczy los i tekst, ale o coś więcej: o obecność w przestrzeni świadomości literackiej współczesności, tak mocno rozdartej między tym, co nowoczesne i ponowoczesne; tradycyjne, ufające dawnym wzorom i opierające się tradycji, poszukujące jakichś furtek dla nowej wrażliwości. Podobnie jak w książkach poprzednich Krzysztof Uniłowski jest tu piekielnie poważny. Ale przemycił także uśmiech ironisty. Literatura jest niebywale poważną sprawą, niemniej podchodząc do niej bez uśmiechu – zwariowalibyśmy. O tym wszakże pisałem wcześniej.

Pod patronatem „Śląska”

XIX Festiwal Ave Maria – garść refleksji



Zdjęcia: Urząd Miasta Czelaź

Cztery dni odbywającego się w Czelaździ XIX Festiwalu Ave Maria (24-27 maja 2018 roku) dostarczyły tłumnie gromadzącym się podczas koncertów melomanom, wielu różnorodnych, artystycznych wrażeń. Wszystko zaczęło się w Galerii Sztuki „Elektrownia”, gdzie w powstałej specjalnie z okazji festiwalu, przejmującej, modlitewnej suicie „Ave Industria” wystąpił Józef Skrzek wraz z towarzyszącymi mu artystami. Każdy dźwięk był wygrany i intonowany z ogromnym pietyzmem i mistrzostwem kompozytorskim przez tego wybitnego multiinstrumentalistę, a w połączeniu z subtelnym, pełnym ciepła głosem Eli Skrzek, aksamitnym brzmieniem wiolonczeli Julii Pasternak, z zadziomym, niczym niosącym się po górskich halach brzmieniem gajd, flecików i skrzypiec Zbigniewa Wałacha, także z niezwykle energetycznym i ekspresyjnym rytmem wybijanym przez legendarnego perkusistę Jerzego Piotrowskiego z dawnego SBB, i w połączeniu z pięknie dobranymi efektami świetlnymi stanowił magnetyczną, magiczną całość w tym rozedrganym, poindustrialnym obiekcie. Słowem, wszyscy mieli poczucie uczestnictwa w swoistym misterium ku czci Matki Bożej, a zasłuchanie w każdą frazę tego utworu mogłoby nie mieć końca.

Kolejny dzień festiwalu przyniósł sztanदारową pozycję programową festiwalu: Turniej Tenorów z Gwiazdą, który zawsze, a zatem i tym razem, odbywał się we wnętrzu świątyni pw. św. Stanisława B.M. Z orkiestrą zabrzańskich filharmoników wystąpili polsko-włoscy artyści: Przemysław Borys, Tomasz Kuk i Paolo Lardizzone. Gwiazdą wieczoru była mezzosopranistka Edyta Kulczak, śpiewaczka od lat związana z nowojorską Metropolitan Opera. Za dyrygenckim pulpitem stanął Francesco Bottigliero z finezją i maestrią doglądujący poszczególnych wykonawców. Jego ogromna muzykalność i pieczołowita dba-

łość o każdą frazę i subtelność dźwięków wydobywanych z orkiestrowych instrumentów była zachwycająca. I nawet nie przeszkodziły temu problemy techniczne (na szczęście chwilowe) z nagłośnieniem podczas koncertu. Tak na marginesie – słóczenie solistów i dyrygenta na ograniczających swobodę ruchu podestach, ustawionych w całkiem sporej nawet głównej kościoła, orkiestry oraz sporej ilości sprzętu nagłośnieniowego z pewnością nie dostarczało komfortu wykonawcom, nie przywykłym do śpiewania do stojących przed nimi mikrofonów. Dobra akustyka wnętrza kościoła – co sprawdzone zostało podczas wielu wcześniejszych festiwalowych koncertów, nie wymusza na organizatorach stosowania dodatkowego nagłośnienia, ale jeśli z jakichś powodów musi być, to należałoby pomyśleć o mniej inwazyjnym montażu.

Całość tego muzycznego przedsięwzięcia związał słowem – z właściwą sobie erudycją muzyczną i stosowną dozą humoru – ks. prof. Paweł Sobierajski, znakomity tenor, który od ubiegłego roku występuje w roli prowadzącego koncert. Zgromadzoną publiczność przypomniał postaci patrona turnieju, o którym zdają się coraz bardziej zapominać organizatorzy – Bogdana Paprockiego – wybitnego polskiego tenora, kilkakrotnie stawającego w turniejowe muzyczne szranki z młodszymi od siebie o kilka pokoleń artystami. O jego wielokrotnych, wspaniałych wykonaniach arii i pieśni podczas czelaźdzkiego festiwalu warto pamiętać, zwłaszcza w kontekście zbliżającej się jubileuszowej, dwudziestej edycji festiwalu.

Inny charakter miał trzeci dzień festiwalu, bowiem w krajobrazie Starego Miasta na scenie pojawili się laureaci zakończonoego w przededniu festiwalu Diecezjalnego Konkursu Piosenki Maryjnej „Pieśnią sławimy Maryję”, a zaraz po nich rozśpiewana i roztańczona Arka Noego – zespół mający niezwykle liczne grono fanów

zarówno w pokoleniu najmłodszym, jak i seniorów, których piosenki „Taki duży, taki mały” czy „Tato” znali chyba wszyscy, więc mogli angażować się do wspólnego śpiewania tych wpadających w ucho przebojów. I tu sacrum przeplatało się z profanum w jakże wdzięcznym wykonaniu grupy dzieciaków i profesjonalnych muzyków.

Od początku istnienia festiwalu organizatorem jednego z koncertów jest Śląska Izba Lekarska. Jest to ukłon w stronę lekarzy, którzy u zarania tworzyli to wielkie, zagłębiowskie święto muzyki. Zatem trzeci dzień festiwalu rozpoczął się mszą św. w intencji środowiska medycznego w kościele św. Stanisława B.M. celebrowaną przez ks. kan. Jarosława Wolskiego, proboszczą parafii, w artystycznej oprawie Chóru Śląskiej Izby Lekarskiej „Cames” pod dyktando Doroty Dziełak-Szczepan z udziałem lekarzy Jakuba Sozanów-Lubelskiego – tenora i Antoniego Dwornika – organisty.

Czterodniową, muzyczną ucztę duchową zwieńczył koncert w wykonaniu tria sopranowego „Sopranissimo”, które tworzyły: Joanna Horodko, Magdalena Stefaniak i Agnieszka Adamczak. Widownia zgromadzona w sali widowiskowej Kopalni Kultury wypełniona była po brzegi wielbicami pięknych głosów, zachwyconych urozmaiconym repertuarem trzech śpiewających dam. Zarówno towarzyszącą śpiewaczkom Orkiestrę Kameralną Filharmonii Zabrzeńskiej, jak i cały koncert prowadził Sławomir Chrzanowski – dyrektor artystyczny festiwalu. Tego wieczoru jeszcze długo rozbrzmiewały oklaski i pełne radości okrzyki rozentuzjasmowanej publiczności.

I jak zapewniał dyrektor Sławomir Chrzanowski – pomysły na przyszłoroczny festiwal już się klarują – bo musi to być wyjątkowe wydarzenie.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Rok olimpijski

Waza zmystów

RYSZARD JASNORZEWSKI

Hopliton dromos – bieg wojowników – wymagał od współzawodników przebiegnięcia czterech długości stadionu (czyli dystansu niespełna kilometra). Konkurencję wprowadzono do programu podczas 65 Olimpiady, w 520 roku przed naszą erą. Zrazu biegano w hełmie i z tarczą, później już tylko z samą tarczą. Hełmy pozostawiano poza stadionem, gdy antyczni atleci rywalizowali w innych walkach o laury. Na pewno jednak do każdych igrzysk zgłaszali się mężczyźni przyuczeni do wojny, na czas zawodów zwolnieni chwilowo od zabijania siebie wzajemnie, a także licznych barbarzyńców odwiedzających Grecję w celach zaborczych.

Ogłoszone w 1982 roku *Wiersze na igrzyska* Jerzego Harasymowicza są zbiorem kameralnych, a może ulotnych lirycznych dopowiedzeń. Pamiętki kultury chcą być czymś więcej niż rekwizytami pamięci. Naczynie, na powierzchni którego uwieczniono walczących wojowników jest z istoty „kruche”, lecz jednocześnie: „całe zbrzyzgane krwią”. To naczynie „patrzy” na nas. Spoglądają na nas dziesiątki innych waz z epizodami greckich igrzysk, wojen i zabaw. Przyglądają nam się przygody ludzi i bogów. Jacyś poeci dotknęli strun instrumentów: „Już tyle wieków grają / siedząc do siebie plecami”. Dziewczące postaci – bohaterki wiersza *Muzyka wazy* – trzymają w kruchych dłoniach liry, harfy i „trzy kitary”. Niczego nie wiemy o tych dziewczętach, ich „muzyka jeszcze nie dotarła do nas”, daleka droga przed nią, gdyż „przebywa / epok / dystans świetlisty”. Inny rysunek na wazie zatrzymał do końca czasu dziewczęta podczas kąpieli: „Zaczęły / w 435 przed naszą erą / dotąd jednak / nie znalazły gąbki”.

Jakiś dystans – raz po raz, rytmicznie i „już od wieków” – przebywa również legenda o bohaterach greckich igrzysk. Biegacze, którzy tak dawno, „przed wiekami”, wystartowali ku swojej mecie, którzy „biegną bez znużenia”, właściwie wciąż biegną, a „każdy metr / oddziela ich od śmiertelnych”. W innym agonie przyszły zwycięzca: „Ma ledwie metr przewagi / lecz pozostanie już niedoścignęły / na wieki”. Bohater malunku na wazie – i bohater liryczny – jeżeli okazał się zwycięzcą rywalizacji, nazywany jest przez poetę archaicznym „zwycięzcą”, zwycięża zatem gardłowo i wyraźnie, i bezwzględnie, i tak trudno, jak trudno wymówić jego imię.

Wszystko, co nasze już było, chociaż było jakoś lepiej, inaczej, jakoś bardziej zrozumiale. Według poety „świat – to waza”, greckie naczynie, w którym można przejrzeć się jak w lustrze. Liryczna opowieść o tym, jak podążano za swoim przeznaczeniem, jest zarazem pogodna, jak i drapieżna: „widzisz jasno / miecz w lustro wbity”. W takim podążaniu za losem igrzyska były chwilą skupienia, chwilą prawdy o sobie, która nie żądała przelewania krwi własnej i cudzej, lecz uczyła męstwa, waleczności, mistrzostwa. I taka po wsze czasy już po-

zostanie. A ty, dyskobolu z rzeźby Mirona: „Nawet gdybyś rękę stracił / dysk będzie ci rzucać / siłą przyzwyczaję”.

I od wieków trwa nie tylko konkurs ciał, ale również agon poetycki: „W biegu / w ciężkiej zbroi / weźmie udział poemat”. Słowa konkurują między sobą, poeci stają na linii startu z innymi poetami, ale tak naprawdę rywalizacja o sens zapisanej mowy jest zawsze walką samotną, grą z sobą samym: „Być tylko wierszem / skupionym i nagim // Wygrać z bogami / choć jeden bieg”. Liryczna refleksja o igrzyskach jest więc w praktyce zadumą nad wysiłkiem zmysłów, który towarzyszy każdej próbie przekształcania świata. Jeżeli sztuka coś człowieczego naśladowuje, to samotną męką wyścigu o (przyznajmy, raczej nieosiągalną) doskonałość i niemożliwe samospelnienie. Nic dziwnego zatem, że rzeźba Polikleta od wieków „sprawdza wieniec zwycięski / marmurową ręką”, w czymś się upewnia lub nad czymś zastanawia i nigdy nie porzuci dumy lub zakłopotania. W świecie przybliżeń sportu i sztuki, w świecie zadziwień i paradoksów, rydwan Fidasza być może „zatrzymał się dopiero / w połowie zdania”, a być może nadal pokonuje nieogarnięty dystans i „porywa” ze sobą – wraz z sobą – tego, który patrzy i własne zapatrzenie pragnie opisać. Konie rysunku na wazie, zaprzęgnięte do kwadrygi, wciąż „pędząc / roznoszą wprost wazę”. Upływ czasu, rozpad rzeczy i okaleczenie pięknych przedmiotów nic nie zmienia – „nadal same / mkną kopyta”. Rzeźba z maratonu uwieczniła młodzieńca – „Złuszczył się brąz wieków / i ciała wyrzwał błękit”. Zawsze jakiś pozór brązu lub złudzenie marmuru. Lub złudzenie życia. I zawsze – nam wszystkim – prześwietlające wszystko błękit śmierci.

Życie to ciągły agon, pełen znojów i nie do wygrania. Igrzyska sportowców są tego agonu najpełniejszym obrazem i metaforą. Zastygły w rzeźbę biegacz może powiedzieć samemu Hermesowi: „Masz złote sandały a jednak / w kilka

chwil / zrównałem się z tobą / nieśmiertelnym”. Zapewne Hermes nie odpowie, puści przechwałkę mimo uszu. Ludzie czynią inaczej, uważnie wysłuchają opowieści o niezwykłych wyczynach olimpijczyków, o najlepszych biegaczach, mistrzach skoków lub rzutów. Te opowieści powtarzamy sobie wzajemnie bądź zapisujemy dla pożytku potomnych. Zapisujemy albo rzeźbimy w marmurze, albo rysujemy na kruchym naczyniu. Przeznaczenie wybiera tych, którzy wychodzą mu naprzeciw. Reguły świata są proste. Tak samo na bieżnię świętej Olimpii, jak i w wąwozie pod Termopilami: „Już tyle wieków / wzbija się dym ofiarny / tu leży Spartan trzystu poległych / i jeden geniusz męstwa”.

Łatwo (czy nie za łatwo?) uwierzyć dedykowanym igrzyskom wierszom. Bez oporu wchłaniamy delikatną urodę epigramatycznych zapisków. Grecja intryguje, więc inspiruje. Grecji poezja nie odmawia. Mijają wieki, a nadal coś się dzieje i na pewno „się stanie / z niewidocznej strony / wazy”. Lecz co naprawdę? Dlaczego jesteśmy przekonani, że „dzwoni wazy / zakłopotana cisza”? Żgoda, tylko poprzez gest poetycki można oddać sprawiedliwość ceniom i widmom, ale w jakim celu to czynić? Bo może wspólna jest samotność tych, którzy „Przed wiekami wyruszyli / lecz biegną bez znużenia” i tych, którzy biegną dzisiaj lub dopiero pobiegą. Mity, legendy i przypowieści są cielesne, nie ma innej kultury niż kultura zmysłów. Rywalizacja sportowców odwieczną grę człowieka z samym sobą (dosłownie) uzmysławia najpełniej. Każdemu z nas „Uniesiona ręka / daje znak temu / z drugiej strony wazy”, napisał Harasymowicz w wierszu o tytule *Grecka waza. Młodzieniec z piłką*. Zapewne więcej jest takich młodzieńców z piłką oczekujących po drugiej stronie naszego świata. Jest ich więcej, lecz nie mówią. Nie muszą. Słowa nie zawsze są potrzebne. Najbardziej zaskakujące, że wiemy to wyłącznie dzięki poezji.

EWA PARMA

CAFE KATTOWITZ

Tylko z tobą mogę tam iść
 pierwszy raz
 i wspiąć się na palce, by zajrzeć
 w menu na kontuarze
 Tylko z tobą tam najem się pączków,
 żebyś mógł wycierać mi dżem
 z palców powoli, dokładnie
 Tylko z tobą wypiję tam kawę,
 co pachnie dalekim krajem,
 a gdy będziesz patrzył mi w oczy
 udam, że ręka drży tylko
 z powodu porcelany
 tak kruchej jak ta chwila,
 gdy w złotym ekspresie do kawy
 odbiją się nasze twarze
 tak blisko siebie jak nigdy
 i z nikim przedtem i potem
 ... choć trafisz tu jeszcze sto razy,
 by zajrzeć w menu na kontuarze,
 zjeść pączka, wytrzeć dżem z palców
 i zawsze od niechcenia
 spojrzeć w złoty ekspres do kawy

14.11.2014

GARDINKA (EROTYK ŚLĄSKI)

Heklowałaś gardinka
 przez cołkie trzy nocki
 kiedy żeś siedzioł na dole
 Powykryncąłaś
 wszystkie zicherungi
 co by nie słuhać
 tych pierońskich wieści
 kierego już wyciongli
 a kiery tam łostoł
 Słonko zadymione
 zachodziło trzykroć
 a jo durch heklowałaś
 ta gryfno gardinka
 co mo nos zasłonić
 jak na progu staniesz
 i jak byda potym
 długo z siebie zmywać
 te czorne kusiki
 co to je dostana
 za gardinkom heklowanom
 przez trzy nocki
 cołkiem bez ciebie

„WIZJA. Z ŻYCIA HILDEGARDY Z BINGEN”*

Masz szczęście że cię nie spalono na stosie
 Świętość od herezji dzieli tylko
 kobiecey włos schowany pod mnisim welonem
 a ty byłaś przecież zwykłą dziesięciną
 darem dla Boga na szczęście dla siebie
 i dla nas bo zamiast ciała znaczonego
 licznymi porodami zaserwowałaś nam
 Duszę przez duże D pełną boskiej muzyki
 połysku minerałów i zapachu ziół
 dzięki którym ludzkość przetrwała
 w czasach przedchirurgicznych
 Twoje oczy błękitniały od wizji
 jak akwamaryn i nawet jeśli to był
 tylko efekt uboczny migreny
 warto było go przeżyć – niektórzy
 wtedy mają tylko mdołści
 albowiem Pan nie dzieli po równo
 Tylko miłości czasem mogło ci brakować
 ale w końcu adoptowana córka może
 okazać się równie niewdzięczna jak rodzona
 więc co za różnica ważne że dzieło trwa
 a w Rupertsbergu i Bingen nadal
 biją dzwony na jutrznię

4.08.2011

*dramat Niemcy/Francja 2009





Rys. Anna Pawluszkiewicz

„URANIA PROPITIA” *

Leżąc na dachu domu
widzi się więcej niż z kuchni
zwłaszcza gdy ma się teleskop
a u boku właściwego człowieka
co dzieli łożę stół i ciekawość
wobec magii wszechświata
Wtedy ma się odwagę
by noce spędzać pod niebem
dni odsypiać z dala od pieca
i nie słuchać posykiwań sąsiadów
gdy umyślny przynosi list
z Ratyzbony lub z Gdańska
od Jana Heweliusza
Wtedy ma się odwagę
poprawiać pana Keplera
co mądrość swą w logarytmy
szyfruje niedostępne
i trzeba je tłumaczyć
na język prosty jak kopyść
którą się miesza powidła
dla ukochanego
Bo ktoś musi zdjąć mądrość
z wieży i podać na stół z maślanką
i patelnią pełną kartofli
dla tych, co chcą ją łykać
wbrew posykiwaniom sąsiadów,
opisywać efemerydy
i to, co nieprzewidywalne
jak miłość lub krater Cunitz
na planecie Wenus

24.11.2012

* „Urania Propitia” (1650) – dzieło Marii Cunitz
ze Świdnicy korygujące tablice Keplera

LILKA

Wszystkie w niej się kochałyśmy
choć wcale nie była ładna
ale tak pięknie umiała nas zatruć
wierszami o miłości
Poza tym miała wiewiórkę
i trzech mężów z których
każdy następny coraz mniej
ją rozumiał ale to warunek
sine qua non dobrej poezji
Do tego kochanek-lotnik
który spadł jej z nieba
i wielu adoratorów
tacy się zawsze przydają
do pisania wierszy
nawet jeśli w końcu zawodzą
Kobieta przyjmie wszystko
wraz z pierwszym bukietem
nałogi i wiarołomstwo
depresję i schizofrenię
w końcu terminalną chorobę
daleko od ogrodów dzieciństwa
ale o tym sza
Miłość i tak przetrwa
w tomikach dla podlotków

3.05.2013

Ewa Parma, anglistka, poetka, tłumaczka. Mieszka w Katowicach. Debiutowała w tygodniku „Tak i Nie”, (1987). Ma w dorobku publikacje poezji i prozy m.in. w „Poezji”, „Literaturze”, „Czasie Kultury”, „Śląsku” oraz w amerykańskich magazynach literackich (World Literature Today, The Los Angeles Review, Mr Cogito, Artful Dodge, International Poetry Review, Connecticut River Review), a także tłumaczenia wierszy Ruth Padel (*Sztuka kintsugi*, PIW 2015) i Lindy Nemeč Foster (miesięcznik „Literatura” 1991).



Piosenkami o Piotrze Machalicy

JOANNA WAROŃSKA

29 kwietnia Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie zaprosił publiczność na szczególny koncert – *Machalista przebojów. Ballady i piosenki Piotra Machalicy*. Powodem jego przygotowania było pożegnanie dyrektora ds. artystycznych. Znany aktor odchodzi ze stanowiska, ale obiecuje, że wciąż będzie występował na scenie naszego teatru. Funkcję tę pełnił od 2006 roku, współpracując z dyrektorem naczelnym, Robertem Dorosławskim. W tym czasie spektakle muzyczne stały się jedną z wizytówek teatru. Aktorzy częstochowscy lubią przecież śpiewać i potrafią to robić. Niektórzy z nich koncertują regularnie, by wspomnieć choćby o Iwonie Chołuj czy Marcie Honzatkó. W czasie dwunastu lat Machalica i Dorosławski przygotowali przedstawienia: *Kram z piosenkami*, *Stachura*, *Tacy duzi chłopcy*, *Hemar w chmurach*, *Tango FM*, *Wesołe miasteczko*, ale piosenki pojawiały się także w innych produkcjach.

Sam Machalica zaśpiewał na scenie częstochowskiej około 100 utworów. Tym razem wybrał kilkanaście, napisanych do tekstów Jeremiego Przybory, Wojciecha Młynarskiego, Bułata Okudźawy, Jana Wołka, Agnieszki Osieckiej, Edwarda Stachury, Jonasza Kofty oraz Georges'a Brassensa. Kilka z nich częstochowianie już słyszeli, ale pojawiły się też nowe propozycje i aranżacje. Aktorowi towarzyszył zespół w składzie: Michał Walczak (gitara), Krzysztof Niedźwiecki (gitara), Paweł Surman (trąbka, akordeon, instrumenty różne), Andrzej Zielak (kontrabas) oraz Adam Machalica (harmonijka), od tego sezonu w zespole naszego teatru. Scenariuszem przedstawienia i reżyserią zajął się Robert Dorosławski, a opiekę artystyczną nad wydarzeniem pełnił Piotr Machalica.

Na tę okazję przygotowano dość ascetyczną scenografię (Stanisław Kulczyk). Na tylnej ścianie umieszczono tytuł koncertu stylizowany na pismo, co przypominało autograf, ale także podpis stwierdzający autentyczność jakiegoś dokumentu albo dzieła. Była to przecież opowieść o Machalicy. Na proscenium ustawiono instrumenty. Tym razem muzycy byli równoprawnymi bohaterami zdarzenia, tworzyli jego klimat oraz nastrój. W głębi sceny po lewej stronie znajdowała się mównica przypominająca czasy socrealizmu. To z niej Dorosławski, główny narrator, przemawiał w stylistyce ówczesnych sekretarzy. Jej front ozdabiała rysunki satyryczne komentujące rzeczywistość. Wspomagał go Adam Machalica, ustawiony po przekątnej. Dwugłos był ciekawym zestawieniem faktów z komentarzem poetyckim. Mówione teksty piosenek (m.in. *Nie masz cwaniaka nad warszawiaka* Stanisława Grzesiuka czy *Baba o sześciu cykach* Młynarskiego) ironicznie diagnozowały rzeczywistość, eksponując swój potencjał poetycki, ale także ujawniając odwagę i ironiczne spojrzenie dawnych twórców. Oczywiście, wspominał też Piotr Machalica.

Główny narrator stawał się mimowolnym humorystą. Zestawione informacje podane tonem apodyktycznym nawzajem interpretowały i weryfikowały swoje znaczenia. Anegdota i żarty mieszały się ze sprawami bardziej poważnymi, co tworzyło sytuację znaną z kabaretu. Jako przykład może posłużyć choćby rok 1995. Bogusław Linda otrzymał wówczas na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni nagrodę za najlepszą rolę męską w filmie Macieja Ślesickiego *Tato*, a Machalicę uznano za najprzystojniejszego aktora w Łodzi. W takim momencie trudno powiedzieć, co było ważniejsze.

Koncert wpisywał opowieść biograficzną o Piotrze Machalicy w kontekst historyczny Polski i Europy (od 1955 do chwili obecnej). Piosenki opowiadały o miejscach ważnych dla aktora, jego fascynacjach muzycznych i literackich. Ujawniały temperament, cenione przez niego wartości, żartobliwie go charakteryzowały i komentowały przedstawiane wydarzenia. W tym celu utwory zostały nieco zmodyfikowane. Z programu płynnie przekonanie, że każdy ma swoje miejsce i jest ono najważniejsze, w czym nie przeszkadza wcale skala mikro. Artysta śpiewał więc, że choć jest półziółkiem, ma nadzieję, że ktoś go pokocha, wznosił głos do Boga, śpiewał utwory bardziej albo mniej znane. W ten sposób mógł zrealizować jedno z marzeń – poczuć się jak bigbitowiec.

Zaczął się przyspiewką napisaną dla ojca, Henryka Machalicy, przez jeleniogórskiego poetę, potem były piosenki *Nie ma jak u mamy* Wojciecha Młynarskiego, *Czerwony Kapturek 62* Jeremiego Przybory oraz *Nim wstanie świt* Agnieszki Osieckiej, wykonywana m.in. przez Edmunda Fettinga. Machalica wprowadzał kolejne utwory anegdotami, przypominał np. romans Osieckiej z Przyborą, opowiadał o swoich przeżyciach. Piosenka *Nim wstanie świt* zdobyła publiczność, która od tej pory bardzo żywiołowo reagowała na żarty i interpretacje. Widownia oszalała, gdy informację o wyborze na dyrektora teatru w Częstochowie, Machalica uzupełnił piosenką zespołu IRA *Mój dom*. Dla efektu nieco zmieniono tekst. Zamiast o długich włosach aktor śpiewał o „lysej pale”. W końcowej części coraz wyraźniej pojawiała się zaduma nad życiem, a wraz z nią temat śmierci i możliwy ciąg dalszy.

Poza wskazanymi piosenkami pojawiły się także *Życie to nie teatr* i *Nie rozdziabia nas kruki* Edwarda Stachury, *Bal na Gnojnjej* Andrzeja Stasiuka, *Testament Georges'a Brassensa*, *Alkoholicy z naszej dzielnicy* Młynarskiego, *Epitaforium dla frajera* Jonasza Kofty czy *Modlitwa* Tadeusza Nalepy. Ważnym momentem było wykonanie *Piosenki pioska pokojowego* (autorem jest Stanisław Klawe, znany satyryk) nagrodzonej na XXIII Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. Tekst diagnozował systemy polityczne, postawę służalczości i posłuszeństwa.

Półtoragodzinny koncert proponował piosenki w różnorodnej stylistyce, ale dominowały rytmy bluesowe (potęgowane harmonijką Adama Machalicy) i rockowe. Machalica czarował publiczność interpretacją, głosem i uśmiechem. Temperatura wzrastała z każdą piosenką i coraz trudniej było się rozstać. Publiczność żywo reagowała na komentarze Machalicy, a przede wszystkim na jego pożegnalne „Kocham was!”. Na bis wykonano blues o kajdaniarzu. Słowa uznania należą się muzykom.

Koncert pożegnalny był piękny i wzruszający. Oklaskom nie było końca, choć nie są przecież brawa ostatnie. Jednocześnie był to czas refleksji, jak bardzo brakuje nam piosenek z dobrym tekstem, piosenek, które nie tylko wpadają w ucho i wzmacniają rytm dnia, ale także zapisując namysł autora nad rzeczywistością, zachęcają do refleksji słuchaczy i kolejnych wykonawców. ■



Decyzją władz Województwa Śląskiego rok 2018 nazwano Rokiem Odry. Samorządowcy nie tylko chcą zmienić postrzeganie rzeki, mają też w planie przywrócić jej dawną rangę jako szlaku transportowego. Jednocześnie zapowiadają działania sprzyjające stworzeniu bazy turystycznej związanej z odrzańską żeglugą.

24 maja przedstawiciele władz Województwa Śląskiego zaprezentowali plany związane z rzeką Odrą. W sposób symboliczny stało się to w trakcie konferencji zorganizowanej na pokładzie zabytkowego statku Fokstrot, podczas rejsu Kanałem Gliwickim.

– Odra pełni ważne funkcje gospodarcze, społeczne i ekologiczne dla niemal połowy polskich regionów, ale pomimo tego rola rzeki i oczekiwania wysuwane wobec niej nie zostały do końca sprecyzowane – wyjaśniał Henryk Mercik, członek Zarządu Województwa Śląskiego. – Konieczne jest przywrócenie Odry należnego jej miejsca nie tylko w systemie wodno-gospodarczym i transportowym Polski, ale także potraktowanie jej jako łącznika z systemami żeglugi pozostałych krajów Unii Europejskiej. Ważne jest, że pierwsze kroki na tej drodze zostały już poczynione: 6 marca 2017 roku Prezydent RP podpisał akt ratyfikacyjny dotyczący „Europejskiego porozumienia o głównych śródlądowych drogach wodnych o znaczeniu międzynarodowym” (porozumienie AGN). Z kolei w czerwcu 2016 roku Rada Ministrów przyjęła dokument „Założenia do planów rozwoju śródlądowych dróg wodnych w Polsce na lata 2016-2020 z perspektywą do roku 2030”, w którym ujęto m.in. inwestycje zlokalizowane w województwie śląskim. Zakładana jest budowa Kanału Śląskiego, łączącego Odrzańską Drogę Wodną z Drogą Wodną Górnej Wisły, oraz budowa kanału Koźle-Ostrawa, będącego polskim odcinkiem szlaku wodnego Dunaj-Odra-Łaba. Obecnie opracowywane są analizy, które staną się materiałem bazowym studium wykonalności dla modernizacji Odrzańskiej Drogi Wodnej.

Kreśląc dalekosiężne plany, samorządowcy podkreślali, że nadchodzą dobre czasy dla rzeki, bo przecież Odra jest nieodłącznie związana ze Śląskiem. W swoim górnym i środkowym biegu stanowi jego naturalną oś, istotną z punktu widzenia geografii, historii, ekonomii, kultury a także ekologii.

Równocześnie rzeka Odra jest nieodłącznym elementem odrzańskiego korytarza transportowego, który wiąże morskorzeczne porty ujścia Odry z aglomeracją wrocławską i górnośląską, a przez kanały Odra-Hawela i Odra-Sprewa łączy się z aglomeracją berlińską i zachodnioeuropejskim systemem dróg wodnych. Niestety, ostatnie dekady nie sprzyjały budowaniu pozytywnego obrazu rzeki. Przez ostatnich kilkadziesiąt lat obszary nadrzeczne miast były raczej kłopotliwymi miejscami, które rzadko kiedy były odpowiednio zagospodarowywane. Miasta odwracały się od rzek. Teraz tendencja ta ma się odwrócić.

Samorządowcy stawiają na transport wodny i turystykę rzeczną



Podczas konferencji na pokładzie statku, Henryk Mercik, członek Zarządu Województwa Śląskiego, wyjaśniał w jaki sposób potencjał rzeki Odry może wpływać zarówno na rozwój gospodarki jak i turystyki.

Nowe fale na Odrze

– Odrę przez lata postrzegano jako źródło zagrożeń – dodał Henryk Mercik. – Wszyscy pamiętamy tragiczne powodzie z 1997 i 2010 roku. Zyczliwe postrzeganie rzeki było również utrudnione przez fatalny stan jej wód. Zanieczyszczenia produkowane przez przemysł i sektor komunalny przez szereg lat powodowały, że jakiegokolwiek rekreacyjne i turystyczne wykorzystanie Odry było niemożliwe. Szczęśliwie, dzięki szeroko zakrojonym inwestycjom w ekologię jakość wód rzeki Odry powoli, ale systematycznie się poprawia. Duże programy przedsięwzięć przeciwpowodziowych dają nadzieję na skuteczniejsze zarządzanie ryzykiem powodziowym i poważne ograniczenie negatywnych skutków wozbrań. W efekcie Odra stała się bezpieczniejsza, piękniejsza i czystsza. Nie musi być już postrzegana wyłącznie jako rzeka zagrożeń, może stać się rzeką szans.

Tworzenie warunków funkcjonowania i rozwoju żeglugi śródlądowej zgodne jest z głównymi kierunkami zrównoważonej polityki transportowej Wspólnoty Europejskiej, dążącej do zmniejszania degradującego wpływu transportu na środowisko.

Istotne jest tworzenie bezpiecznego, niezawodnego i rozbudowanego systemu transportowego, spójnego z systemem transportowym innych regionów i krajów Unii Europejskiej. Realizacja tego celu będzie wymagać współpracy specjalistów wielu branż, przedstawicieli biznesu oraz naturalnie samorządów. Ta dyskusja już się rozpoczęła. Dla Województwa Śląskiego modernizacja Odrzańskiej Drogi Wodnej i budowa zaplanowanych kanałów mogą stanowić duży impuls rozwojowy, dlatego w toczącym się dyskursie nie może zabraknąć głosów z naszego regionu.

Henryk Mercik porównał szlak wodny na Odrze do autostrady.

– Wiadomym jest, że z autostrad korzystają najwięcej te miasta, które mają wjazdy i zjazdy na te trasy – powiedział samorządowiec. – Te zjazdy w przypadku rzeki to porty i przystanie. Stąd właśnie rozwój żeglugi odrzańskiej przełoży się na zyski dla takich miast jak Gliwice czy Kędzierzyn Koźle, pod warunkiem stworzenia sprawnie działającej infrastruktury. Już dziś bowiem wiadomo, że przyszłością transportu towarowego są drogi wodne. Przemawiają za tym zarówno przesłanki ekonomiczne, jak i ekologiczne.



Kanał Gliwicki z jego infrastrukturą towarzyszącą sam w sobie jest zabytkiem techniki i atrakcją turystyczną. Na zdjęciu jaz, który w razie obfitych opadów odprowadza grawitacyjnie nadmiar wody w kanale do położonego nieco niżej jeziora Dzierżno Duże.

Rzeka Odra dla każdego z odrzańskich regionów ma nieco inny kontekst i nieco inne znaczenie. Jest przy tym pod wieloma względami rzeką wyjątkową.

– Można powiedzieć, że Odra jest emanacją mocy przyrody i mądrości natury, kojarzy się z myślą inżynierską człowieka, staje się rzeką porozumienia, współpracy i rozwoju. Na naszych oczach rzeka-zagrożenie stała się rzeką, która łączy, fascynuje i inspirowała – wyjaśniała Ewa Owczarek-Nowak, zastępca dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Marszałkowskiego. – Chcemy podkreślić tę symbolikę w Roku Odry – Rzeki Pozytywnej Energii. Zasadniczym celem ogłoszenia roku 2018 Rokiem Odry – Rzeki Pozytywnej Energii, jest potrzeba uświadomienia społeczeństwu szans rozwojowych związanych z położeniem województwa śląskiego nad Odrą i jej dopływami, w tym zwrócenie uwagi mieszkańców na trwające przygotowania resortu żeglugi śródlądowej w Rządzie RP do realizacji szerokiego planu inwestycyjnego, który do 2030

roku ma przywrócić funkcję transportową rzece Odrze. Będzie to również sposobność do zapoczątkowania ściślejszej współpracy pomiędzy zainteresowanymi stronami, w szczególności nawiązania konstruktywnej dyskusji i wypracowania rozwiązań przyczyniających się do zrównoważonego rozwoju społeczności i regionów związanych z tą rzeką.

Sporo miejsca w planach związanych z przyszłością Odry zajmuje turystyka. Samorządowcy przyznają, że na razie turystyka odrzańska jako oddzielna marka jeszcze nie istnieje. Drzemie w niej jednak olbrzymi potencjał dziedzictwa historycznego, kulturalnego i przyrodniczego. O atrakcyjności turystyki odrzańskiej może zdecydować jej unikatowy i interdyscyplinarny charakter. W pełni realne jest utworzenie szlaku wodnego i rowerowego łączącego atrakcje powiązane z rzeką Odrą oraz rozbudowanie bazy około turystycznej. Pozwoli to na zachęcenie amatorów turystyki aktywnej i rodzinnej. Dolina rzeki Odry to także liczne miejsca cenne przyrodniczo, również

chronione jako rezerваты przyrody czy obszary sieci Natura 2000. Z Odrą wiąże się mnóstwo elementów dziedzictwa kulturowego i historycznego. Wiele z tych perełek wciąż czeka na odkrycie i zaprezentowanie szerszej publiczności.

Turystyczne walory Odry jak i Kanału Gliwickiego podkreślała Ewa Sternal z gliwickiej Fundacji Mesa, promującej turystykę wodną i żeglugę.

– Sam rejs Kanałem Gliwickim jest świetną atrakcją – przekonywała Ewa Sternal. – Na 40-kilometrowej długości kanale nie brakuje unikatowych budowli hydrotechnicznych, jak śluzy, bez których żegluga nie byłaby możliwa. Niwelują one różnicę poziomów wody na początku i końcu kanału, a wynosi ona prawie 44 metry. Przepłynięcie przez każdą z nich, czyli tzw. śluzowanie, jest zawsze niezapomnianym widowiskiem. Unikatowym rozwiązaniem inżynierskim jest tzw. syfon Kłodnicy, którym rzeka bezkolizyjnie przepływa... pod dnem kanału. Spore wrażenie robi przepływanie pod kolejowymi mostami. Ale rejs po Kanałem Gliwickim to nie tylko zabytki techniki, mało kto wie, że szlak ten wiedzie przez enklawy dzikiej przyrody, jak kolonia kormoranów w rejonie Dzierżna, po drodze można podziwiać wiele innych gatunków ptactwa wodnego; czaple, kaczki, a na brzegu zauważyć samy, dziki, a nawet bobry, gdyż stan czystości wody w kanale uległ ogromnej poprawie.

Port w Koźlu był kilkadziesiąt lat temu jednym z największych śródlądowych portów w Europie, a port w Gliwicach, oddany do użytku wraz z Kanałem Gliwickim w 1939 roku, był jednym z nowocześniejszych w naszej części Europy. Obiekty jego infrastruktury to niesamowite zabytki mało znanego aspektu przemysłowej przeszłości regionu – która, jak się okazuje, może pozytywnie rokować na przyszłość.

Na rok 2018 w ramach popularyzowania odrzańskiej turystyki zaplanowano szereg imprez, również w innych województwach. Takimi wydarzeniami o zasięgu ponadwojewódzkim są Flis Odrzański (25 czerwca – 14 lipca), Międzynarodowy Splyw Kajakowy „Odra – rzeka, która łączy trzy kraje” (czerwiec – lipiec), Dni Odry we Wrocławiu (wrzesień), Pęcławski Festiwal Duathlonu „W stronę Odry” (październik). Poza tym planowane są spływy kajakowe (Odrą, Widawą, Baryczą), konkursy wędkarskie, cykle wystaw, prelekcji, imprezy biegowe, kulinarne, koncerty.

Warto też wspomnieć o rozpoczęciu prac nad utworzeniem Blue Velo, czyli Odrzańskiej Trasy Rowerowej. 20 kwietnia, podczas Rowerowego Forum Metropolitalnego we Wrocławiu odbyło się podpisanie porozumienia na rzecz współpracy przy realizacji, promocji i utrzymaniu Blue Velo. List intencyjny podpisało 5 województw: śląskie, opolskie, dolnośląskie, lubuskie i zachodniopomorskie.

W 2017 roku dr Ewa Rzewuska, radna Sejmiku Dolnośląskiego wystąpiła z inicjatywą ogłoszenia 2018 roku Rokiem Odry. Pomysł ten spotkał się z aprobatą samorządów odrzańskich. Wkrótce powstała idea, aby Rok Odry był obchodzony przez samorządy wszystkich województw położonych nad rzeką Odrą. Poszczególne sejmiki wojewódzkie przyjęły stosowne uchwały. Jako pierwszy, w dniu 26 października 2017 roku, uczynił to Sejmik Województwa Dolnośląskiego. Niespełna miesiąc później, w dniu 20 listopada 2017 roku Sejmik Województwa Śląskiego podjął rezolucję o ustanowieniu roku 2018 Rokiem Odry – Rzeki Pozytywnej Energii. Nazwanie Odry Rzeką Pozytywnej Energii stanowi wykorzystanie elementu identyfikacji województwa śląskiego i ma na celu utrwalenie jej postrzegania jako atutu regionu, a także podkreślenia znaczenia pełnionych przez nią funkcji. Rezolucja z dnia 20 listopada 2017 nie jest jedyną uchwałą Sejmiku Województwa Śląskiego dotyczącą rzeki Odry. 22 maja 2017 roku Sejmik przyjął uchwałę w sprawie dotyczącej stanowiska dotyczącego modernizacji i rozwoju Odrzańskiej Drogi Wodnej, a w dniu 21 marca 2016 roku uchwałę w sprawie oświadczenia dotyczącego poparcia Apelu Marszałków Województw Polski Zachodniej w sprawie modernizacji Odrzańskiej Drogi Wodnej.

Tekst i zdjęcia:
TOMASZ BIENEK



Opowieść o tym przepięknym pałacu należy rozpocząć gdzieś na polnej drodze prowadzącej do Budziejowic, gdzie istniało grodzisko obronne. W tym miejscu u schyłku XVII wieku książę Krystian Ulryk zbudował pałac, a wraz z nim 275-hektarowy kompleks, na który składały się wraz z parkiem krajobrazowym stawy, oranżerie, a także zwierzyńiec. Pałac wzorowany na słynnej siedzibie władców brytyjskich, wybudowany w stylu angielskiego neogotyku nazwany został „Pałacem Sybilli” na cześć żony księcia Krystiana Ulryka, posiadłość natomiast Sybillenort; obecnie Szczodre pod Wrocławiem.

Książę Ulryk będąc wielkim mecenasem sztuki zgromadził w pałacowych wnętrzach wielką kolekcję dzieł sztuki, obrazów, monet, muszli oraz rzadkich kamieni i chociaż pałac wybudował w imię wielkiej miłości, jednak nie trwała ona długo, ponieważ przerwała ją śmierć ukochanej żony. Tak wielka strata nie odbiła się ujemnie na losach posiadłości. Po pewnym czasie życie towarzyskie wróciło do normy, a w Sybillenort gościli nawet królowie August II Mocny i August III Sas.

Losy rezydencji stały pod znakiem zapytania w momencie odziedziczenia posiadłości przez drugiego syna Ulryka i Sybilli, Karola Fryderyka Wirtemberskiego, który rezydencję wydzierżawił. Pałac stopniowo popadał w ruinę i już w 1715 roku nie nadawał się do zamieszkania. Złą passę przerwał książę brunszwicki Fryderyk August, po zawarciu związku małżeńskiego z córką ostatniego z dynastii Wirtembergów księcia oleśnickiego. W latach 1792-1802 rozbudował pałac, dodając cztery nowe skrzydła i dwie wieże z kopułami; urządził teatr, kawiarnię i wozownię, w której znalazły się wspaniałe wozy i karety, nieomal w stylu królewskim. Pałac w Szczodrem rozkwitał.

W momencie, gdy wydawać by się mogło, że już wspanialszej budowli wznieść nie można, a całość założenia pałacowego jest już kompletna, zatrudniono projektanta ogrodów Christiana Weissa, nadwornego ogrodnika Izabeli Czartoryskiej. To za jego sprawą powstał 75-hektarowy park, będący w zasadzie olbrzymim ogrodem botanicznym, do którego roślinność sprowadzano z całego świata. Teren wzbogacono o szklarnie, fontanny, oranżerie – a wszystko to wśród stawów i wypielegnowanej zieleni, która oplatała pałac kobiercami kwiatów i siecią strużek wodnych.

Więści o przepięknym pałacu Sybilli losem błyskawicy obiegły całą Europę, sensację i podziw budził zwierzyńiec, który rozciągał się na ponad dwustu hektarowym, specjalnie zalesionym, ogrodzonym terenie. Tym oto sposobem Sybillenort stał się miejscem tłumnie odwiedzanym przez większość koronowanych głów ówczesnej Europy.

Książę oleśnicki Wilhelm jednak czuł niedosyt, nie satysfakcjonowało go posiadanie tak wspaniałej posiadłości, która z letniego pałacu rozrosła się do potężnego kompleksu. Wzorując się na siedzibie

Śląskie tajemnice

cz. 6

W imię miłości i chwały



władców brytyjskich rozpoczął przebudowę pałacu, która miała miejsce w latach 1851-1867. Tak oto architekt Carl Wolf przebudował pałac w stylu gotyku angielskiego. Po rozbudowie pałac osiągnął kubaturę blisko 40 tysięcy metrów sześciennych, fasadę o długości trzystu metrów, w tym fasadę frontową o długości stu metrów. Na elewacji znajdowały się łuki Tudorów, a całość zakończona była blankami. W 60 salach udostępnionych do zwiedzania znajdowało się pięć tysięcy grafik i obrazów. W pałacu funkcjo-

nował teatr, w którym grali aktorzy z Wrocławia oraz zawodowy balet sprowadzony z Brunzswiku. Dla odwiedzających udostępniono największą w Europie kolekcję miśnieńskiej porcelany, czereśnie i melony rosnące w jadalni, stół wykonany z 205 gatunków włoskiego marmuru, salę z siedmioma żyrandolami i złożone zwierciadła na suficie w tzw. sali łysych. Z dobrodziejstw tych korzystał np. car Rosji Mikołaj I wraz z żoną Fryderyką Hohenzollem, który zatrzymał się tu dłużej.



Kronika upadku

W zarośniętym parku pośród starych drzew stoi ostatnie wschodnie skrzydło pałacu, który nazywany był Śląskim Windsorsem. Siedem dekad bezduszności ludzkiej wystarczyło, by przemienić ponad 75-hektarowy park botaniczno-krajobrazowy w zarośla przypominające amazońską dżunglę, a ogromny pałac w ruinę. Dzieło zniszczenia rozpoczęły wojska niemieckie, które podczas wojny otworzyły w nim kwaterę SS i magazyny Wehrmachtu. SS wiązała z tym obiektem wielkie plany, lecz pod sam koniec wojny esmani celowo podpalili obiekt. Jedną z nieoficjalnych wersji, z jaką się spotkałam głośni, że zniszczenie pałacu miało ściśle związek z mroczną organizacją Ahnenerbe – nazistowską organizacją badawczą, założoną w 1935 jako Studiengesellschaft für Geistesurgeschichte, Deutsches Ahnenerbe e. V. (Towarzystwo Badawcze nad Pradziejami Spuścizny Duchowej, Niemieckie Dziedzictwo Przodków). Poniekąd tłumaczyłoby to bardzo duże zainteresowanie tym obiektem ze strony służb bezpieczeństwa PRL i ZSRR zaraz po wyzwoleniu.

W latach PRL-u piękny park zalesiono, w pałacowej oranżerii utworzono fermę kaczek, uznając, że wielkość i bliskość stawów jest idealnym miejscem do ich hodowli i rozmnażania. Spoglądając na zachowane ostatnie pałacowe skrzydło, zarośnięte stawy i gęstwinę zarośli trudno uwierzyć, że kiedyś w tym miejscu gościli wielcy tego świata.

W 1884 roku po śmierci księcia Wilhelma nastąpiło panowanie bardziej konserwatywnego władcy. Posiadłość w rękach króla Saksonii Alberta I nie straciła nic ze swojego piękna, jednak bezpowrotnie skończyły się czasy beztroskiej zabawy. Teatr został zlikwidowany, a wnętrze pałacu poświęcone przez księdza katolickiego. W latach 1904-1932 pałac był rezydencją ostatniego króla saskiego Fryderyka Augusta III. Po jego śmierci posiadłość przejął jego syn Krystian. Nastąpiła era licytacji i wyprzedaży cennego wyposażenia, pałac opustoszał. W kolejnych latach wyposażenie, łącznie z parkietami i kasetonami, przewożono do innych pałaców. W końcu, po dojściu nazistów do władzy, majątek przejął Wehrmacht, tworząc tutaj magazyny, a oddziały SS utworzyły swoją kwaterę. Podczas ucieczki z tych terenów hitlerowcy celowo podpalili obiekt.

To, czego nie strawiły płomienie wyburzono, a oczyszczone cegły przez blisko dwa lata były dostarczane na stację kolejową (obecnie Długołęka) i transportem kolejowym wywożone do Warszawy w celu odbudowy miasta. Z tak potężnego obiektu, jakim był pałac Sybilli pozostało jedno skrzydło i oficyna. Utworzono w nim ośrodek wypoczynkowy dla funkcjonariuszy UB. W pałacu funkcjonariusze bezpieki odpoczywali po „trudach” śledztw i przesłuchiwań. Ogrodnictwo i szklarnie pałacowe dostarczały żywności do siedziby UB we Wrocławiu. Cały teren był pilnie strzeżony i odtąd to, co niegdyś cieszyło oczy zaczęło napawać wstrętem. Najwyższa wieża neogotycka zburzona została w 1970. Po kapitalnym remoncie w latach 1977-1980 utworzono tutaj z kolei Ośrodek Doskonalenia Kadr Urzędu Województwa Wrocławskiego i Miasta Wrocławia. Ciekawostką jest, że w okresie powojennym koncertowała tu Violetta Willas, zespół „Czerwone Gitary” oraz zespoły teatralne z Wrocławia. W roku 1962 przyjechał do Wrocławia z wizytą oficjalną, na zaproszenie Władysława Gomułki, minister NRD Hans Hoffman w towarzystwie Willi Stopha. Obydwaj dygnitarze koniecznie chcieli obejrzeć pałac, ponoć mieli jakieś wspomnienia z okresu przebywania tutaj w czasie wojny – wówczas w mundurach hitlerowskich.

Dziś już w zasadzie nikt nie pamięta o przepięknym pałacu, stoi samotny, obok niego potężny dąb roztacza swój niezakłócony od setek lat majestat. Pałac nie miał tyle szczęścia – choć gdy już w zasadzie przestał istnieć, okazano mu akt łaski. W 1990 roku zamurowano okna, zabito deskami drzwi i wpisano w świetle litery prawa do Rejestru Zabytków.

Tekst i zdjęcia:
JULIA MONTEWSKA

Regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.



30. rocznica śmierci Mariana Wallek-Walewskiego

Profesorowie naszej Akademii Muzycznej pamiętali o 30. rocznicy śmierci swego wybitnego pedagoga Mariana Wallek-Walewskiego, która minęła 25 kwietnia tego roku. Niezastąpiona w pamiętaniu pianistka Gabriela Szendzielorz skrzyknęła grono kolegów instrumentalistów, którzy zagrali w rocznicowy dzień program, jakiego nawet „Marian” by nie wymyślił. Afisz zapowiadał przeróżne rzeczy: utwory fortepianowe (m.in. Schubert, Webern), organowe (Bolesław Wallek-Walewski, Fritz Lubrich), pieśni (Władysław Macura), improwizacje perkusyjne. Do tego jeszcze wspomnienia przyjaciół: Stanisława Kosza, Adama Rozlacha i Henryka Cierpiotła. Najbliżej „Mariana” (tak wszyscy go nazywali) był Kosz – oficjalnie asystent, nieoficjalnie duchowy spadkobierca. Przekazywanie „spadku” przypadło akurat na okres moich studiów w katowickiej uczelni. Zajęcia z historii muzyki, wspólnie prowadzone przez Wallek-Walewskiego i Kosza, czasem jeszcze z udziałem gości z zewnątrz, miały formę otwartych interdyscyplinarnych seminariów, w czasie których mówiono nie tylko o muzyce, lecz i o tych rzeczach, które pozwoliły ową muzykę lokować w szerokim kręgu europejskiej historii kultury. Miały one jeszcze i tę zaletę, że „Marian”, będący jednym z najbardziej rozchwytywanych krytyków muzycznych, często nawiązywał do spraw aktualnych. Byliśmy na bieżąco z festiwalami, konkursami, koncertami, koledzy byli delegowani w roli uczestników lub obserwatorów na rozmaite krajowe imprezy, na przykład na festiwal pianistyczny do Słupska, Poznańską Wiosnę, wrocławski festiwal „Musica polonica nova”. Przedwczesna śmierć naszego pedagoga sprawiła, że sporo osób poczuło się nagle opuszczonych, wręcz osieroconych. Po śmierci „Mariana” pozostała w nas i wokół nas przynębiająca pustka...

Dzieciństwo muzyki?

Tegoroczna, czwarta już edycja zorganizowanego przez NOSPR festiwalu Kultura Natura nosiła pod-

Między nutami



MAGDALENA DZIADEK

tytuł „dzieciństwo”. W tej obszernej formule zmieściły się różne rzeczy: muzyka dawna (jako „dziecięcy” okres europejskiej twórczości?), kompozycje inspirowane literaturą dla dzieci, pierwociny twórczości różnych kompozytorów, wreszcie – muzyka „braci mniejszych”, czyli kompozytorów reprezentujących Wschód. „Dzieciństwo” nie okazało się zatem tematem tak spójnym, jak modny przed kilku laty „styl późny”. Na moje dni wolne od pracy wypadły dwa koncerty z udziałem Kammerchor Rias z Berlina. Ten znakomicie zgrany i świetnie brzmiący zespół zaprezentował się w środę 16 maja w repertuarze angielskiej muzyki dawnej. Śpiewano tutti, w grupach bądź z udziałem głosów solo, z akompaniamentem organowym lub a cappella dzieła mniej lub bardziej znanych sędziwych Brytyjczyków: Petera Philipsa, Richarda Deringa, Williama Byrda, Philippe’a de Monte i Henry’ego Purcella. Cech dziecięcych ani – broń Boże – dziedzinnienia w tej muzyce nie było, a wręcz przeciwnie: cieszyła dojrzałością warsztatu i męską powagą wyrazu. Większość pozycji programu stanowiły dzieła do tekstów religijnych – w miarę możliwości ułożone parami po dwie kompozycje do tych samych tekstów. Dyrygował Justin Doyle, partie solowe śpiewali Natasha Schnur, Katharina Hohlfeld-Redmond i Anja Petersen, na organach akompaniował Petteri Pitko, który wykonał także solo kilka in-

terludiów organowych. Był to piękny wieczór – aż szkoda, że sala koncertowa NOSPR wypełniła się zaledwie w połowie.

Pełno było za to następnego wieczoru, a to ze względu na dawno zapowiadaną sensację repertuarową – prezentację *Requiem* ormiańskiego kompozytora Tigrana Mansuriana, które już w momencie prawykonania (2011) okrzyknięto arcydziełem. I wiele nie przesadzono, jest to bowiem majstersztyk myślenia muzycznego (z akcentem na myślenie). Bogata w pomysły muzyczne partytura została po mistrzowsku zorganizowana, ogarniając rozmaite sfery odniesień do obu wielkich muzycznych tradycji: zachodniej (chorał, polifonia) i wschodniej (swobodna melopea, zmysłowość). Zawiódłby się ten, kto by szukał w muzyce Mansuriana fajerwerków à la Chaczaturian; jest to muzyka niezwykle dyskretna, pisana ze szlachetnym dystansem. Zobowiązuje do niego już sama obsada: kameralny chór z wyodrębnionymi głosami solowymi oraz smyczkowa orkiestra. W wykonaniu wziął udział Chór Kameralny Rias i sekcja smyczkowa NOSPR, partie solowe wykonałi Johanna Winkel (sopran) i Andrew Redmond (baryton), a całością dyrygował Alexander Liebreich, który utwór nagrał już uprzednio na płytę (można ją było dostać po koncercie z autografem naszego kapelmistrza). Program wieczoru uzupełniło wykonanie kantaty *Syn marnotrawny* Claude’a Debussy’ego. Utwór ten napisał kompozytor u progu twórczości, z myślą o uzyskaniu stypendium zwanego nagrodą rzymską (Prix de Rome). Stypendium faktycznie dostał, lecz do stylu zaprezentowanego w kantacie już nie powrócił. Jest on w istocie daleki od tego, który kojarzymy z Debussy’owskim impresjonizmem. Do kiczowatego melodramatycznego tekstu, który kompletnie zafalszowuje przesłanie biblijnej przypowieści (wśród bohaterów na pierwszy plan wysuwają się dwie baby, a ojciec nie ma praktycznie nic do powiedzenia!) dorobił Debussy muzykę wzorowaną na operowych wrzaskach Pucciniego, doposażoną w konwencjonalne orientalizmy, mające ilustrować miejsce akcji. Muzyka ta broni się świetną instrumentacją, ale broń ta działa już dziś słabo...

Einstein przeptywa Wisłę w Nieszawie

PIOTR BAGIŃSKI

Motto:

*... jakby się skądś знаło, z innych fotografii,
z filmu, może ze słyszenia, i to znało się nie
tylko jego twarz, ale i parę poglądów,
przypisywanych temu oryginałowi, a dotyczących
przede wszystkim względności naszych odczuć i wypowiedzi...*

Einstein przepływa Łabę pod Hamburgiem Siegfried Lenz,
tłum. Feliks Przybylak

Erotyk małomiasteczkowy

Była jak miasteczko,
w którym przez pomyłkę
się nie urodziłem,
które jest jak przekrojone jabłko,
nad nim przepływają sady.
Była jak moje włosy,
czasem się dziwiłem,
że mnie boli.

Po adresatce tego wiersza pozostało mgliste wspomnienie. Miasteczko, które wówczas „poeta miał na myśli”, to Nieszawa. Mieszkał tam w dzieciństwie. Mieszkał był tam drzewiej, niedawno by powiedział w czasie zaprzęsłym. Mieszkał trzy lata. Trzy lata, które były epoką.

Mniej więcej od czasu, gdy zniemacka pewien dobrze wychowany, młody człowiek ustąpił mu miejsca w tramwaju, a on skwapliwie, choć z pewnym zdziwieniem z tego skorzystał; „epoka nieszawska” niespodziewanie w nim ożyła – zaczęła się, ku jego jeszcze większemu zdziwieniu, zbliżać do czasu teraźniejszego. Miasteczko przyciągało.

Pojechał z dwójką, równie młodych i dobrze wychowanych, jak ów niedawno mu ustępujący miejsca w tramwaju chło-

pak, znajomych ludzi. Wjeżdżali od strony Torunia – od strony brzegu pradoliny Wisły. Był maj – czas kiedy, jak pamiętał z dzieciństwa, miasteczko zapuszczało gęstą blond czuprynę kwiatów śliw i jabłoni, czuprynę, która rozpościerała się ponad rynkiem, przesłaniając drogę, którą właśnie jechali i cmentarz na jej zakręcie, czuprynę niczym pogodny jasny cumulus. Kwiatów, ani drzew, z których wyrastały nie było. Nieszawa wyłysiała. Na cmentarzu tylko, niczym niedogolony zarost, kwitły gdzieśgdzie rachityczne bzy. Na wysokości cmentarza, w lewo, droga wiodła prosto do Wisły i przystani promu. Kiedyś wybrukowana różowo-sinymi kocimi łbami, teraz asfaltowa. Krótsza jakby i mniej spadziasta, niż ta z dzieciństwa. W lewo wzdłuż Wisły w przeciwnym kierunku do rynku ulica Krzywdów i Bienków. Fara. Kościół jak z dzieciństwa. W najmniejszych szczegółach. Gotyk nadwiślański. Czerwona cegła i ciosane granitowe głazy. Przyklejone kaplice. Prostopadłoscian wieży. Kościół zamknięty. Niebieska tabliczka z informacją o remoncie z Funduszy Europejskich. Sześciocyfrowa liczba. Obok plebania. Dworek z kolumnkami. Miniaturka Żelazowej Woli. Kremowa z szarymi liszajami. Bez okien. Prawie ruina. Gruz wokół. Niebieska tabliczka z in-

formacją o remoncie z Funduszy Europejskich. Sześciocyfrowa liczba.

Ożyły wyprawy z gospożą Rózią na nieszpory. Jej pachnąca kościołem sukienka. Czarna, ze złotymi różami góralska chustka. Po drodze zlorzeczenia na Darwida (taka gosposina hybryda Darwina z Norwidem), który pisze bluźnierstwa o tym, że ona, gospożo, członkini trzeciego zakonu, pochodzi od małpy. Przed farą ksiądz Świniarski. Szczupła, ascetyczna, jak wyciosana z ciemnego marmuru, niepokojąco spokojna twarz. Gotycka sylwetka. Podobno Niemcy w Dachau przeprowadzali na nim eksperymenty medyczne. Zrozumiał, że księdzu Świniarskiemu amputowano uśmiech.

Rynek. Dojmujące wrażenie pustki. Dawniej bruk, teraz asfalt. Dziurawy. Parterowe, pozbawione fundamentów domki. Częściowo niezamieszkałe. Pozabijane deskami okna. Pozostałość knajpy i sklepu przemysłowego. Też deski w oknach. Chudy, czarny kundel, z podkulonym ogonem przebiegający rynek. Czynny sklep spożywczy. Przed nim, na ławce, czterech w średnim wieku niespiesznie pije piwo. Dojmujące wrażenie pustki w oczach. Zapadnięci do środka. Nawet desek brak w oknach.

– Ja tu mieszkalem, zagaił do nich.

– Na pewno nie mieszkales.

„Ty” podkreślające poczucie własnej wartości. Mówiące – to, co widzisz, to tylko pozór. Jesteśmy grupą światowców, którzy mają kaprys delektować się chwilą w tym egzotycznym miejscu.

Chciał odejść, ale zaryzykował:

– Mój ojciec był tu lekarzem. Wiedział, że w takich miejscowościach nazwiska kolejnych księży, wójtów i lekarzy na zawsze wchodzi do historii.

Nic. Odszedł kilka kroków. Po chwili jednak jeden ze „światowców” podchodzi.

– Jesteś z pięćdziesiątego piątego rocznika, twoja matka też była lekarką i masz brata bliźniaka.

– Tak jestem z pięćdziesiątego piątego, mama jest lekarką, ale brat jest o rok młodszy.

– Nazywam się Koźmiński i chodziliśmy razem do klasy.

Wyciągnął rękę. Uścisnął dość mocno i dość długo dla podkreślenia pewnej zażyłości. Przez chwilę jakby nawet zaszklily się oczy, ale znów zapadł się do środka.

– No to cześć!

– No to cześć!

Furmanki, dużo furmanek i koński gnój, dużo końskiego gnoju na rynku. Jego zapach. Zapach dawnego nieszawskiego centrum. Piętrowa kamienica. Dentysta. Dentyści wtedy jeszcze byli, potem już tylko stomatolodzy. Kolega ojca. Rodzinna anegdota. Bolący ząb ojca i obopólne znieczulenie butelką wódki – lekarza i pacjenta i... usunięcie zdrowego zęba. Ciemne mieszkanie na piętrze. Bormaszynka napędzana pedałem. Tajemnicze lśniące chromem przyrządy.

Pierwszy raz w życiu oglądana telewizja, chyba w „Belwederze”. Na pewno maj, bo Wyścig Pokoju, więc teraz rocznica. Rajmunda Zielińskiego, Staszek Gazda, Kudra, Magiera, Gawliczek... Chciał mieć na imię Rajmund.



Dom w którym mieszkał. Nad rynkiem, w połowie drogi na cmentarz. Róg Mickiewicza i Ciecchocińskiej. Niebrzydka, nieskomplikowana, jednopiętrowa secesja. Zwarta bryła – położony na dłuższym boku, ceglany prostopadłościan. Proporcje mniej więcej jeden do trzech. Poza roślinnymi, metalowymi, motywami balkonu i betonowym popiersiem Mickiewicza w górnym narożniku budynku, bez zdobień. Jak fara – dom dokładnie taki sam, jak w czasach jego dzieciństwa.

Nowy, świeżo postawiony, murowany płot. Solidne, kute furtka i brama. Zupełnie „łysy” ogród. Wycięte wszystkie drzewa. Zasypany staw. Pozostała duża, o średnicy około dwóch metrów, cembrowana studnia. Brama zamknięta na klucz. Nikt nie otwiera. Wrażenie niezamieszkania.

Dziwny, zupełnie nie nieszwawski dom, jakby przeniesiony z większego miasta.

Na parterze ośrodek zdrowia. Ojciec w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi, schodzi do pracy z mieszkania na piętrze. Za nim biegnie gospoia z drugim śniadaniem. Mieszkanie. Zapach wędzonego łososia, zawsze wiszącego w spiżarce. Wielkie – dobre sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów kwadratowych. Cztery pokoje. Na sufitach stiuki. Ogromna sypialnia rodziców, w której otchłani giną: duży małżeński tapczan, ciężki dębowy stół i duże fotele obite zielonym pluszem. Wrażenie nieumeblowania. Zimą, dwa kaflowe piece w dwu przeciwległych narożnikach, mimo heroicznych wysiłków gospoii, nie dają sobie rady z jego nagrzaniami. Sala balowa? Bankietowa?

W nocy pukanie do drzwi. Płacz Legalowej. Schodzi z ojcem do mieszkania na parterze. Czeka wystraszony w przedpokoju. Za ścianą głośny szloch Hanki, Gienska i Legalowej. Wracają. Słowa ojca:

- Stary Legal umarł. We śnie. Lekką miał śmierć.
- Czym jest śmierć? Kiedy jest lekka?
- Kiedyś zrozumiesz – mówi ojciec.

Spokojna, zamyślona, woskowo-żółta, twarz pierwszego nieboszczyka, którego widział. Twarz starego Żyda. Taką twarz miała śmierć.

Historia Legala, jego żony i dzieci jest dla niego równie tajemnicza, jak domu, domu, w którym byli sąsiadami. Legal z rodziną znalazł się po wojnie w Nieszawie, ponieważ był pełnomocnikiem przedwojennych właścicieli domu, w którym mieszkali. Swoją przyszłą żonę, rodowitą Rosjanę z Pietropawłowska, poznał podczas wojny, w Niemczech, gdzie ta przebywała dobrowolnie na „przymusowych robotach”. Jakim cudem będąc polskim Żydem znalazł się tam, a do tego przeżył, z tak wyraźnie semickim wyglądem, jeden Jahwe wie. Legalowie i ich dzieci cieszyli się w Nieszawie powszechnym szacunkiem i poważaniem, co tym bardziej niezrozumiałymi czyni wydarzenia w 1945 w miasteczku, o których za kilka miesięcy po tym wspomnieniu miał się dowiedzieć.

Walentyna, tak miała na imię Legalowa. Ładna, pogodna, młodsza od męża o co najmniej dwadzieścia lat. Mówiła śpiewną polszczyzną przetykaną wyrażeniami rosyjskimi. „Walentyna, o Walentyna, o gwiazd kraina cię dobrze zna...” Kiedy



Fot. Tomasz Bienek, opracowanie graficzne Olga Korniewicz

słyszał tę melodię, wydobywającą się z magicznej zielonookiej skrzynki, był przekonany, że to o niej.

Bawił się z rówieśnikami w wojnę. Wrogami byli niezmiennie Niemcy. Niemiec w jego wyobrażeniu był kimś, a może raczej, z braku jakichkolwiek ludzkich cech czymś, doskonale złym, czymś diabelsko-bandycko-smoczym. Nikt nie chciał być złym, toteż role Niemców w dziecięcych zabawach odgrywały najczęściej, kręcące się w dużych ilościach po miasteczku psy. Zdarzyło się, że taki spory, podrażniony pies-Niemiec, warcząc i szczekając pogonił za nim. On, uciekając, wskoczył na wieko studni, które osadzone na osi, obróciło się. Przerażony znalazł się w wodzie. Na szczęście wewnątrz studni wyłożone było wystającymi granitowymi kamieniami, których mógł się uchwycić. Na powierzchnię w wiadrze wydobyli go Hania i Gienek Legalowie. Przed Niemcem uratowali go potomkowie Żyda i Rosjan.

Wisła. Przystań promu. Ani żywej duszy, poza wygrzewającym się na brzegu kotem i kobietą na pokładzie, pełniącą funkcję sprzedającej bilety i obsługującej przeprawę. Żadnej barki, ba, żadnej łodzi nawet. Nieszawa jakby odwróciła się od rzeki. Niebiesko-biały prom z napędem elektrycznym. Ładowność to dwa samochody osobowe i kilkanaście osób. Duże koła napędowe po bokach imitują, jak odpustowy blaszany kapiszonowiec prawdziwego colta, parostatek i przypominają o tym dawnym – parowym. A był to wehikuł niezwykle malowniczy. Kiedy później czytał *Przemyśl Hucky* tak wyobrażał sobie parostateki pływające po Missisipi. Czarno-czerwony. Emanujące mocą potężne mosiężne tłoki parowego silnika. Dwie szalupy przywieszzone przy bokach. Węglowe palenisko z bijącym od niego żarem. Piekielna maszyna, tak o nim myślał, również wystraszony, co zaciekawiony. Brodaty kapitan z ogorzałą twarzą i fajką w zębach był dopełnieniem widoku. Statek mieścił dwie ciężarówki wojskowe, bądź częścię siedem, osiem furmanek. Na lewo od promu przycumowana na sta-

łe barka, pełniąca funkcję przystani dla innych barek, holowników i pasażerskich statków regularnie pływających po Wiśle. Codziennie co najmniej kilkanaście barek, wożących głównie drewno, cegłę, piach, cement i inne materiały budowlane. Rozładunek, załadunek. Głównie furmanek. Na prawo od promu suszące się na stojakach sieci. Do brzegu Wisły przycumowane, ciężkie, krępe, około czterometrowe łodzie rybackie, do których na rufie przymocowywano zakończone śrubą silniki spalinowe, ale które też, bywało, poruszano przy pomocy ciężkich, grubych, wiosł i siły muskularnych, żyłastych rąk. Spółdzielnia Rybacka „Certa” była główną żywicielką ówczesnej Nieszawy. Na brzegu skrzynie pełne ryb. Najwięcej leszczy, płoci i cert. Skrzynie z węgorzami, jak czarny, wielogłowy oślisły smok. Jakby skrzydlate po rozpostarciu płetwy grzbietowej sandacze. Oliwkowe okonie i szczupaki. Kilkunastokilogramowe wąsate, o zadziwiająco małych, jakby złośliwych oczkach i szerokiach pyskach sumy. Wreszcie, najcenniejsze – łososie i trocie.

Każdy gatunek miał swój niepowtarzalny kolor i zapach. Zapachy dzieciństwa... fantomowe, jakby dotykanie dawno obciętych palcami.

Po prawej, koło łodzi rybackich, złowił swoją pierwszą rybę – wąsatego, pulchnego, pocziwego kiełbika. Chciał zabrać do domu. Ojciec kazał wypuścić. Później, często widać było, jak z prawej strony przystani siedmio-, może ośmioletni blondynek raz za razem zarzucał zaopatrzoną w szpagat, korek i zakrzywioną szpilkę, leszczynową wędkę, co chwila holując srebrzyste ukleje, płotki, oliwkowe okonki i wąsate kiełbie. Między braniem czas na zamyślenia. Wisła – potężny sum na końcu szpagatu, albo – koniec świata – z drugiej strony rzeki – najpierw Rosja – rozległe puste pole, za nią Niemcy – rozświetlany piorunami gąszcz ruin, po nich mroźna Grenlandia – coraz bardziej mglista i mglista, aż w końcu – nic, jak powietrze z pękniętego balona.

Teraz w tym samym miejscu zarzucił przywieszoną wędkę. Płytko. W koń-



cu – jest! Niewielki kielbik. Wypuścił. Są pod ochroną. Kilka kolejnych rzutów i zaczep. Szarpał wędkę. W końcu złamał.

Droga na Przypust. Po prawej, koło klasztoru, źródło, z którego gosposia tak, jak inni mieszkańcy, nosiła do domu wodę do picia i gotowania. Jej zapach i smak... fantomowy. Dalej, po lewej powinien być ewangelicki zbór. Neogotycki, smukły, z jaskrawo czerwonej cegły. Magazyn cementu w czasach jego dzieciństwa. Nie ma! Nie ma ani śladu! Stoi niewielki garaż. Przeczytał później w internecie, że ktoś rozbrajał i że nie wiadomo kto. Skradziono kościół! Sztuka niebywała! Co łatwiej ukraść – kościół, czy pamięć, zastanawiał się.

Z towarzyszami pobytu, niezmiernie przypominającymi mu pewnego dobrze wychowanego, młodego człowieka, który nie tak dawno ustąpił mu miejsca w tramwaju, a on skwapliwie, choć z pewnym zdziwieniem z tego skorzystał; powrócił do miasta.

Minęło kilka tygodni i w książce Jarosława Makowskiego *Dziesięć ważnych słów. Rozmowy o Dekalogu* w rozmowie autora z prof. Tadeuszem Sławkiem *O kłamstwie* znalazł następujący passus: *Myślę, że trzeba przemyśleć nasz stosunek do tego, co nie jest sferą „mojności”.*

Ludzie to, co „nie swoje”, nawet w nich samych, chcą omijać szerokim łukiem. Ilustrują to dobrze wielkie widma, jakie straszą w naszej pamięci – Jedwabne czy Nieszawa. To, co obce – myślimy – niech zostanie obce, niech pozostanie gdzie indziej i niech kto inny się z tym zмага. My umywamy ręce... To błąd, gdyż wcześniej czy później – jak już mówiliśmy – prawda wychodzi na światło dzienne.

Sprawdził datę wydania książki: 2002 rok. Zmroziło go. Dlaczego nic nie wiedział? Kliknął w Internecie – „mord w Nieszawie”. Znalazł artykuł *Głościco* w „Tygodniku Powszechnym” z 2001 roku autorstwa Jędrzeja Morawieckiego. Oto kilka cytatów.

„W Nieszawie – miasteczku nad Wisłą, między Toruniem a Włocławkiem – odbyły się w grudniu rekolekcje adwentowe. Kapłani je przygotowujący – ks. proboszcz Wojciech Sowa oraz ks. dr Zdzisław Pawłowski – wybrali sakrament pokuty i pojednania jako ich temat przewodni. Ks. Pawłowski (...) wypowiedział znamienne zdanie, które tłumaczy nasze trudności z prawdziwą skruchą: „Niewielu ludzi potrafi okazać szczerą skruchę, która daje możliwość pojednania, gdyż mało kto jest w swoim życiu tylko skrzywdzonym lub tylko krzywdzicielem. Zazwyczaj każdy z nas

doznał krzywdy i w późniejszym czasie krzywdząc drugiego uważa to za sprawiedliwą odpłatę za swoje przeżycia”. (...) Tuż po wojnie, jesienią 1945, mieszkańcy Nieszawy pochodzenia niemieckiego zostali aresztowani. Całe rodziny przetrzymywano w miejscu odosobnienia. (...) Pewnej nocy, po zakrapianej libacji, grupa mieszkańców Nieszawy – być może wraz z milicjantami – udała się do pozostałych jeszcze uwięzionych, wyprowadziła ich nad Wisłę i w bestialski sposób potopiła. Wśród kilkudziesięciu ofiar były kobiety i dzieci. Winnych nigdy, o ile wiem, nie oszczędzono, a całą sprawę okrywa zмова milczenia (...)”.

„Tych ludzi już nie ma, a ujawnienie nazwisk pociągnie ze sobą złą famę na dzieci tych osób. My nie chcemy stwierdzić: społeczeństwo zamordowało, a przywołać pamięć o tych, którzy zostali zamordowani. Bo nie ma po nich żadnego śladu. Nie ma tych, którzy mogliby się o nich upomnieć. Jak to pokolenie wymrze, to może się okazać, że tu nigdy nie było Niemców (...)”.

„Z kroniki parafialnej można wyczytać, że niektórzy ewangelicy zaangażowali się zbyt mocno w to, co przynosił Hitler. Czynnici współpracowali, wskazywali, kogo aresztować. Takie jest tło. Przyszły lata wojny, po wojnie rozdział tragiczny, ludzie chcieli zrehabilitować sobie okupację, zemścić się. Zorganizowano zabawę, milicjanci zdrowo popili, ktoś rzucił hasło: idziemy likwidować Niemców. Teraz – kiedy zapytać, pierwsza reakcja ludzi to: „dobrze”. Ale kiedy porozmawiać dłużej, mówią, że to było podłe. Bo wielu z pomordowanych Polakom sprzyjało, pomagało, czuli się częścią tego środowiska, dlatego nie uciekli (...)”.

„Brat stryjeczny poszedł z kolegą do tej milicji. Wiadomo, chłopaki, mieli po 19 lat, dostali opaski, broń... A że jeden był malarzem, to jechali Niemcom po plecach olejną farbą – malowali krzyże na kozuchu, karpocie... Pewnego dnia wychodzę na miasto, patrzę, a jeden taki nosi kozuch pana Szulca, z krzyżem. Próbował zdrapać, ale ślad pozostał. Poszedłem nad rzekę, na bulwar, tam gdzie wcześniej nie puszczali, żeby obeszło. Podeszedłem, zobaczyłem tylko czarne zacieki. Później zatrzymało się coś na wodzie naprzeciw mojej furtki. Myślę – pewnie jaka pierzyna. Podeszedłem, zahaczyłem kaczorkiem, patrzę – a to Niemiec, znałem go, poznałem po zdeformowanym nosie. Inny dopłynął aż za młyn (...)”.

„Bulwar to plama na tym miasteczku. Straszliwe przemilczenie. Najgorsze, że wszystko obrasta plotką, wykuła się jakaś wersja wydarzeń, prawda przepada (...)”.

„O rzezi na Niemcach trzeba opowiedzieć. Bo wszyscy powtarzają, że piękna historia miasta, że sami zacni ludzie, a tu były męty, niejeden miał tu ręce we krwi (...)”.

„O rzezi do tej pory mówi się tak, jak w czterdziestym piątym: głościco. Głośno w domach, a na zewnątrz nic. Bo nie ma się czym chwalić. To trochę niesmaczne zdarzenie dla ludzi kulturalnych”.

Artykuł pochodził z 2001 roku. W 2016 roku w Wikipedii na stronie poświęconej Nieszawie w części „historia” na samym końcu przeczytał:

Zbrodnia Polaków na Niemcach. Wiosną 1945 do Wisły wrzucono 38 Niemców – mężczyzn, kobiet i dzieci. Dorosłych wcześniej zabito (...). W 2004 odsłonięto pomnik z napisem „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”.

To mało, bardzo mało pomyślał. Są tacy, którzy uważają, że dużo, bardzo dużo. Mało... Dużo... Względność.

Miał sen. Sen w kolorze sepii, a właściwie przypominającym sepię, ale o nieco bardziej rdzawym odcieniu – w kolorze zaschniętej krwi. Sen jak niemy film, do którego niewidzialny taper przygrywa melodię niemal niedosłyszalnego szumu Wisły. Szumu, na którego tle doskonale słyhać najodleglejsze dźwięki. Szumu głoścociwego. Sen „kręcił się” z przeciwnego do Nieszawy brzegu Wisły, z dolnego jej biegu, mniej więcej z północnego wschodu. Z brzegu, za którym w dzieciństwie sytuował koniec świata. Widział pełną panoramę miasteczka. Od prawej oświetlał ją księżyc, bliski pełni, nieco przesłonięty chmurami. Dalej szlachetny, ale surowy, niczym twarz księdza Swiniarskiego, kontur fary; w lewo rynek z sennymi, przytulonymi do siebie jak pisklęta w gnieździe budynkami, potem bulwar kończący się pionowo opadającym do Wisły betonowym brzegiem, na którym białe świeciła listwa mierząca poziom rzeki. Wskazywała stan średnio wysoki, jak zazwyczaj wiosną. Za bulwarem budynki klasztoru, dalej strzelisty, neogotycki, ewangelicki zbór, jeszcze dalej na wzniesieniu Przypustu, drewniany, niewielki kościółek.

Krajobraz wydawał się nieruchomym. Jednak kiedy włączył „senny zoom” widać było kilka postaci męskich, chwiejnie poruszających się po rynku.

Po przesunięciu „zoomu” na bulwar ukazała się na nim spora, bo licząca około pięćdziesięciu osób grupa ludzi. Jak na Nieszawę – można powiedzieć – wręcz tłum, który dzielił się na dwie wyraźne części. Jedną łatwo było policzyć – miała wymalowane farbą olejną na plecach ubrań jasne krzyże. Składała się dokładnie z trzydziestu ośmiu osób – kobiet, mężczyzn, starsów i dzieci. Pozostali, trudni do policzenia, gdyż najwidoczniej pijani i podekscytowani mieszały się ze sobą i grupą „krzyżaków”. Część z nich na ramionach miała biało-czerwone opaski i karabiny w rękach, część niczym się nie wyróżniała – ot, szare, podobne do siebie sylwetki, jakich wiele codziennie przewijało się przez nieszawski rynek.

Jeden z „szarych” mężczyzn szarpał, jakby chcąc odciągnąć z grupy „krzyżaków” młodą kobietę. Tą próbował zatrzymać leciwy „krzyżak”, który po chwili, po strzale kogoś z grupy, upadł. Na czyjaś komendę wszyscy posiadający broń unieśli ją w górę i wystrzelili w powietrze. Po chwili jakby na tę samą komendę cała Nieszawa rozświetliła się jak w świetle pożaru i ukazała w pełnym blasku zapalanych w domach światła.

Senne sylwetki pijanych snujących się po rynku gwałtownie przyspieszyły swoje ruchy. Wyglądali z daleka, jak podrażnione wetknięciem kija w mrowisko, mrówki.

Grupę trzydziestu ośmiu osób uzbrojone sylwetki zepchnęły pod barierki chro-

niące przed upadkiem z betonowego urwiska. Młodszy z grupy sami przekraczali barierki i skakali do Wisły, starszych do niej spychano. W półmroku odnosiło się wrażenie, jakby to jasne krzyże, jak mityczne świetliki zapalały się i po krótkim locie gasły. Część natychmiast tonęła. Tych, którzy wypływali, dobijano strzałami z bulwaru. Po chwili widać było już tylko wolno płynące białe krzyże, jakby jakaś siła zepchnęła w całości do rzeki niewielki wiejski cmentarzyk.

Miał kolejny sen. Sen z akompaniamentem koncertu skrzypcowego Brahmsa. Sen „kręcił się” z promu dobijającego do przeciwnego względem Nieszawy brzegu Wisły, na wysokości rynku miasteczka. Prom był zupełnie nieruchomy, jakby osiadł na mieliznie. Jednak nie mogła to być mielizna, przynajmniej nie mielizna rzeki, rzeki która w tym miejscu miała jeszcze co najmniej trzy metry głębokości. Wisła była zupełnie nieruchoma, jakby skuta doskonale przezroczystym lodem. Pod statkiem widać było ławicę zupełnie nieruchomych uklei, niżej nieruchome kielbie w odległości kilku metrów, bliżej zarośli brzegu czaił się nieruchomy szczupak. W trzcinach zastygła krzyżówka pilnowała stada zastygłych kacząt. Ruch widoczny był za to z przeciwnej strony rzeki.

Nieszawa wolno płynęła w kierunku przeciwnym do biegu Wisły. Nad nią przepływały, jak ławice jasnych chmur, kwitnące sady. Ruch toczył się też w samym miasteczku. Obok przystani promu z furmanki na barkę przenoszono grube sosnowe deski. Z drugiej strony przystani ktoś rozwieszał na linie rybacką sieć, ktoś inny smarował smolą dno wyciągniętej na brzeg przysadzistej krypy. W drodze z plebanii na rynek ksiądz Swiniarski ze skupionym wyrazem twarzy odmawiał różaniec. Na ławce przy przystani siedzieli Stachura, Różański i Żernicki. Pili piwo i palili sporty. Stachura grał na gitarze. Wiatr delikatnie rozwiewał brodę Żernickiego. Z prawej strony przystani siedmio-, może ośmioletni blondynek raz z razem zarzucał zaopatrzoną w szpagat, korek i zakrzywioną szpilkę, leszczynową wędkę, co chwila holując srebrzyste ukleje, płotki, oliwkowe okonki i wąsate kielbie. Kościółek na Przypuszcie, bulwar z wybetonowanym brzegiem, klasztor, rynek, przystań promu, fara płynęły kolejno w pełnym blasku majowego słońca, niczym statki podczas uroczystej parady. Cała jaskrawość tego widoku, jak mocny alkohol, uderzała do głowy.

Przepłynęła fara ale dalej, zamiast odcinka Wisły w kierunku Ciechocinka, wyłonił się drewniany kościółek na wzgórzu Przypustu, a za nim... kolejna Nieszawa. „Nieszawa miasto wędrujące” przypominał sobie tytuł precyzytanej monografii miasteczka, tytuł związany ze zmianą jego lokalizacji w średniowieczu – z pobliska Torunia, na aktualną.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to, co teraz się ukazało, to nieruchoma, nieco prześwietlona, poblakła fotografia poprzedniego widoku. To, co jednak dało się zauważyć, to brak sadów, nadający panoramie bardziej ubogi i surowy wyraz. Gorną najwyższą część obrazu stanowił te-

raz cmentarz. Kolejnym szczegółem, odróżniającym widoki była wyrwa w miejscu, gdzie stał smukły, zbudowany z czerwonej, charakterystycznej dla niemieckiego budownictwa cegły, ewangelicki zbór. Niewielką część ubytku wypełniał szary murowany garaż. Kiedy bliżej przyjrzał się miasteczku widać w nim było niewielki, jakby senny ruch. Po bulwarze kręcił się pies. Na przystani promu wygrzewał się kot. Na rynku od grupy pijących tanie wino mężczyzna oddzielił się człowiek i zyzakiem podążył w zarośla. Stara kobieta z różańcem w ręku, zakutana w chustkę przyslanającą twarz, wychodziła z fary. Na brzegu rzeki, na wysokości fary, siwy mężczyzna energicznie szarpał wędkę, którą w końcu złamał.

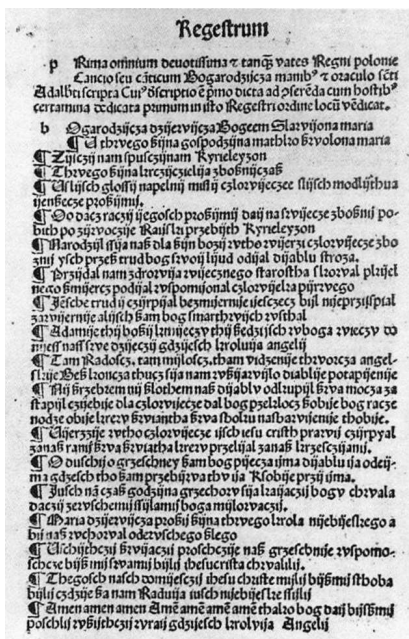
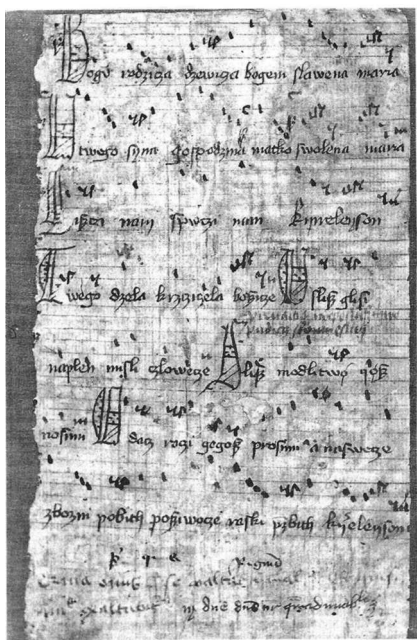
Powoli nadpłynęła kolejna Nieszawa. Nieszawa w kolorze sepii, a właściwie przypominającym sepię, ale o nieco bardziej rdzawym odcieniu – w kolorze zaschniętej krwi. Nocna Nieszawa, rozświetlona jak w świetle pożaru, w pełnym blasku zapalanych w domach światła. Najpierw drewniany kościółek na Przypuszcie, potem opustoszały bulwar, po którym wiatr rozrzucał fragmenty ubrań – kobiece chustki, dziecięce beciki, kurtkę z wymalowanym na plecach olejną farbą krzyżem. Przed barierkami trzy męskie buty.

Światła okien powoli gasły. W końcu pozostały dwa – w rynku – sklepu i knajpy, w okolicy których kłębił się tłum kilkudziesięciu, może nawet stu, mężczyzn. Część z nich na ramionach miała biało-czerwone opaski i karabiny w rękach, część niczym się nie wyróżniała – ot, szare, podobne do siebie sylwetki, jakich wiele codziennie przewijało się przez nieszawski rynek. Gestykulowali, krzyczeli, mieszały się między sobą. Byli wyraźnie pijani i podekscytowani. Z daleka wyglądali jak mrówki podrażnione wetknięciem kija w mrowisko. Rynek odpływał, za nim odpływała fara.

Koncert skrzypcowy Brahmsa kończył się nieuchronnym zwycięstwem skrzypiec nad orkiestrą. Przez jego ostatnie dźwięki przebił się odgłos atakującego stado uklei, szczupaka. Z drugiej strony promu słyhać było baraszkującą rodzinę kaczek. Statek dobił do brzegu.

Rozejrzał się po promie. Poza nim na statku znajdowała się jedna osoba. Był to stary, nieco przygarbiony, szczupły mężczyzna, trzymający teraz w jednej ręce skrzypce, w drugiej smyczek. Miał długie, nieco przerzedzone, sprawiające wrażenie ciągle rozwianych, siwe włosy, siwego wąsa, wysokie pomarszczone czoło i niezwykle inteligentne, nieco sztycherce oczy. Na ustach błąkał mu się dobrotliwy, ironiczny, uśmiešek. Znał tę twarz. Wielokrotnie ją widział. Jego pamięć przeglądała zapisane w niej podobizny od przedstawiających wirtuozów skrzypiec, po samego Pana Boga. Wreszcie sobie przypominał. To oczywiście był Albert Einstein! Starzec nie poświęcając mu uwagi ruszył energicznym krokiem prosto przed siebie, w końcu znikając za horyzontem w miejscu, w którym on w dzieciństwie sytuował koniec świata, a które Einstein zapewne nazwałby zakrzywieniem czasoprzestrzeni.

BLASK ARCYDZIEŁ



Blask BOGURODZICY

JERZY PASZEK

Do napisania tego eseju ośmieliły mnie książki dwu moich przyjaciół, a mianowicie Wacława Twardzika *O najważniejszym aniżeli dotychczas tekstu staropolskiego czytaniu i jakie z niego pożytki płyną rozprawa śliczna i podziwienią godna* (Kraków 1997) oraz Aleksandra Wilkonia *Dzieje języka artystycznego w Polsce. Średniowiecze* (Katowice 2004). W pierwszej znalazłem uzasadnienie wariantowego odczytania wielu liter (np. *v* mogła oznaczać *u*, *w*, *v* czy *i* lub *y*; vide: Twardzik, op. cit., s. 47), a zapisy typu *vyedrze*, *wass*, *waszq* – trzeba (jak w szyfrogramach) uznać za wyrażenia przyimkowe: „w wiedrze, w was, w waszę” (ib., s. 11); oszczędność materiałów papierniczych powodowała iście szaradziarskie zabawy słowne, które daje się rozwiązać dzięki tekstom łacińskim, które bywają tu najczęściej tłumaczone: *Czczyenye o stadlye dzyevyche marie / poczczyv naschego zbavyenya* – to „Czcienie o stadle dziewicy Maryje po poczęciu naszego zbawienia”, czyli w rękopisie mamy jedno *po*, które musimy sobie podwoić, by uzyskać sens zdania (oryginał

ma tu: „post conceptionem”; ib., s. 18, podkr. W. T.).

Wilkoń szeroko przedstawił dzieje interpretowania najtrudniejszego polskiego utworu w chwili, gdy otrzymaliśmy już jego stale przedrukowywany tekst, przyjęty w edycji krytycznej: *Bogurodzica*. Oprac. J. Woronczak, wstęp językoznawczy E. Ostrowskiej, oprac. muzykologiczne H. Feichta. Wrocław 1962, „Biblioteka Pisarzy Polskich”, seria A, nr 1. Do pracy Wilkonia będę się tu najczęściej odwoływał, gdyż mam zaufanie do jej ustaleń i ocen.

Oto wersja tekstu przedstawiona w tym fundamentalnym opracowaniu naukowym: „Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja, / U twego syna Gospodzina matko zwolena, Maryja! / Zyszczy nam, spuści nam. / Kyrieleison. // Twego dzieła Krzciciela, bożycze, / Uslysz glosy, napełni myśli człowiecze. / Słysz modlitwę, jaż nosimy, // A dać raczy, jegoż prosimy: / A na świecie zbożny pobyt, / Po żywocie rajski przebyt, / Kyrieleison” (komputer podkreśla mi na czerwono aż tuzin wyrazów, a przecież „nie wie”, iż niektóre z tych archa-

icznych słówek miały dawniej inny sens niż dzisiaj; myślę tu o „spuści”, „zbożny”, „żywocie”).

Twardzik przekonał mnie, że nie należy wierzyć żadnym autorytetom, jeśli ustalony tekst nie ma dostatecznie przejrzystego sensu. Oto w *Chrestomatii staropolskiej. Tekstach do roku 1543* autorstwa Wiesława Wydry i Wojciecha Ryszarda Rzepki (Wrocław 1995, s. 419) znalazł się dowcipny dwuwiersz Piotra Bolesty z roku 1453 w następującym brzmieniu: „Laudate księża! Paschę skażni, / Bo rad piwo pije po łaźni”. Ta transkrypcja odnosi się do oryginału, który w transliteracji wygląda tak: „Laudate xąsa pascha szkaszny, / bo rad pywo pye po laszny”. Ażeby uzyskać blask XV-wiecznego żartu, należy wykreślić wersje Wydry i Rzepki z pamięci, a rozesmiać się z mojego staropolskiego imiennika, lubiącego sobie wypić, ale dopiero po wyjściu z łaźni: „Chwalcie, księża, Paszka z kaźni [z dobrych obyczajów], / bo rad piwo pije po łaźni.” (W. Twardzik: „Discordia amicabile” *al. przyjacielska swada*. „Teksty Drugie” 2003, nr 1, s. 156). Tako uzbrojony i bojowo nastrojony, przystępuję do analizy pierwszej zwrotki *Bogurodzicy*.

Zdanie „Zyszczy nam, spuści nam” jest wybrakowane i niekompletne, gdyż czasowniki zyskać i spuścić wymagają dopełnienia: kogo pozyskać? Kogo spuścić? Aleksander Brückner, wyzyskując brzmienie jednego z odpisów tekstu *Bogurodzicy*, proponuje w tym miejscu umieścić dłuższe wypowiedzenie i zmianę czasownika spuścić na rzeczownik spust, czyli ‘odpuszczenie’: „U twego syna, gospodzina, / Matko zwolena, Maryja, / Zyszczy nam spust winam” (A. Brückner: *Encyklopedia staropolska*. Materialem ilustr. opatrzył K. Estreicher. Tom I: A – M. Warszawa 1990, kol. 106). Niektórzy filolodzy i historycy literatury (Wacław Aleksander Maciejowski, Aleksander Przechodziński, Jan Rymarkiewicz, Antoni Kalina, Wilhelm Bruchnalski, Tadeusz Lehr-Splawński) dostrzegali omyłkowe wstawienie przez kopistę „U” na początku drugiej linijki tekstu (mogła to być litera „v”, czyli marginesowy skrót wyrazu „versus”); po usunięciu tego błędu zdanie miałoby poprawne brzmienie: „Twego syna Gospodzina zyszczy nam, spuści nam” (vide: R. Mazurkiewicz, Z. Wanicowa: *Dlaczego „Bogurodzicę” śpiewano w liturgicznym okresie Bożego Narodzenia?* „Pamiętnik Literacki” 2005, z. 2, s. 34).

Inni badacze, począwszy od Jana Łosia aż po Romana Mazurkiewicza i Zofię Wanicową, godzą się na pozostawienie „U” w drugim wersecie, ale proponują inne odczytanie zapisu czasowników „zyszczy” i „spuści”, a mianowicie najwcześniejszy zapis („siszczy nam, spwczy nam”) chcą potraktować jako nieudolny wariant słów: „zyszczy nam, spuści nam” (tu kłania się Twardzik z jego sugestiami wieloznacznego wyzyskiwania poszczególnych liter:

końcowe i równałoby się *ji*, tworząc nowy wyraz). Tę wersję trzeba by było interpretować jako równoznaczną zdaniu współczesnemu: „U twego syna Gospodzina zyskaj nam łaski i ześlij nam go” (w prośbie o zesłanie Chrystusa moźna dostrzec też kwestię paruzji).

Najoryginalniej do tego zagmatwanego i zagadkowego miejsca w *Bogurodzicy* podchodzi Ewa Ostrowska (vide: E. Ostrowska: *O artyzmie polskich średniowiecznych zabytków językowych*. („*Bogurodzica*”, „*Kazania świętokrzyskie*”, „*Posłuchajcie, bracia miła*”). Kraków 1967, s. 36). Otóż proponuje uznać dystych „A na świecie zbożny pobyt, / Po żywocie rajski przebyt.” jako refren, który można przesunąć na koniec pierwszej zwrotki: „zyszczy nam spuści nam [...] a na świecie zbożny pobyt, / po żywocie rajski przebyt.” (vide: Wilkoń: op. cit., s. 50). Ostrowska potrafi nam nawet podpowiedzieć, czy anafora w 8. i 9. linijce („A dać raczy, jegoż prosimy: / A na świecie zbożny pobyt”) jest niedolęstwem autora, czy też to A zostało użyte w dwu różnych znaczeniach: „W a dać raczy ma znaczenie dzisiejszego *i*; drugie a trzeba rozwiązać jako ‘a mianowicie’. Jedną więc funkcją stylistyczną tego podwójnego a polega na powtórzeniu, które w poezji średniowiecznej, zwłaszcza na początku kolejnych wersów, miało szczególną wartość artystyczną. Druga funkcja polega na użyciu tych samych wyrazów w dwóch różnych znaczeniach” (E. Ostrowska: *Z dziejów języka polskiego i jego piękna. Studia i szkice*. Kraków 1978, s. 14).

Jeśli pierwsza zwrotka tej najstarszej polskiej pieśni tworzy liryk maryjny (mariologiczny), to dalsze części *carmen patrium* mają charakter chrystologiczny. Tu problem polega na usytuowaniu trzech postaci: Chrystusa, Maryi oraz Jana Chrzciciela. Umieszczenie Jezusa w środku tej triady prowadzi w rezultacie do kreacji tzw. deesis (rzadziej: deisis; tak pisze autor *Encyklopedii staropolskiej*, op. cit., kol. 104-105), czyli „przedstawienia Chrystusa mającego po bokach Matkę Boską i św. Jana Chrzciciela, ukazanych w pozach modlitewnych” (*Wielki słownik wyrazów obcych* PWN. Red. M. Bańko. Warszawa 2003, s. 245). Nieoczekiwanie znalazł się badacz, Josp Hamm, który w zapisie *krzciciela* nie widzi Chrzciciela, ale obraz „krwi i ciała” Jezusa Chrystusa: „Nic natomiast w tym kontekście nie tłumaczy *krzciciela*, nawet Brücknerowe powoływanie się na ikonografię, a już na pewno nie w takiej mierze, jak by to sobie życzyli niektórzy. O ileż bowiem istotniejsze było Chrystusowe przemienienie chleba i wina w Ciało i Krew” niż Jan Chrzciciel, „któremu nie przypisujemy przecież jakiegś szczególnej roli pośrednictwa między Chrystusem a ludźmi” (J. Hamm: „*Bogurodzica*” w *perspektywie południowosłowiańskiej*. Przeł. A. Borowiec. „*Pamiętnik Literacki*” 2005, z. 2, s. 23).

Jak widać, omawiany tekst przynosi rzeczywiście istną profuzję łamięłówek! A przecież nie wspomniałem jeszcze o semantyce podstawowych archaizmów, połączeń wyrazów, w tym sensu rozdzielnego pisania Bogu rodzica, a także o problemie datowania badanego zabytku języka polskiego. Zaczniemy od incipitu pieśni. Stanisław Urbańczyk „proponuje odczytanie tego zrostu jako konstrukcji syntaktycznej *bogu rodzica*, co jego zdaniem stanowi grę językową” z wyrażeniem „*bogiem sławieną* z tego samego wersu. Wyrażenie *bogu rodzica* mogło w tym ujęciu stanowić nie archaizm, ale neologizm poetycki” (Wilkoń, ib., s. 37). Urbańczyk pisze: „Słowa *Bogu rodzica* drukujemy tu świadomie rozdzielnie”, ponieważ „*bogu rodzica* jest wariacją *bogurodzicy* czy *bogorodzicy*”, podobnie jak wyrażenie *bogiem sławieną* „wygląda na mutację *bogostawionej*” (S. Urbańczyk: „*Bogurodzica*”. *Problemy czasu powstania i tła kulturalnego*. W teoz.: *Prace z dziejów języka polskiego*. Wrocław 1979, s. 129). Wilkoń powściąga nieco gry językowe Urbańczyka, konkludując, iż „konstrukcja *Bogu rodzica* to archaizm fleksyjno-syntaktyczny, który mógł się przekształcić w *zrost Bogurodzica*” (ib., s. 39; podkr. A. W.). Dodajmy, że pisownia *Bogv rodzica* pojawiła się około 1407 roku, w pierwszym utrwaleniu późniejszego hymnu spod Grunwaldu. *Notabene*, Wilkoń wspomina fragment *Latopisu ruskiego*, gdzie pod datą 1248 podaje się, „iż Polacy stawiali do bitwy ‘kierlesz pojuszczę’ (‘śpiewając kierlesz’)” (Wilkoń, ib., s. 43), co należy łączyć z *Kyrieleison Bogurodzicy*: „Jest też prawdopodobne, iż zapis z *Latopisu ruskiego* odnosi się do naszej pieśni” (ib.).

Podobnie skomplikowaną semantykę mają i inne archaiczne wyrażenia *Bogurodzicy*. Myślę np. o konstrukcji syntaktycznej *Bogiem sławieną*. Wilkoń stwierdza, że taki archaizm nigdy później już „w tej postaci nie wystąpił” (ib., s. 40). Inny staro-cerkiewno-słowiański archaizm – *dziela* czyli ‘dła’ – też „nigdzie indziej na terenie Polski nie został odnotowany”: „występuje nie na zasadzie rodziny, ale wespół z innymi archaizmami w *Bogurodzicy*, które w łącznym ujęciu stanowią bardzo poważną przesłankę, że był to utwór stary” (ib., s. 41). Podobnie „patronimiczny [czyli ‘nazwisko utworzone od imienia ojca’, *Wielki słownik...*, s. 953] *bożyc* ‘syn Boga’ wystąpił w polszczyźnie tylko raz” (ib., s. 35). Myślę, że inne przywołania *bożyc*a (np. w *Dziejach grzechu* Stefana Żeromskiego czy *Kwiatach polskich* Juliana Tuwima) były tylko aluzjami hołdowniczymi i chwytem zadziwienia czytelnika tak odległymi skojarzeniami! Gra słów niewątpliwie pojawia się w rymie „pobyt – przebyt”. Ale i tu zauważa się rzadkość tych słów: „Wyraz *pobyt* nie występuje w *Słowniku staropolskim*, natomiast synonim *przebyt* poświadczony jest kilka razy” (ib., s. 45).

Na zakończenie moich wywodów, z konieczności bardzo trącających kompilacją (bo każdy komentator chce zaślusnąć jakąś nowalijką i sensacyjnym znaleziskiem, ergo dużo tu mam materiałów do referowania!), postaram się zaprezentować moje tłumaczenie *Bogurodzicy* z trzech języków, czyli łaciny („*Maria*” zamiast rodzimej formy tego imienia: *Marza*), greki i staropolszczyzny, na współczesną uroczystą mowę Polaków: Rodzicielko Boga, dziewico, uwielbiona przez Boga Maryjo! / Przez twego syna, Pana, matko wybrana, Maryjo! / Pozyskaj go nam, ześlij go nam. / Panie zmiłuj się! // Synu Boży, pamiętaj o twym Chrzcicielu, / Wysłuchaj głosów modlitwy, spełnij pragnienia człowiecze, / Usłysz modlitwę, którą wznosimy, / I raz nam dać, o co prosimy: / Na tym świecie dostatni pobyt, / A po życiu przebywanie w raju. / Panie zmiłuj się! (vide: T. Michałowska: *Średniowiecze*. Warszawa 1995, s. 284; *Średniowieczna pieśń religijna polska*. Oprac. M. Korolko. Wrocław 1980, BN I, 65).

Kłopoty ze zrozumieniem dziś *Bogurodzicy* wiążę również z jej warstwą brzmieniową. Przykładowo: wszystkie rymy pierwszej zwrotki zawierają w ostatniej sylabie samogłoskę *a*, co wywodzi się „ze starych sekwencji ‘al-lelujatycznych’ pochodzenia francuskiego lub niemieckiego” (Michałowska: op. cit., s. 289). Jerzy Woronczak, zwracając uwagę na kunsztowność budowy utworu, dzieli hymn na krótkie *semiversiculi* (cząsteczki), ukazujące wspaniały rytm i muzyczność tego arcydzieła polskiej i europejskiej średniowiecznej literatury: „I. 1. Bogurodzica / dziewica, / Bogiem sławieną / Maryja, / 2. U twego syna / Gospodzina / matko zwolena, / Maryja, / 3. Zyszczy nam, / 4. spuści nam. / 5. Kyrieleison! // II. 1. Twego dzieła / Krzciciela, / bożycze, / 2. Usłysz głosy, / napełń myśli / człowiecze, / 3. Słysz modlitwę, / jaż nosimy / 4. A dać raczy, / jegoż prosimy: / 5. A na świecie / zbożny pobyt, / 6. Po żywocie / rajski przebyt. / 7. Kyrieleison!” (Wilkoń, s. 46).

Julian Krzyżanowski w roku 1963 pisał, że powstało już około 600 prac o *carmen patrium* (J. Krzyżanowski: *Znowu o „Bogurodzicy”*. W tomie zb.: *Z polskich studiów slawistycznych. Prace na V Międzynarodowy Kongres Slawistów w Sofii 1963*. T. 2. Warszawa 1963, s. 5). W drugiej dekadzie XXI wieku, czyli ponad pół stulecia później, elaboratów takowych będzie zapewne pod 700? Oby mój esej w spisie skrupulatnego skryby, zajmującym się enumeracją wszystkich znaczących, przyczynków, przeglądów, omówień, bibliografii, recenzji, artykułów, studiów, rozpraw, monografii, syntez i książek o *Bogurodzicy* – nie zasłużył sobie tylko na trzy szóстки!



Poezja pytań

KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

To pewne: „Uniesie nas wiatr”. Marian Kisiel zdaniem tym, wypowiedzianym wielokrotnie w jego najnowszym tomie poetyckim, wyraził przekonanie przyszłego zwycięstwa żywiołu nad człowiekiem. Chociaż wiatr jest tutaj delikatny, niegwałtowny, zawiera w sobie siłę uzdalniającą do lotu, wzbić się ponad ziemię. Ten z jednej strony przynosi – jak pisał Gaston Bachelard – „błogie poczucie lekkości” i wolności, z drugiej ma wpisane w siebie ryzyko upadku. Sam wiatr jest natomiast tajemnicą: „[...] wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża” (J 3,8).

Te niewiadome (źródło i cel, z którego i do którego żywioł ten zmierza) wzbudzają w pocie lęk. Dlatego Kisiel w swoich wierszach pyta o pośmiertne (metafizyczne?) miejsca istnienia: „wiatr nas uniesie, / poniosą ramiona // w tę, tamtą, inną, / ileż tych przestrzeni” (s. 11). Autor *Drogi* nie opowiadając się po stronie żadnego ze stanowisk religijnych na temat życia po śmierci, wskazuje raczej na wielość, nienazwanych konkretnie sfer „bycia-w-świecie”, uświadamia niemożliwość ich zlokalizowania i nazwania. Wie, że temu lekkiem, unoszącemu wszystko nad ziemią powiewowi nie warto ufać. W każdej chwili może on zmienić swój kierunek, przemienić się w wichurę czy w huragan. Od mocy jego podmuchu zależy siła lotu, dalszy los człowieka: „wiatr zawiewa, / ty zawiewasz z nim, // kiedy wiatr ustanie, / ty ustanieś z nim” (s. 56).

Niepodważalny jest tylko fakt samej śmierci: „niedługo umrzemy, / bo takie jest życie” (s. 11). Poeta moment odejścia z tego świata wyobraża sobie na różne sposoby. Po pierwsze jako

rozłączenie od tego, co dotąd było mu najbliższe: „twarze, uśmiechy / stały się już bielą, // spojrzenia, głosy / gdzieś się oddaliły” (s. 11); po drugie jako coś zaskakującego i zarazem przerażającego: „już wir nas wciąga / wzywa mleczna droga” (s. 11). Ten nieco infernalny obraz wciągającej człowieka otchłani zostaje złagodzony innym, przedstawiającym galaktykę – objawiającą się przed oczami człowieka smugę światła przecinającą niebo. Śmierć nabiera tutaj wymiaru kosmicznego, ale też może być epifanią, chwilowym objawieniem, błyskiem.

Podobnie niejednoznacznie poeta myśli o miejscu spoczynku. Najpierw to murowany, wieczny i „ostatni D.O.M.” (s. 23), *Domus Omnium Mortuorum*, co oznacza „Dom Wszystkich Zmarłych”. Wyraża on wspólnotę tych, którzy odeszli, kojarzy się raczej z krainą szczęśliwości, jakimś ostatecznym azylem zmarłych, w którym toczy się ich dalsze życie. Poeta, stawiając siebie w roli doradzającego mędrca, napisze nawet więcej: „kiedy cię poproszą / do domu wybielonego // wstępuj bez lęku / kłaniaj się na progu” (s. 34) – dopowiedzmy – czuj się jak u siebie w domu. Poeta w ten sposób oswaja pośmiertną przestrzeń, przekonuje, że nie różni się ona niczym od tej za życia. Z drugiej jednak strony grób na cmentarzu to dla człowieka więzienie, przerażająca „piwnica z betonu // by nie móc się wydostać”, „czelusć” (s. 31), przestrzeń ostatecznego zatracenia.

Myśli o śmierci i przemijaniu nawiedzają, niepokoją sny autora *Łazarza*. Podmiot mówi: „Musisz się zmierzyć [...] // z tamtym snem, / co jest już snem” (s. 6), i który „po wieki smaga” (s. 6). Nie przynosi on zwykłego obrazu onirycznego. Uderza i niepokoi śniącego,

który ma do czynienia raczej z koszmarem. Poeta jest niepokojony w nim przez dawne słowiańskie zmyry i demony: „zleciały się i szczyrzą / strzyga ze strzygoniem // a za nimi wartko / gnieciuchy i gniołki // biże i nocnice / spragnione mych lęków // uboża żyrownicy / już zza kąta ślepią” (s. 20). Wszystkie buszują w nocy, straszą, według wierzeń ludowych wyłaniają się z ciemnych zakątków domu: strychów i piwnic, aby tylko spędzić sen z powiek człowieka. Niektóre z nich to przerażające, pośmiertne formy egzystencji ludzkiej duszy. Chcą one – jak napisał obrazowo poeta – „sen kasać” (s. 20).

Ale w wierszach Kisiele są też sny przespiane. Do tych nie przychodzą już zmyry, lecz ludzie – bliscy i dalecy. Przybywają po poetę i oprowadzają go po (nie) znanych przestrzeniach, jakby chcieli zaprezentować mu zaświaty. Twórca zastanawia się: „Czego chcą w śnie / przespianym, // dlaczego mnie całują, / biorą pod rękę, // prowadzą w jakąś dal?” (s. 38). W tym marzeniu sennym Kisiel wyobraża sobie umieranie jako przejście na kraniec innego świata. Przestrzenią pośrednią pomiędzy życiem i śmiercią jest sfera oniryczna: „i oto kres podróży: // przechodzimy na drugą stronę / ja ze snu i ja z bagażem // przewieszonym przez ramię” (s. 45). Trwając w śnie, poeta balansuje na granicy bycia i nie-bycia, jest i nie-jest: „oto wróciłem / a jeszcze mnie nie ma” (s. 51). W przestrzeni snu podmiot autora *Wypominków* dostrzega także samego siebie. Początkowo temu widokowi nie dowierza. Kiedy przekonuje się, że nie jest on przewidzeniem zadaje pytanie: „dlaczego przeszył mnie lęk, gdy zobaczyłem siebie, // idącego przed siebie, / nie widzącego mnie?” (s. 36). Osoba mówiąca zwraca uwagę na czas, który nieprzejednanie biegnąc, odcisnął piętno na jej twarzy: „Nie taki byłem jak dawniej: [...] // już mi powieki opadły” (s. 36).

Kisiel w swoich wierszach zestawia przeszłość z teraźniejszością. W *Uniesie nas wiatr* umieścił obok siebie dwa utwory: *Nagłowice, koniec lata 1942* oraz *Pasterka (II)*. Można czytać je osobno (i tak powstawały), ale też razem – w kontekście Zagłady. W pierwszym z nich poeta przypomina o jędrzejowskim getcie, do którego zostali przesiedleni Żydzi z Nagłowic i okolicy. Autor *Czułości* próbuje wyobrazić sobie jak wyglądała droga prowadząca do miejsca ich „chwilowego zamieszkania” (s. 7). W drugim z wymienionych wierszy, Kisiel nawiązuje najpierw do umieszczonego w tomie *C'est la vie* liryku *Pasterka*. Wówczas: „zimne ognie lądowały / na gałęziach sosen // skrzyły się igły / zmrożone lodem // skrzyły się ognie / zamczone w gwiazdach // Bóg się rodził / jak co roku // ogień krzepnął / ciemniał blask”. W *Uniesie nas wiatr* obraz ten ulega zmianie. Teraz to już inna pasterka – po zagładzie tamtych ludzi i dawnego świata: „w tej wsi, gdzie już nic / nie jest tak, jak daw-

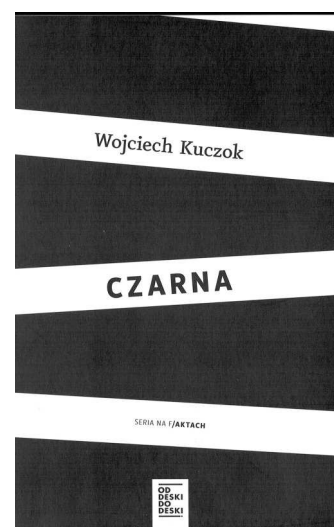
niej, // moc nie truchleje, / nie ciemnieje blask” (s. 10).

Poeta w najnowszym tomiku wskazuje na cel swojej poezji. Tworzące je znaki, wyrazy, zdania wylewają się same i układają w wiersze o umieraniu i przemijaniu: „słowa się mnożą / jedno rodzi drugie // jakby chciały powiedzieć / czego słuchać nie chcemy” (s. 17). Naprzykrzają się więc same, głosząc trudny temat śmierci, którego ludzie w swoich rozmowach woleliby uniknąć. Sam twórca dostrzega swoją misję jako poeta. W jednym z wierszy zwraca się jakby do siebie: „nie było ciebie: w planach tego świata, / historii gatunku, zamyśle Boga. // A jesteś – i głosisz śmierć / jak zmarłych wstanie” (s. 43). Autor *Kroniki nocy*, pisząc o przemijaniu, spełnia zatem swoją powinność. Ale też jest wyczulony na śmierć, dostrzegając ją w tym, co codzienne i powszechne: „pusta szuflada / kiedyś była pełna // a teraz pusta / wygląda jak trumna” (s. 29); „stara baba na grzechotce gra // jakby wybijała rytm / twych ostatnich kroków” (s. 21). Bywa także, że poeta zwraca się do samej śmierci, mając odwagę prosić ją o coś dla siebie: „gdzie to się stanie / i dlaczego wtedy // jeśli ma stać się / to niechaj się stanie // ale nie wtedy / kiedy zaczniesz pięknieć // kwiat kasztanowca” (s. 33). Ujmująca to prośba, wskazująca także na wrażliwość podmiotu na piękno przyrody.

Kisiel w swoich wierszach pamięta o bliskich zmarłych, którym dedykuje utwory. Swoje poetyckie wieńce, będące także elegiami czy epitafiami w *Uniesie nas wiatr* ofiarowuje Grażynie Wilk, Andrzejowi Adamkiewiczowi, Tadeuszowi Kijonce oraz Katarzynie Suchcickiej. To ludzie kultury i nauki, poeci i poetki. Chociaż liryki te zostały poświęcone konkretnym osobom (przez wskazanie w tytule wiersza daty ich śmierci), są uniwersalne. Złożono je ze słów, które mogą żegnać każdego zmarłego. Stanowią one troskę o dalsze istnienie tych, co odeszli. Pamięć o nich uspokaja twórcę. Wie on, że nieżyjący odwdzięczają się za nią: „przyjechałem, / postawiłem znicze, // moi zmarli obdarzyli mnie / płomiennym uśmiechem” (s. 24).

Marian Kisiel tworzy poezję pytań. „Czego będzie żal?” (s. 5), „czy mam dalej iść?” (s. 12), „co to było, kiedy, / kto to zapamiętał?” (s. 5), „szliśmy w tę stronę, / dlaczego nie w inną? // [...] jaki był w tym sens?” (s. 5), „co minęło?” (s. 15), „Te wiersze, to życie / ten czas ekstatyczny, / czy mnie zatrzymają / choć na jedną wódkę?” (s. 32) itd. Bywa także, że owe pytania nie są wyartykułowane znakiem zapytania, ale zostają zadane. Na część z nich poeta zna odpowiedź, nad innymi się zastanawia. To z jego przemyśleń, obserwacji świata, człowieka i samego siebie powstają wiersze.

Marian Kisiel: *Uniesie nas wiatr*. Katowice: Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” 2018, s. 64.



Kukiełkowy świat

KSIAŻKI

BARTŁOMIEJ BIELAS

Wojciech Kuczok w swojej powieści wydaje się wychodzić z podobnego założenia – dotyczącego uczuć – jak David Hume, osiemnastowieczny filozof brytyjski. Kiedy jednak autor *Traktatu o naturze ludzkiej* kategorii uczucia traktuje niezwykle szeroko, wliczając w nie ogół doświadczenia, to polski pisarz redukuje uczucie wyłącznie do freudowskiego popędu. Popędu, który w *Czarnej* został przedstawiony bez próby zagłębienia się w motywacje psychologiczne postaci. Przez takie podejście czytelnik otrzymuje świat naświetlony tylko od strony wszechobecnej zdrady i kompulsywnych zachowań seksualnych.

Czarna to historia o rozczarowaniu. W powieści zostało ono potraktowane powierzchownie. Zabrakło głębi i sprawy człowieka, tym bardziej że powieść stara się pretendować do czegoś więcej niż opis wydarzeń na Podlasiu. „Fabuła jest bardzo prosta, jak to wypadku moich książek” – tymi słowami autor w wywiadzie udzielonemu Pauli Szewczyk komentuje opowieść o miłosnym trójkącie. O historii autentycznej, która na przełomie stuleci rozegrała się we wsi w województwie podlaskim.

Opowieść budowana jest przez rozmowy i myśli postaci, momentami narracja staje się pierwszoosobowa. Komentarze narratora zewnętrznego ograniczone są do minimum, ujawnia się on jedynie w niewielkich partiach tekstu. Wymienione elementy kompozycji, pozwalają traktować powieść autora *Gnoju* bardziej jako przypowieść niż relację z dramatycznych wydarzeń. Gdyby wszystkie elementy utworu potrafiły z sobą skutecznie korrespondować, *Czarna* byłaby, jak napisała w „Nowych Książkach” Paulina Adamczyk, powieścią „bezsprzecznie obnażającą pewne prawdy życiowe”. Niestety, tak się nie stało, nowa powieść Kuczoka niczego nie obnaża, rozbiera jedynie bohaterów.

Z uniwersalności przeradza się w banał, którego zwięźceniem jest wierszowany spis śmiertelnych ran poniesionych przez Pawelka z rąk Marii, byłej kochanki jego ojca. Implikacja jest tu nadzwyczaj prosta: chorośliwa zazdrość spowodowała zemstę nie

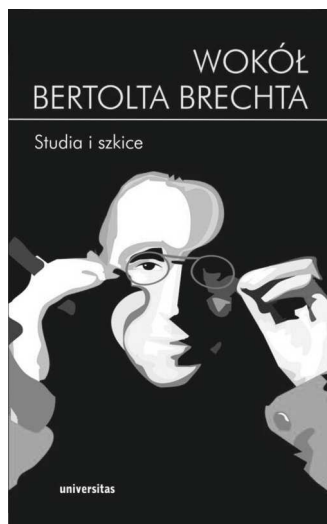
na indywidualnej osobie, lecz na archetypicznej męskości. Psychika Marii została okaleczona, zredukowana do trzech zgodnych ze sobą sił: seksualności, zazdrości i rozgoryczenia... I niczego więcej. Tym samym, świat wyłaniający się z jej monologów jest światem tylko tych trzech zasad.

Wojciech Kuczok nie obawia się drastycznej redukcji i wykorzystywania stereotypów, dlatego też matka Marii jest zaborcza i prymitywna; kochanek męski, bogaty i pewny siebie; jego rodzina naiwna; społeczeństwo głupie i egoistyczne; a wszystkich ich najbardziej interesuje, z kim aktualnie sypia Maria.

Tragedia na Podlasiu została przedstawiona przez autora *Proszę mnie nie budzić* bez najmniejszego wysiłku zrozumienia rozgrywających wydarzeń. W ramach refleksji, czytelnikowi zostają podsunięte komunały, nannażające się wraz z rozwojem fabuły. Do apogeum dochodzi w rozdziale *Wataha*, w którym dla utwierdzenia czytelnika w przekonaniu, że świat jest permanentnie zły, na przystanku autobusowym Maria kolejno dręczona jest przez: pijaków, obojętnych podróżnych, kontrolera biletów, znowu podróżnych, policjantów, Jeremiego, momentami dręczący też sama siebie. Nawarstwienie elementów o takim samym nacechowaniu emocjonalnym powoduje efekt odwrotny niż autor *Czarnej* zamierzał. Tragedia staje się farsą.

Czarna Wojciecha Kuczoka jest powieścią nierówną. Z jednej strony uniwersalna, z drugiej – infantylna. Autor stara się zarysować historię z różnych perspektyw, tym samym odnaleźć głębię psychiki człowieka, jego motywacje i ukryte pragnienia. W momencie, w którym ma się przed czytelnikiem odsonnić ogólna prawda, pojawia się jednak banał. Skutecznie zasłaniający możliwość spojrzenia w głębię, o której pisał Bruno Schultz w *Aneksji podświadomości*.

Wojciech Kuczok: *Czarna*. Wydawnictwo Od deski do deski. Warszawa 2017, s. 235.



Brecht raz jeszcze

KSIĄŻKI

ALEKSANDRA CHYLEWSKA-TÖLLE

Bertolt Brecht jest twórcą o wielu twarzach i postacią budzącą niemało kontrowersji. A jednak jego twórczość jeszcze i dzisiaj ma dużą siłę oddziaływania, co ukazuje wydany w sześćdziesiątą rocznicę śmierci artysty tom *Wokół Bertolta Brechta*. Książka składa się z trzech głównych części. Pierwsza jest poświęcona prezentacji paradygmatów interpretacyjnych. Ukazane one zostały w formie skonfrontowania polskiego i niemieckiego dyskursu na temat sprzeczności i pęknięć w obrębie konkretnych dzieł Brechta, punktów przecięć, nowych ujęć i optyk literaturoznawczych. Florian Vaßen posługuje się kategoriami „nowoczesności” i „ostrości”. Czyni to głównie w nawiązaniu do kategorii „inności”. Badacz zauważa, że podejście dramaturga do zagadnienia „obcości” zasługuje na szczególną uwagę ze względu na wykrystalizowanie się u niego tego doświadczenia jako „własnej wielości”, co implikuje zarazem podjęcie konstruktywnej postawy wobec odmienności. Günther Heeg przygląda się natomiast Brechtowskiej koncepcji gestu jako „medium transkulturowej mediacji”, próbując jednocześnie wyeksponować jego przyszłościowy potencjał, m.in. z perspektywy „obcej” kultury.

Do badań z kręgu *gender studies* nad twórczością Brechta nawiązują w tomie dwa artykuły. Przedmiotem rozważań Niny Matusik-Nowary jest dramat *Pan Puntilla i jego sluga Matti*. Autorka polemizuje tu w kilku kwestiach odnośnie zagadnień dotyczących płci z tekstem innej badaczki twórczości Brechta spod znaku *gender studies*, z Aną Kugli. Natomiast Grażyna Krupińska, analizując obrazy męskości w utworze *Baal*, koncentruje się na prezentacji w nich pewnych załamania i pęknięć. Utwór *Baal* jest również przedmiotem analizy Zbigniewa Feliszewskiego, który przygląda się „regułem bezgranicznego hedonizmu” w utworze celem wypracowania teorii konsumpcji u Brechta.

Wolfgang Beutin śledzi motyw Joanny d’Arc, analizując jej warianty w trzech sztuc-

kach teatralnych, w *Świętej Joannie szlachetuzów*, której akcja rozgrywa się w XX-wiecznym Chicago, następnie w *Wizjache Simony Marchard*, w której autor przenosi czytelnika do okupowanej przez reżim nazistowski Francji oraz w napisanej już po wojnie sztuce *Proces Joanny d’Arc w Rouen 1431*, powstałej według słuchowiska Anny Seghers dla *Berliner Ensemble*. Do dwóch innych dzieł Brechta – *Kola kredowego* i *Pieśni sztukopisa* – nawiązuje Gerd Koch, eksponując ich poszczególne warstwy i narracje celem ukazania stworzonego przez Brechta „nowego wzorca produktywnej sztuki kopiowania”.

Część druga tomu poświęcona jest ukazaniu dramatów Brechta w dialogu z innymi kulturami, pisarzami i językami. Zgromadzone tu szkice są warte uwagi m.in. z uwagi na przywołanie dotychczas mało znanych wątków biograficznych. Grażyna Barbara Szewczyk tropi szwedzkie inspiracje i wątki w twórczości założyciela *Berliner Ensemble*, przytaczając nie tylko ciekawe epizody z pobytu artysty na emigracji w Szwecji, ale również polemizując w kilku aspektach z amerykańską literaturoznawczynią Jennifer Watson odnośnie wczesnego projektu scenicznego Brechta, stanowiącego próbę adaptacji powieści Selmy Lagerlöf *Gösta Berling*. Francesca Vidal, przywołując korespondencję Brechta z Ernstem Blochem, analizuje znaczenie retoryki w pracach tego pierwszego, umożliwiając tym samym wgląd w jego proces twórczy. Do przywołanej już w części pierwszej tomu kategorii obości nawiązuje także tekst autorstwa Ewy-Marii Siegel na temat wewnętrznego związku pomiędzy poszczególnymi technikami scenicznymi u Brechta i Gerharta Hauptmanna.

Dla znawców twórczości Brechta zaskoczeniem będzie recepcja jego postaci i dzieła u Maxa Frischa. Barbara Pogonowska sięga do tekstów autobiograficznych szwajcarskiego pisarza i wydobywa z nich nawiązania do wspólnych spotkań, rozmów, wycieczek, do lektury jego tekstów i do na-

szkicowania jego obrazu jako uznanego artysty, ale i zwykłego człowieka. Podobnym kluczem interpretacyjnym posługują się trzy inne badaczki. Małgorzata Dubrowska analizuje powinowactwa literackie, czasu i losu między Brechtem a Anną Seghers, Heidi Beutin ukazuje recepcję osoby i twórczości Brechta przez Karla Krausa, głównego przedstawiciela „wiedeńskiej moderny”, natomiast tekst Olgi Niemczuk jest próbą spojrzenia na przyjaźń Brechta z innym austriackim pisarzem i reżyserem, Arnoltem Bronnenem. Austriackie tropy pojawiają się również w tekście Ewy Mazurkiewicz, która nie tylko wyjaśnia przyczyny bojkotu Brechta w Austrii. Dla wielu czytelników zaskoczeniem może być opisany przez badaczkę fakt przyznania pisarzowi w 1950 roku obywatelstwa właśnie tego kraju.

Analizując recepcję teatru Brechta przez serbołużycyckich twórców Monika Blidy przybliży czytelnikom sylwetkę Jurija Brëzana, jednego z najbardziej znanych przedstawicieli kultury łużyckiej. Autorka ukazuje, jak wielką rolę odegrała w jego dorobku scenicznym postać autora *Matki Courage*. Tekstem kluczowym dla Marty Jadwigi Bąkiewicz, dokumentującej historię scenicznych realizacji, stał się dramat *Dobry człowiek z Sezuanu*. Badaczkę interesuje przede wszystkim próba znalezienia odpowiedzi na pytanie o konsekwencje interpretacyjne wynikające z przekładu tekstu dramatycznego w spektakl teatralny. Wśród artykułów ukazujących różne formy recepcji twórczości Brechta nie mogło zabraknąć akcentu śląskiego. Renata Dampc-Jarosz analizuje wpływ niemieckiego dramaturga na twórczość publicystyczną Wilhelma Szewczyka, pisarza i animatora życia kulturalnego na Śląsku, jednego z niewielu odważnych, którzy w okresie stalinizmu przybliżali polskim czytelnikom literaturę niemiecką. Określał on Brechta mianem wielkiego humanisty i klasyka XX-wiecznego teatru, a jednocześnie potrafił w swoich przyczynkach dotyczących jego twórczości wznosić się ponad bariery ideologicznych dysput. Wątek obecności Brechta i jego dramatów w polskim kręgu kulturowym po 1945 roku przewija się również w artykule Michała Skopa. Analizuje on publikacje poświęcone Brechtowi autorstwa Andrzeja Wirtha, Aleksandra Rogalskiego, Romana Szydłowskiego oraz Doroty Tomczuk.

Trzecia część tomu poświęcona jest prezentacji przestrzeni intermedialnych, podkreślających rolę utworów Brechta w przestrzeni muzyki (Joachim Lucchesi), radia (Dorota Tomczuk) i filmu (Marek Kryś). Tom zamyka artykuł poświęcony korespondencji między Bertoldem Brechtem i Heleną Weigel. Erdmut Wizisla na przykładzie pięciu listów Brechta pokazuje, jak niezwykłą rolę w życiu i twórczości pełniła jego żona.

Tom próbuje wykonać w zamkniętym dziele niemieckiego dramaturga kilka odwierców głębinowych, ujawniających nie tylko oryginalność jego twórczości, lecz także konteksty kulturowe, z którymi się stykał. Ponowne odczytanie Brechta jest wyraziste. Mamy do czynienia z ważną publikacją, która powinna zaistnieć również w języku niemieckim.

Wokół Bertolta Brechta. Studia i szkice. Red. Grażyna Barbara Szewczyk, Zbigniew Feliszewski, Marta Jadwiga Bąkiewicz. Universitas, Kraków 2016, s. 354.



(Prze) moc popkultury

KSIAŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Podstawowym *novum* publikacji Marty Tomczok jest zniesienie linii demarkacyjnej między literaturą elitarną i popularną, a także zwrócenie przez badaczkę uwagi na okazałą liczbę tytułów, które pretendując do miana bestsellerów, pozwalają na prześledzenie zmian w obszarze współczesnych reprezentacji Zagłady oraz wiedzy aplikowanej czytelnikom o XX-wiecznych formach ludobójstwa za pośrednictwem gatunków ideologicznie podejrzanych (m.in. kryminału, sagi i romansu). Interdyscyplinarne i krytyczne podejście śląskiej literaturoznawczynie do narracji popularnych (dostępnych szerokiemu gronu odbiorców i zniekształcających obraz Zagłady za pomocą czterech narracyjnych manipulacji: elizji, zlekceważenia, nieprawdopodobieństwa i przesunięcia) lokuje się na antypodach metod aplikowanych przez Sławomira Buryłę, który ceni narracje elitarne i dostrzega wśród nich modelowe idiomy, godne naśladowania (przede wszystkim wskazuje na prozę Tadeusza Borowskiego i Leopolda Buczkowskiego). Jego surowa ocena ekspansywnej literatury popularnej wiąże się z przywiązaniem do dwóch kategorii opisu reprezentacji Szoa, które, zdaniem Tomczok, utraciły swój potencjał i wyczerpały możliwość strukturyzacji świadectw drugiego i trzeciego pokolenia: stosowności i kiczu. Ich miejsce zajmuje kategoria dosadności oraz strategię przekraczania granic i epatowania perwersyjnością.

Badacz, dostrzegając oddziaływanie literatury popularnej, zarzuca jej autorom nieumiejętność konstruowania miarodajnych sądów na temat holokaustowej rzeczywistości i lekceważenie potencjału doświadczenia ofiar Zagłady, które lokowało się w polu „szarej strefy” i niejednoznacznych etycznie wyborów.

Projekt Buryły, na który składają się *Tematy (nie) opisane* i zbiór *Wokół Zagłady. Szkice o literaturze Holokaustu*, zakłada więc szczegółową analizę życia Żydów

w okupacyjnej rzeczywistości i możliwość narratywizacji doświadczeń granicznych; w polu jego obserwacji pozostają postaci z tzw. trójkąta Hilberga (sprawcy-ofiary-świadkowie), których losy przecinają się i wzajemnie warunkują, natomiast Tomczok podejrzliwie przygląda się, poprzez mikrologiczną analizę figur retorycznych, motywacjom autorów i wiodącym ideologiom, wśród których prym wiodą koncyliacja, rozgrzeszenie i unieważnienie problemu odpowiedzialności Polaków za pogromy antyżydowskie w Jedwabnem, Szczuczynie, Radziłowie i Wąsosz. Polska proza popularna dotycząca Zagłady okazuje się więc, z perspektywy podejrzliwego czytelnika, zbieżna z polityką historyczną ukierunkowaną na podkreślanie polskiej martyrologii. Powiela także sieć stereotypów oraz klisz myślowych na temat Zagłady.

Jedną z głównych tez badaczki wiąże się z włączeniem Zagłady do repertuaru istniejących kostiumów, które nakładane na wiele współczesnych problemów, szczególnie w obszarze relacji damsko-męskich, jakie oferuje romans i zmanipulowanego wizerunku esesmanów, ujawniają fetyszizm i odsuwają na dalszy plan ludobójstwo. Głównym celem popularnych narracji o Zagładzie jest, w zależności od uzgodnienia priorytetowych dla czytelnika kwestii w porozumieniu z wydawcą i działem marketingu, chęć zwiedzenia jednego z wirtualnych miast lub przeżycia „męskiej przygody”. Ich wartość historyczna okazuje się, w konfrontacji z rzetelnymi opracowaniami naukowymi, nikła, jednak siła rażenia i możliwość kreowania „dobrej pamięci” oraz postaw heroicznych i sprawiedliwych, świadczą o jej ukrytych intencjach, mających sprawować nad czytelnikami władzę. Właśnie ten aspekt ideologicznego zakazania, przy jednoczesnym łagodzeniu jędrzących się ran przez powieść popularną interesuje badaczkę najbardziej.

Kwestią najważniejszą, bo związaną z projektem historii ratowniczej Ewy Do-

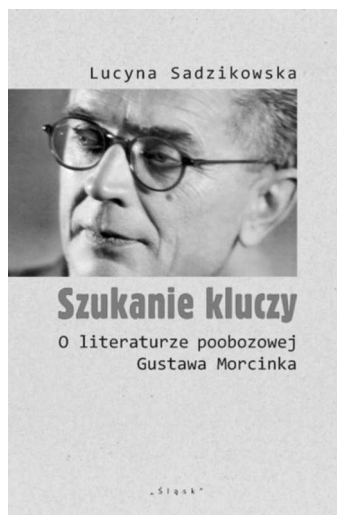
mańskiej, akcentującej lokalny charakter badań statusu pohołokaustowych przestrzeni i oddolną sieć inicjatyw społecznych, jest usytuowanie na tle historyczno-społecznym getta Warszawy, Łodzi i Krakowa obszaru zamkniętego zlokalizowanego w granicach będzinińskiej dzielnicy Warpie-Kamionka i sosnowieckiej Środuli oraz przegląd prozy autorów zaangażowanych w jego deskrypcję i upamiętnienie w formie literackiej (m.in. za sprawą *Pamiętnika* Rutki Laskier i *Spotkań klasowych* Eugenii Praver-Pinski) i ikonicznej (m.in. *Mausa* Arta Spiegelmana). Getto będzinińsko-sosnowieckie posiada, podobnie jak warszawski Muranów, status przestrzeni widmowej i ten aspekt, wraz ze znikomą obecnością gettowej biedoty, uwidaczniany jest najbardziej w przywoływanych publikacjach.

Rejestr powieści poświadczających warunki bytowe wraz z narracjami melancholijnymi i ściśle faktograficznymi stanowi konglomerat swoiście pojętego archiwum, w skład którego wchodzi opowieści spoza kanonu i reprezentujące różne punkty widzenia autorów biograficznie związanych z gettem sytuującym się na obrzeżach głównonurtowych badań memorialnych. Proces deszyfracji sytuacji ekonomicznej jego mieszkańców i momentów granicznych (jednym z nich był 1 sierpnia 1943 roku, kiedy w wyniku wielkiej akcji likwidacyjnej deportowano 40-50 tysięcy osób) przypomina głębinową strukturę miejsc, w których straszy. Ich status, podatny na hauntologiczne interpretacje, ze względu na przechodność, która wynika z nowego sposobu zagospodarowania przestrzeni getta i przetworzenia krajobrazu oraz zerwania przesł pamięci o eksterminacji Żydów, staje się dla Tomczok pre-tekstem do prześledzenia rozwoju horroru jako gatunku mocującego dyskurs memorialny w nowych e (ste) tycznych ramach. Ostatnia część książki dotyczy narracji pojedwabieńskich i roli obrazów przemocy/masakry, które z jednej strony sankcjonują zasadę „nigdy więcej”, z drugiej zaś, podkreślają, jak wielką siłę objawiają zmarli wobec żywych.

Wydzielona w podtytule triada stanowi trzon kolejnych odsłon „zakazanej reprezentacji”, których potencjał retoryczny pozwala na demaskację nieuzasadnionej pornograficznej obsceny (*casus* Piwowarskiego) lub na uchwycenie w procesie transformacji świadectw postświadczków brakującego ognia prozy ostatnich dziesięcioleci, którym są *Wschód* Andrzeja Stasiuka i *Śpiewaj ogrody* Pawła Huellego, bazujące na ironicznym typie wypowiedzi. Figurami o silnym potencjale ekspansywnym we współczesnej prozie są również metafora i prozopopeja.

Pytanie postawione w nagłosowej części tytułu pozwala Tomczok dostrzec dwie niebezpieczne siły: filosemityzm i antysemityzm, które w równej mierze formatują myślenie o Zagładzie w uproszczonych kategoriach i akcentują kluczowe dominanty narracji: konsolację i „demonia pojednania”.

Marta Tomczok: Czyja dzisiaj jest Zagłada? Retoryka – ideologia – popkultura. Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2017, s. 360.



Obozowe doświadczenie Morcinka

KSIAŻKI

EWA BARTOS

Szukanie kluczy. O literaturze poobozowej Gustawa Morcinka Lucyny Sadzikowskiej to książka ciekawa i odważna. Autorka zajmuje się w niej twórczością poobozową autora *Lyska z pokładu Idy*, umiejętnie weryfikuje i rozbija wypracowane przez szkolne interpretacje obraz Morcinka jako pisarza postrzeganego tylko poprzez jego związek ze Śląskiem. Wyjątkowość książki nie polega jednak na podjęciu mało eksploatowanego przez literaturoznawców tematu. Sadzikowska badając twórczość Morcinka przyjęła odważną, bo osobistą perspektywę lektury. „Okoliczności życiowe skłoniły mnie do intensywnego kontaktu z literaturą Morcinka. Przekonałam się, że jego dorobek może być interesujący, a przede wszystkim – bardzo bogaty. Zapragnęłam więc odrobinę zaległości w lekturze. Przeczytałam książki, które mną wstrząsnęły i okazały się poruszające. Postanowiłam przyjrzeć się bliżej, jednak nie całemu pisarstwu Morcinka, ale jedynie jego części, w znacznej mierze ograniczonej perspektywą poobozową”. Gustaw Morcinek jest dla autorki postacią, której pisarstwo porusza do głębi, wstrząsa i niepokoi – ślady emocjonalnego związku autorki z omawianym tematem są obecne w całej książce.

Badaczka dzieli się z czytelnikiem swoją fascynacją Morcinkiem, który od 6 października 1939 do 29 kwietnia 1945 roku przebywał „kolejno: w więzieniu w Cieszynie, [...] obozie w Sachsenhausen-Oranienburg koło Berlina [...], Dachau, pierwszym hitlerowskim obozie koncentracyjnym”. Pobyt pisarza w obozach zaowocował bogatą twórczością artystyczną. Kolejne utwory wydawane tuż po wojnie czy wiele lat po niej były dla pisarza sposobem na otrząśnięcie się z traumy, swoistą autoterapią. Stanowiły także świadectwo o ludziach i czasach Zagłady.

Autorkę szczególnie interesuje Morcinek-pisarz, powracający w swoich utworach i wciąż na nowo przepracowujący w słowie przeżyta gehennę. Sadzikowska analizuje *Zagubione klucze*, *Dwie korony*. *Rzecz o Maksymilianie Marii Kolbem*, *Judasza z Monte Sicuro*, *Siedem zegarków kopidola Joachima Rybki* i opowiadania zawarte w zbiorze *Dziewczyna z Champis-Élysées*, skupiając się na sposobie, w jaki autor daje świadectwo trudnego czasu pobytu w obozach. Interpretatorkę interesuje również sposób, w jaki to się dokonuje w języku, jak i etyczna strona pisarstwa Gustawa Morcinka. Sadzikowska napisała: „Dramat człowieka okaleczonego doświadczeniem wojennym uwydatnia się także w dramacie człowieka okaleczonego w języku. [...] Pisarz, pochłonięty przez imperatyw tworzenia, skazany na operowanie zbanalizowanym i pustym słowem, rozpoczyna walkę o jego wyrazistość [...] Niczyść formy wynika z nieustannie przywoływanych i na nowo odkrywanych wydarzeń wojennych, źródłowych dla tej prozy. Gustaw Morcinek stwarza swojego rodzaju program literacki, podkreślający istotę pisania etycznego po traumie drugiej wojny światowej”.

Badaczka śledzi w jaki sposób autor *Kota z Biviers* zmagają się z własną pamięcią i z doświadczenia granicznego wyprowadza program pisarstwa etycznego, ukazującego człowieka w ciągłej walce dobra ze złem. W pisarstwie Morcinka, zdaniem literaturoznawczyni, wartości takie, jak: człowieczeństwo, dobroć, pomoc bliźniemu urastają do rangi najważniejszych. Morcinek „próbował upowszechnić pewien wzorzec osobowości, w którym przegrywa zło i cierpienie, gdyż człowieka wierzącego w dobro, miłość nigdy nie można pokonać, nawet gdy umiera [...]” – pisze Sadzikowska. Program pisarstwa poobozowego Mor-

cinka łączy monografistka z rozważaniami na temat teologicznych korzeni programu etycznego autora. Elementy franciszkańskie, poszukiwanie *sacrum* przez kolejnych bohaterów powieści i opowiadań, a także sposób, w jaki autor zapisuje doświadczenie człowieka z Bogiem, to wartości ważne dla autora *Dwóch koron*. Są to wartości ważne także dla autorki monografii. Zbieżność ta mogłaby zaburzyć naukowy wywód, istniało niebezpieczeństwo, że fascynacja przeszkodzi w obiektywnym osądzie twórczości pisarza. Monografistka jednak nie ulega wpływom, spogląda na twórczość Morcinka nie ukrywając, że etyka jaką proponował pisarz, jest także jej własną, ale nie wpływa to na merytoryczny osąd prozy. Jeśli autorka analizuje słabsze utwory, to bez ogródek to zaznacza.

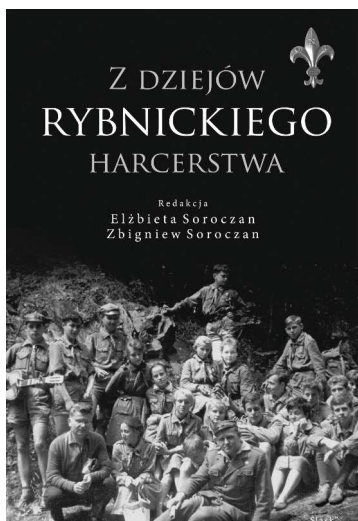
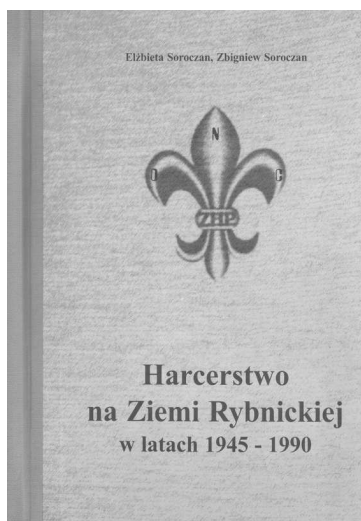
Inaczej wygląda ocena Morcinka-człowieka, którego autorka opisuje, czytając *Listy spod morwy* oraz *Listy z mojego Rzymu*. To najciekawsza część książki. Autorka nie tylko wyprowadza z korespondencji ważne dla programu autora fakty, ale śledzi bogatą literaturę i wspomnienia współwięźniów. Przywołując ustalenia historyczne, poszukując w archiwach informacji o opisywanych w listach postaciach, tworzy obraz życia obozowego. We wspomnieniach współwięźniów Morcinek jest człowiekiem, który założenia etyczne realizował w ciężkich warunkach obozowych. Pisząc o tym, Sadzikowska skraca dystans wobec człowieka, sprawdzając i weryfikując daty, poszukując kolejnych źródeł oddaje hołd człowiekowi potrafiącemu zachować się godnie w czasie upodlenia. Opisuje także sposoby radzenia sobie ludzi w obozie z traumą, w jakiej przyszło im żyć. Rantunkiem staje się książka i literatura przemycana do obozu, jak i ta tworzona w nim.

Warto zaznaczyć, że autorka dokonała solidnych badań historycznoliterackich. Rzetelne podejście do tematu widoczne jest także w staranności, z jaką Sadzikowska odnotowuje i przywołuje innych badaczy zajmujących się twórczością pisarza. Nie sili się przy tym na modną w dzisiejszym literaturoznawstwie oryginalność, która często jest mylona z lekceważeniem ustaleń starszych badaczy, pomijaniem ich i odkrywaniem na nowo łądów już raz zdobytych.

Badaczka przyglądając się ciągle powracającym motywom w twórczości pisarza, sama często powraca do już wcześniej poruszanych wątków. Nie jest to jednak uchybienie monografii. Dzieje się tak dlatego, że książka została pomyślana jako zbiór tematów, z których czytelnik może wybrać autonomiczne całości i bez konieczności znajomości innych zaznajomić się z najważniejszymi elementami prozy poobozowej pisarza.

Morcinek-pisarz i Morcinek-człowiek w książce Lucyny Sadzikowskiej jest twórcą ważnego programu etycznego. Ustalenia na temat życia pisarza pozwalają badaczce sprawdzić, kto był inspiracją do stworzenia poszczególnych postaci, przewijających się przez prozę Morcinka. Wobec tego życiopisania trudno pozostać obojętnym. Nie tylko autorce, a także czytelnikowi.

Lucyna Sadzikowska: Szukanie kluczy. O literaturze poobozowej Gustawa Morcinka. Śląsk, Katowice 2018, s. 288.



Ojczyzna, nauka, cnota...

KSIAŻKI

TADEUSZ SIERNY

Cykl książek tworzących swoistą trylogię Harcerską opracowany przez Elżbietę i Zbigniewa Soroczanów jest dziełem imponującym. Dwoje autorów i redaktorów zainicjowało w 2010 roku edycję publikacji książki pod tytułem *Harcerstwo na Ziemi Rybnickiej w latach 1945 – 1990*. W tomie zebrali podstawową dokumentację dotyczącą m.in. składu personalnego władz Komendy Hufca i jego Komisji, zintegrowali informacje o organizowanych w latach 1945–1990 obozach, koloniach zachowawczych, Harcerskiej Akcji Letniej, obozach organizowanych przez siedem samodzielnych środowisk harcerskich, ale przede wszystkim odnotowali nazwiska organizatorów owych przedsięwzięć: komendantów, obożnych obozów, zimowisk, kolonii zachowawczych. Niezwykle ważnym dokumentem jest kalendarium ważniejszych wydarzeń z lat 1945–1990 (pierwszy zapis z 1 maja 1945 roku) oraz spis drużyn, szczepli i środowisk z tych lat.

W roku 2013 wydany został kolejny tom zatytułowany „*Z dziejów rybnickiego harcerstwa*”. Otwiera go artykuł o bohaterkim patronie Hufca Rybnik harcemistrzu Józefie Pukowcu, zgilotynowanym przez Niemców w Katowicach 14 sierpnia 1942 roku. Tom sięga do samych początków harcerstwa na Ziemi Rybnickiej, opisuje jego inicjację od lat dwudziestych minionego wieku (pierwszy zapis: 1 kwietnia 1920 rok), odnotowuje zorganizowane w tych czasach obozy, zloty, zimowiska oraz szkolenia kadry instruktorskiej. Najcenniejszą zawartością tej publikacji są bogate *Słowniki biograficzne* zawierające w układzie alfabetycznym kompletny spis nazwisk oraz krótkie charakterystyki wszystkich instruktorów hufca z lat 1920–2012 z podziałem wg stopni: harcemistrza i harcemistrzyni, podharcemistrza i podharcemistrzyni, przewodników i organizatorów oraz członków Kręgu Instruktora Seniora.

W 2018 roku – ogłoszonym przez Senat RP – *Rokiem Harcerstwa* oboje redaktorzy wydali kolejny wyjątkowy tom pod tytułem:

„*Z dziejów rybnickiego harcerstwa*” sygnowany jednak cyfrą 2.

Ta książka to zapis wspomnień, opisów doświadczeń w pracy wychowawczej, przygód ponad 120 instruktorów harcerskich z Ziemi Rybnickiej. Redaktorzy powtórzyli zabieg z poprzednio opublikowanej książki, przywołali pamięć wszystkich wymienionych w niej instruktorów i zamieścili teksty tych spośród ich grona, którzy zechcieli i zdążyli dostarczyć im swe materiały. Do relacji i biogramów dołączono przebogaty zbiór dokumentów fotograficznych wmontowanych do każdego tomu.

Dzięki godnej szacunku konsekwencji w zbieraniu materiałów, rzetelnej weryfikacji pozyskanych informacji, uporczywym zwalczaniu przeciwności technicznych i finansowych, wyjątkowej wytrwałości w dążeniu do zrealizowania zamierzonego celu przez Elżbietę i Zbigniewa Soroczanów, oraz gotowości do współpracy z redaktorami tomów przedstawiciele kilku pokoleń rybnickich harcerki i harcerzy, udało się odtworzyć i spersonalizować historię: gromad, zastępów, drużyn, szczepli i hufca rybnickich harcerzy przez prawie 100 minionych lat. Szczególną wartością tych książek jest upamiętnienie, ocalenie od zapomnienia nazwisk druzhen i druhów, którzy swoją działalnością, pracą wychowawczą, tworzyli tę ponad 12-tysięczną rzeszę młodzieży.

Dodatkową zaletą tej pracy jest nieobecność w niej polityki i zakamuflowanych form ideologizowania ruchu harcerskiego oraz taniej pedagogiki. Autorom wspomnień udało się także szczęśliwie uniknąć infantylności opisu form pracy harcerskiej, tak często przypisywanych harcerstwu.

Harcerstwo nigdy nie dawało przepustki do kariery, w tym związku było się dla przyjaciół i spodziewanych przygód oraz wartości zdefiniowanych w przyrzeczeniu i prawie harcerskim. Sprowokowanie pasma letnich i zimowych przygód wymagało konsekwentnej, bezinteresownej całorocznej pracy, by podczas wakacji móc: wyje-

chać na obóz, pójść na wędrowkę, zorganizować rejs po morzu, zainicjować lokalne spływy w ramach np. *Akcji Małych Akwenów i Rzek (AMAR)*, albo prowadzić interesujące zajęcia w formie *Nieobozowej Akcji Letniej (NAL)*: w miastach dla dzieci, które nie wyjechały na wakacje), zorganizować bardzo trudne i odpowiedzialne kolonie w ramach tzw. *Nieprzetartego Szlaku*, czyli dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej, a także tej z rodzin nieudolnych wychowawczo lub wreszcie trudne sprawdziany sprawnościowe dla drużyn specjalnościowych (np. Czerwonych Beretów, Medycznych, Strażackich, MSR i in). Harcerstwo uczyło przede wszystkim odpowiedzialności za słowa i czyny, kształtowało umiejętność przewidywania rezultatów swego działania lub...skutków jego zaniechania, doskonaliło talenty organizacyjne i zdolność do zwyczajnej empatii dla koleżanki lub kolegi. Najważniejszą wartością była rodząca się w zastępach, drużynach, szczeplach więź i przyjaźń, czasem przegradzająca się w niewinną sympatię, młodzieńcze zauroczenie albo – dozgonną miłość wielu harcerskich małżeństw i... nie tylko małżeństw.

Z drużyn lub zastępów odchodzono z różnych powodów: zmiany miejsca zamieszkania lub zainteresowań, wyjazdu na studia, założenia rodziny lub – co często bywa nieuchronne – zasadniczych różnic osobowości i dojrzewających charakterów, odmiennego sposobu postrzegania mickiewiczowskiej triady: *ojczyzny, nauki i cnoty* (lity ONC na ramionach lilijki), czy innego rozumienia treści i zasad harcerskiej metody wychowawczej. Te spory dzieliły harcerskie kręgi przyjaciół, także i wówczas gdy jeszcze byli razem przy tym samym ognisku, na wspólnym obozie, zimowisku, biwaku, rejsie.

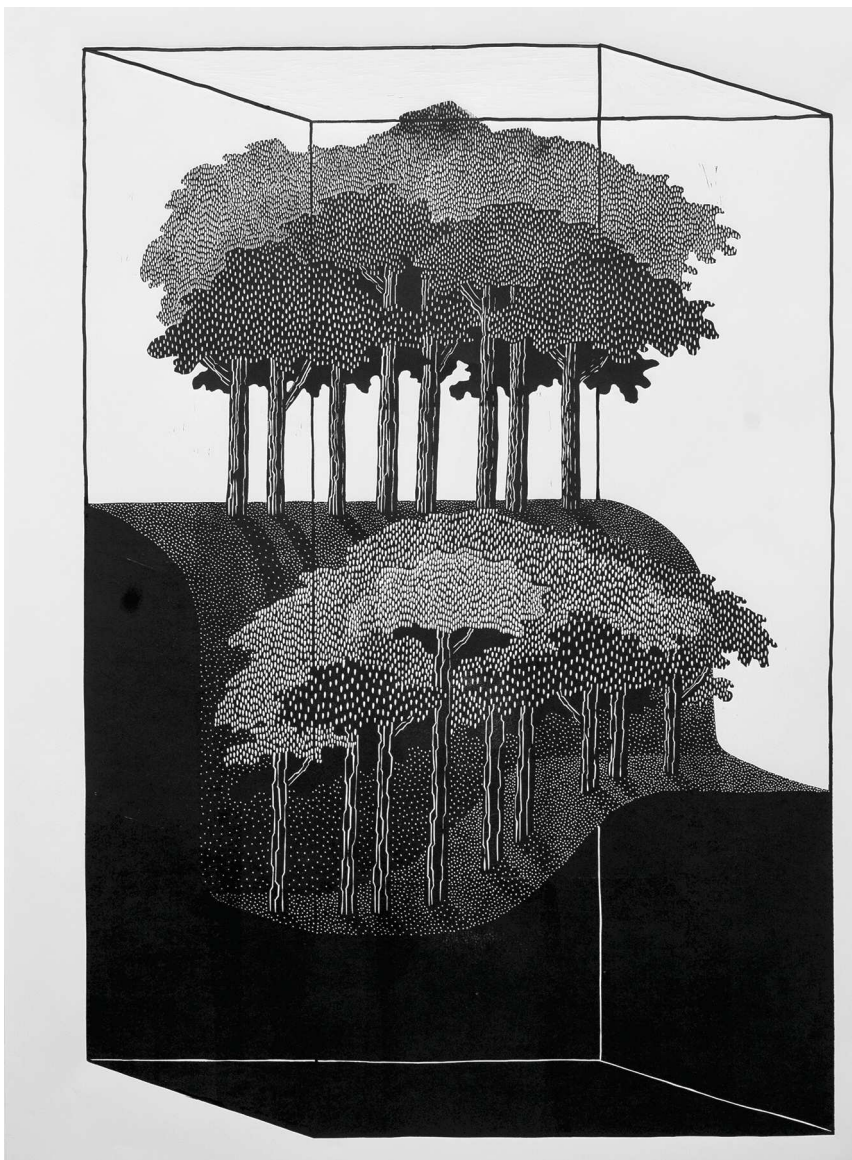
Męskie, żeńskie przyjaźnie nawet jeśli na skutek różnych okoliczności nie przetrwały próby czasu pozostaną w ich pamięci, wzbogacając osobowość i wiedzę tych, którzy doświadczyli życzliwości, sympatii, pomocy przyjaciół wówczas gdy bardzo tego potrzebowali. To nie tylko nostalgia za młodzieńczymi latami ale dojrzała wiedza o sensie, wartości i znaczeniu wspólnego bezinteresownego działania dla innych – czyny owe wspomnienia tak ważne w życiu wielu byłych oraz współczesnych (mam nadzieję?) harcerzy i instruktorów.

Tę prawdę można znaleźć w tekstach wspomnień zawartych w tej ważnej – nie tylko dla harcerzy, ale także i dla rodziców, wychowawców, pedagogów, działaczy młodzieżowych – księdze.

Wszystkie trzy tomy tworzą pomnikową, wzajemnie uzupełniającą się całość. Ukazały się pod patronatem *Kręgu Stowarzyszenia Ruchu Harcerskiego „Czuwaj”* składającego się z byłych instruktorów ZHP Hufca Ziemi Rybnickiej.

Książka nie zawiera i nie mogłaby pomieścić zapewne wszystkich godnych odnotowania informacji i wspomnień – ale, nie musi być przecież ostatnią publikacją upamiętniającą działalność harcerzy Ziemi Rybnickiej.

Elżbieta Soroczan, Zbigniew Soroczan (red.): *Z dziejów rybnickiego harcerstwa. 2. Katowice 2018. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”. s. 418.*



Magdalena Starzyńska, *Kapsuły 2*, linoryt. Promotor prof. Joanna Piech-Kalarus



Katarzyna Pietraszak-Dawid, *Autoprtret*, rzeźba. Promotor prof. Andrzej Szarek

Instytut Sztuki – Cieszyn

Instytut Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach Wydział Artystyczny powstał na bazie otwartego w 1973 roku kierunku wychowania plastycznego. Zaczęło się od powołanego Zakładu, wkrótce przekształconego w ramach Wydziału w Instytut Wychowania Muzycznego i Plastycznego, z którego w 1981 wyłoniła się Katedra Wychowania Plastycznego. Następne zmiany wiązały się z powstaniem najpierw Instytutu Wychowania Plastycznego, potem Kształcenia Plastycznego, ostatecznie, od 1997 roku, Instytutu Sztuki. Obecną strukturę Instytutu kształtowały trwające lat wysiłki organizacyjne i programowe, a ich zwieńczeniem było powołanie Katedr, obecnie Zakładów: Malarstwa, Grafiki, Rysunku, Rzeźby, Projektowania Graficznego, Nowych Mediów, Teorii Sztuki i Fotografii Artystycznej – oraz uzyskanie praw do nadawania doktoratów i habilitacji z zakresu sztuki. Dziś Instytut kształci na czterech kierunkach artystycznych, na Grafice, Edukacji Artystycznej w zakresie Sztuk Plastycznych, na Malarstwie i projektach interdyscyplinarnych i na Projektowaniu gier i przestrzeni wirtualnej. Uruchomienie kierunku studiów Grafika umożliwiło uzyskanie przez Instytut Sztuki i Wydział Artystyczny uprawnień do przeprowadzania przewodów artystycznych I i II stopnia z grafiki, od stycznia 2003 roku doktoratów i habilitacji sztuki.

Ambicją Instytutu jest kształcenie zakładające bezpośrednią integrację artystycznej aktywności i odpowiedzialności w powiązaniu z nieodzowną dziś intelektualną, ogólnohumanistyczną wrażliwością i refleksją. Ponadto, oprócz kształcenia, misją Instytutu Sztuki wydaje się nieodmierne zaświadczenie o potrzebie obecności sztuki we współczesnej kulturze, poszerzającej perspektywę naszego rozumienia siebie i świata.

Instytut Sztuki, położony w urokliwym pejzażu Cieszyna – miejsca pogranicza, styku kulturowego – stał się synonimem ośrodka uniwersyteckiego, w którym obecna jest sztuka. To tutaj młodzi ludzie poznają jej tajniki i uczą się wchodzić w życie. Tutaj edukują się, by edukować innych. Nikogo nie dziwi widok sztalug i malujących na Rynku studentów, nikogo nie dziwią akcje i happeningi; do Cieszyna zjeżdżają goście z całej Polski – z ciekawości i z obowiązku, przyjeżdżają do Galerii Uniwersyteckiej, z wykładem i na wykład, by pokazać coś interesującego i obejrzeć interesującą wystawę. Miasto – jak każdy twór cywilizacyjny – potrzebuje kultury, ruchu i energii. Cieszyn je posiada m.in. dzięki obecności Instytutu Sztuki Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego.

ROMAN MACIUSZKIEWICZ



MAREK PIECHOTA

Ze starych i nowych przykazyjek

NA DOKTORAT *HONORIS CAUSA* PANA TADEUSZA RÓŻEWICZA

„Dzieckiem w kolebce” wywróżył mi pewien wróż,
Że będę wręczał Różewiczowi bukiet róż;
Powiedziałem sobie: Cóż,
Choć na ramieniu dusza –
Sława Pana Tadeusza
Dotarła i do nas... już.
Wyznaję to z pewnym bolem,
Że dopiero po Wrocławiu,
Aliści i z radością, że jednak przed Opolem¹.

NA DOKTORAT *HONORIS CAUSA* PANA SŁAWOMIRA MROŻKA

Niektórzy wolą nie kaszę, a ryż...
Jan Kochanowski z Padwy przez Paryż
Wracał (ja nigdy tak nie jadę),
By ujrzeć – może niecałą – Plejadę
(To taka szesnastowieczna awangarda).
Mógł później napisać: „Widziałem Ronsarda!”.
Właśnie kończyły się u nas wieki midi,
Więc pisał po łacinie: „*Ronsardum vidi!*”.

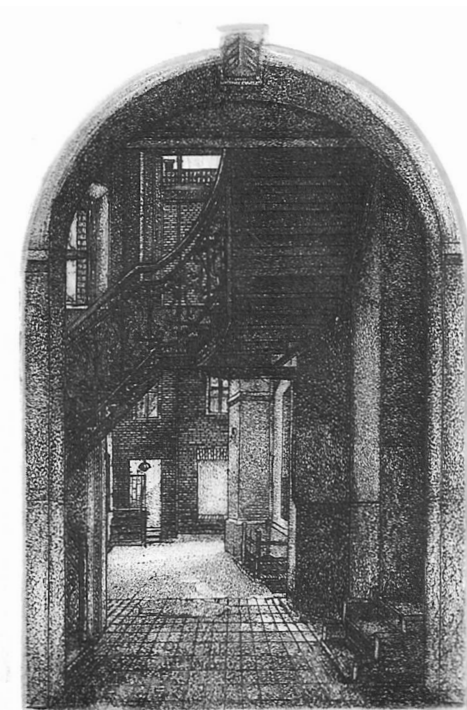
Tempora mutantur... Nie sądziecie, że to wic,
Udało nam się zwabić do Katowic
Sławomira Mrożka w pełni chwały,
By Go nagrodzić za dorobek (cały!).
Rzecz to powszechnie wiadoma –
„Po szerokim świecie znanyś... (...),
Ego dabo hoc diploma...” –
Rzekł Rektor Wiesław Banyś.

Warto oddawać się humanistycznym naukom –
Odtąd miejscowy filolog i filolożka
Mogą opowiadać dzieciom i wnukom:
„Widziałem Mrożka!”².

PARADOKSY NICOŚCI

Możesz sobie dworować z tego, ile wlezie,
Lecz jest w tym jakaś tajemniczość,
Że „coś” nanizane na „nic”
W syntezie
Daje „nicość”.

Są w tym paradoksie gracia i racja,
Więc nic mnie nie przekona
O tym, że cała cywilizacja
Nie może zawisnąć „na pasie Orionu”³.



Rys. *Weronika Siupka*

skrajowa 'Meriodka' 1/50 N.Simpko 2010v

¹ Improwizacja wygłoszona w Sali Kolumnowej Gmachu Sejmu Śląskiego podczas uroczystości wręczenia tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego wybitnemu naszemu poecie, dramaturgowi i prozaikowi w Katowicach, 22 stycznia 1999 r. Kwiaty wręczałem wraz z młodzieńką prof. Danutą Opacką-Walasek, wówczas tuż po jej doktoracie.

² Tekst nieimprowizowany i niewygodzony z okazji wręczenia tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego wybitnemu naszemu dramaturgowi, prozaikowi i satyrykowi w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, 23 marca 2012 r.

³ W filmie *Faceci w czerni (Men in Black)* Barry'ego Sonnenfelda z roku 1997 tytułowi bohaterowie próbują ocalić mieszkańców „galaktyki na pasie Orionu”. Asteryzm Pas Orionu tworzą trzy jasne gwiazdy Alnitak, Alnilam i Mintaka, ale w filmie okazuje się, że Orion to imię... kotka, rzeczona zaś cała galaktyka to śliczny „koralik” na jego obróżce. Nazwy tych gwiazd, podobnie jak większości na naszym niebie, pochodzą z arabskiego, *al-nizām* – to „sznur pereł”.

Sequitur Tertius Cro-
mæ polonorum

Res tribus exansis theatricales oderunt solemnita-
tes. Primi nomen Codrus. Secundi Altiadiades. Tercij
Dyogenes. Codrus quia paup. et panosus huius. Sed
quia spe p̄ insignis. Tercius quia r̄ mox venustate
conspiciens et animi ead̄ ḡuitate fecundus. Primum
ne ridiculaz p̄se pauperiem om̄ exponet ridiculo
Secundus ne fastidij excipet i se piculu. Tercius ne
castissimaz prudentie maiestatem scurrili p̄stituet
incestui. Maluit em̄ Codrus alioz sibi subtrahere
spectacula. quaz dese alijs despiciabile p̄bere specta-
culu. quia nullu est int̄ purpuras r̄ panositates
sodalici fedus. Elegit et Altiadiades. potius domi
dehescere inglorius. quaz forme dispendio deforma-
gloriar. quia nichil taz ualit est conspicu. quod lipi-
entis oculus no fastinaret inuidia. Rursus censuit
Dyogenes vulgi consortia dedignari per prudentiaz
quia satius est solitudine venerari quaz familiari-
tate q̄tempri. Et huiusmodi pagelle rudis maties
ieiuna ruditas ab altibiadis est. curiositate secura
Supsticosus em̄ est fastidij timor. n̄ h̄t despectus
quid de forme existimacione p̄dat. Sed n̄ dyogenis
nob licet. Ima urget sententia quibus n̄ stillantis gu-
tulam graciole prudentia indulgit. Codri dup̄taxat
Codri territaū imagine. In pub̄t assidenciu ex-
posita insidij nra temitas nec ead̄ panosum
quo pudori consulēt hebeat amicu.

Declaratio Tertius

Iste liber cum subij e gesta Illustriu p̄ncipu ac Regi polo-
nie p̄ncipali sui diuisione diuidit̄ i duas p̄tes sc̄z i p̄logu
sen p̄hemiu et p̄tem executinaz que incipit ibi. ffuit
quod i hac re pub̄ta p̄logus sen p̄hem̄ i tres p̄tes p̄-
cipales diuidit̄. sc̄z q̄ p̄hemiu mix̄ p̄hem̄ i sua poetria
etia debz face. debz em̄ redde auditores doctes benigno-
los et attentos. Primo igit̄ iutoz i suo p̄logo reddit

z Bibliothekę Jerzego hr. p̄worskiego

Gdyby jakiś ambitny historyk kultury – również literackiej – próbował stworzyć katalog tekstów dziwnych, budzących kontrowersje; przez jednych deifikowanych, przez drugich zaciekle zwalczanych; tak poprzez pojedynczych uczonych, grupy pasjonatów przeszłości lub całe ich pokolenia, to z pewnością czołowe – jeśli nie pierwsze – miejsce zajmie *Chronica Polonorum* mistrza Wincentego, zwanego Kadłubkiem. I to nie tyle ze względu na jej walory literackie lub ich brak (te sytuują ją bowiem wśród podobnych, współczesnych dokonań artystycznych ówczesnej Europy bardzo wysoko), ile na funkcje społeczno-polityczne, jakie spełniała na przestrzeni dziejów. Szczególnie niektóre jej fragmenty, te początkowe, inicjalne, przejmowane, powtarzane, interpretowane, nadinterpretowane, przekształcane, dopełniane czy wręcz przeciwnie – redukowane i upraszczane, stawały się nie tylko kanonem wiedzy historycznej, ale też współtworzyły przez wieki wielką, narodową mitologię sarmacką, zwłaszcza mit początku narodu, a wraz z nim niby-rekonstrukcję losów rodów szlacheckich i wciąż na nowo przetwarzanych genealogii zawartych w herbarzach albo antygenealogii, by jedynie przywołać *Liber chamorum* Waleriana Nekandy Treпки i jego następców.

Co sprawiło, iż właśnie *Kronika Polaków* stała się bestsellerem – nie waham się rzec – tysiąclecia, uszlachetniającym każdą szanującą się i liczącą się bibliotekę? Zapewne nie tylko sam autor (ok. 1150–1223), pochowany nieopodal Śląska, w cysterskim Jędrzejowie, chociaż był to jeden z nielicznych wychowanków paryskiej szkoły, może nawet pierwszy w Polsce magister. Był erudyta. Znał język grecki, co w owych czasach było znakiem najwyższych umiejętności. Ale też i kapłanem Kazimierza Sprawiedliwego. A od 1208 roku biskupem krakowskim. To czas bardzo ważny w dziejach Kościoła powszechnego i lokalnego. Czas trzynastowiecznej przebudowy europejskiego uniwersum, w momencie ogromnych przeobrażeń Europy i rozdrobnionych ziem polskich. Prób reorientacji świata i cywilizacji chrześcijańskiej po pierwszych krucjatach, wyprawach krzyżowych i doświadczeniach z „odeszłymi od Kościoła” – po prostu: z herezykami – przede wszystkim na południu Europy. Ale też równie istotne były głębokie przeobrażenia skupisk miejskich. Stały wzrost znaczenia centrów kulturowych, jakimi były miasta, z ich głębokimi przemianami urbanistyczno-prawnymi, formami zarządzania, otwartością na przybyszów i nowym, atrakcyjnym modelem kultury i nauki.

Z tym wszystkim musiał się zmierzyć Kościół. I tak się stało. W 1215 roku

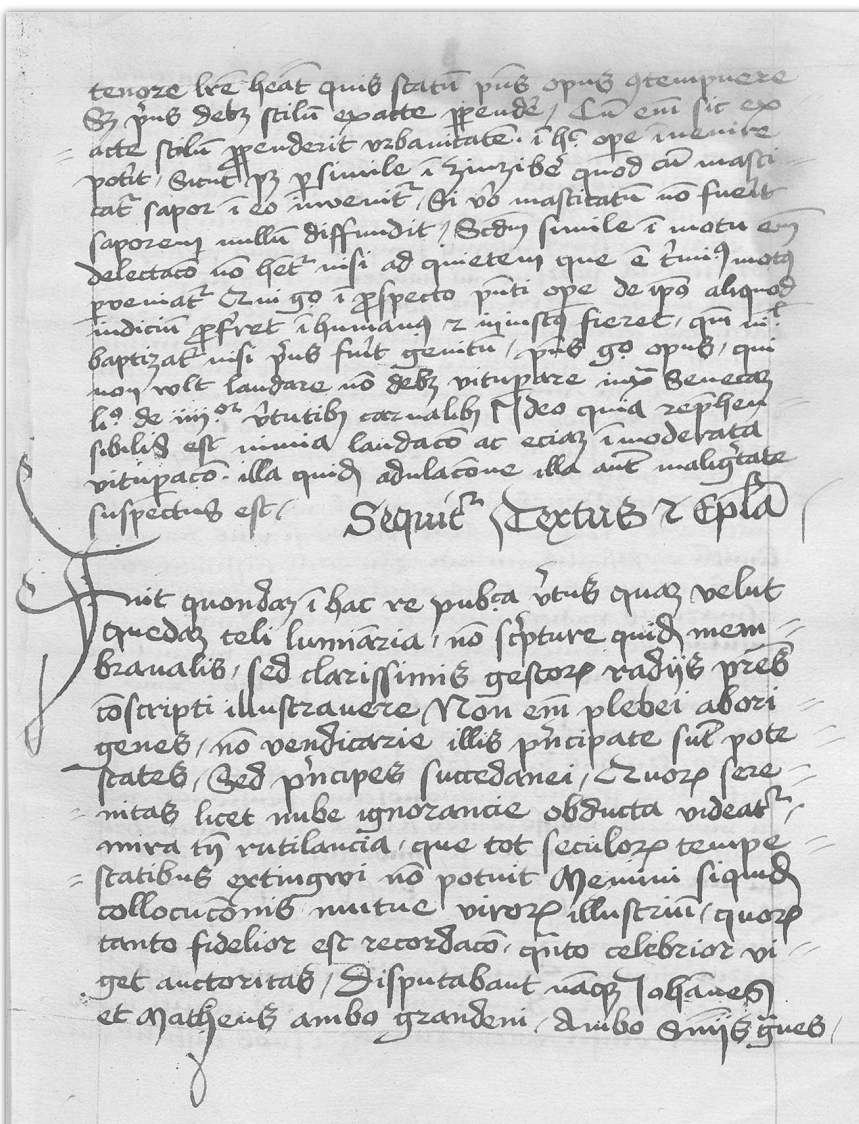
B

Białe Kruki Biblioteki Śląskiej

Biblioteka Śląska

Jak pisał Paweł Jasienica: Kadłubkowe wymysły

JAN MALICKI



^{vincto}
 colliquerunt. In ipe, vincto conflictu lapis
 olla suo cadit ictu. Petra stat iuncta feriens
 fert olla q̄ icta. Et tunc cū iupe gerit p̄lia
 testa perit. Tum demū longius p̄strepente
 belli discrimen, successim accelerat. Razimide
 p̄pe sidus gl̄e quasi iam extinctū lugent. #
 Ibacut. # Iam despate licet venie successus
 illi nō defuit. Nō salū em̄ temeritatē indulcom
 p̄ et cōsolat̄ur. basium gr̄e apud sac̄r̄ p̄u-
 cipis oraculum assequit̄. Si p̄cipali igit̄
 serenitate missa pallaci p̄nceps Nicolaus
 ille famosissim̄q̄ et filius regis quod cunctis vide-
 bat̄ orientalibz impossibile. In oībus p̄ano-
 morz pompis ac p̄t̄atibus potens evadit
 et exulem regno restituit, sic manz hinc
 eadē vultus opusq̄ tulit. Unde cuncta ori-
 entaliū regna tanta horroz cōussit ut oēs
 ad h̄az̄i. nutū pl̄ssim̄ tremuli solū q̄tremi-
 scerent.

Porro tam sup̄ excellentē gl̄a tituli q̄ntū
 comiti Nicolaus gr̄acie cōcepit, tū pepit iudicē
 quidam em̄ qd̄ in se vult̄ assequi nequeunt in
 alijs isectant̄. Ideoq̄ infremuit olim cōcepte
 sedicōnis virḡ ut. h̄yō. satrape i h̄m̄q̄ colupne
 cōmrauerunt exadū. Cūq̄ quasi cōm̄q̄daz

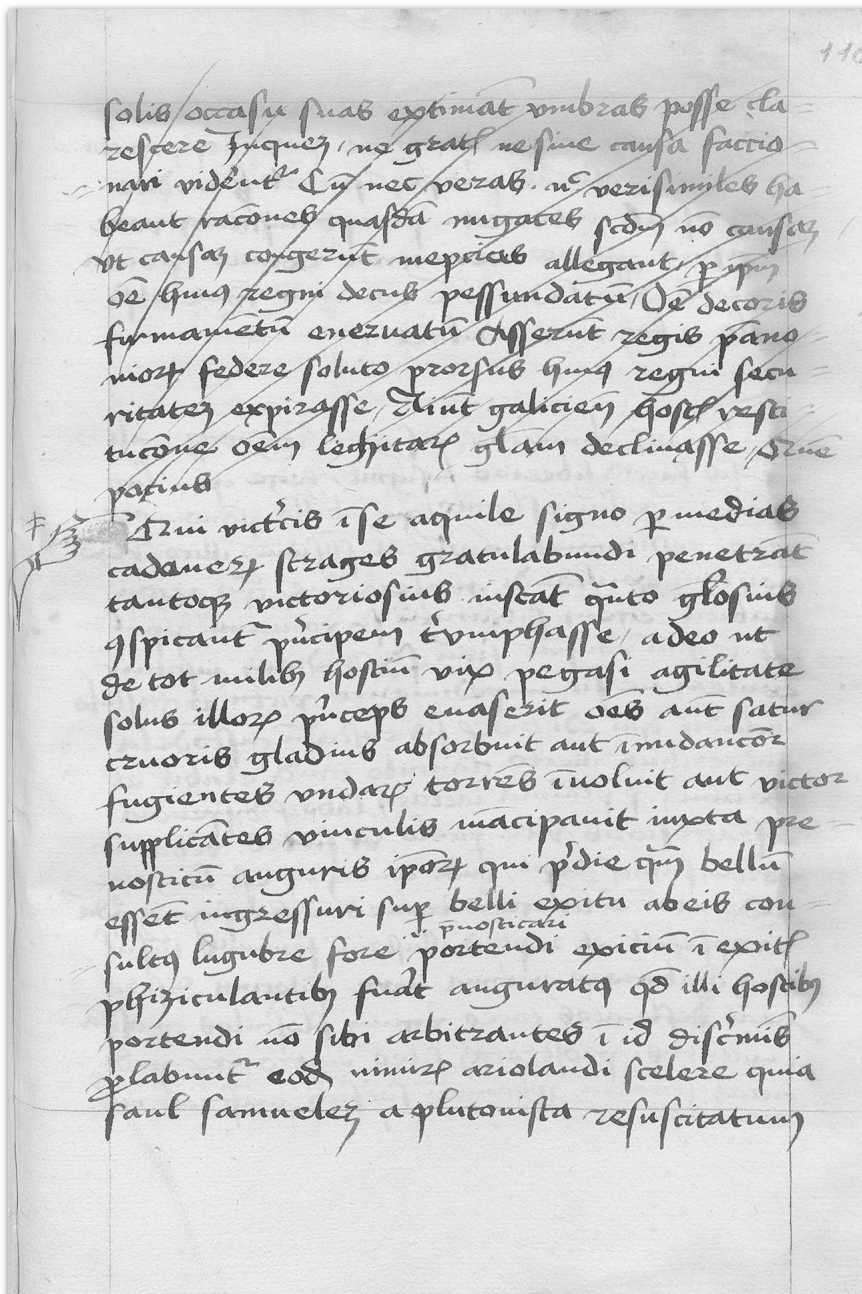
do Lateranu na sobór wyjechali przedstawiciele polskiego episkopatu. Wśród nich biskup krakowski Wincenty, zwany Kadłubkiem. Zapewne bliższa mu była strona konserwatywna soboru, którą skrótowo określiłbym jako cysterską, agrarną, uporządkowanego i stabilnego gospodarowania. Drugą stronę reprezentowali duchowni, którym bliższy był model dominikańsko-franciszkański, mieszczańsko-intelektualny, kierowany ku wielkim skupiskom ludzi. Myślę, że doświadczenia rzymskie przyspieszyły decyzję o złożeniu biskupstwa krakowskiego już po trzech latach od momentu powrotu do kraju. Wtedy też osiadł na stałe jako cysters w Jędrzejowie. Sam wybór miejsca jest dla mnie symboliczny.

Jeśli zatem nie tylko postać autora sprawiła, iż na prawie 900 lat wzbudzone są emocje, a przekonania mistrza Wincentego stają się atrakcyjną propozycją, inspirującą dla współczesnych wizjonerów, rekonstruujących lechickie imperium – „od Bałtyku i Danii po Bułgarię i Karyntię”, to w takim razie, co?

Zapewne sama *Kronika*. Szczególnie część pierwsza, tzw. podanie etnogenetyczne, zawierające m.in. opowieść o Kraku (Grakchu), który powrócił z Karyntii i prawo stanowił. Odtąd zamiast „nasz” dla określenia kraju pojawia się nazwa Polska, a na bohaterskich i niezwykłych mieszkańców – Lechici, których kariera w dziejopisarstwie oraz ideologii będzie zawrotna.

Znawcy twierdzą, iż do naszych czasów zachowało się ok. 35 egzemplarzy dzieła z XIII i XIV wieku. A sama *Kronika* stała się wzorem dla autora *Kroniki polsko-śląskiej*, *Kroniki wielkopolskiej* i krakowskiego franciszkanina Mierzwy (Dzierzwy).

Jednak dopiero XV wiek wszystko zmienił, zwłaszcza iż bardzo się wzmożło zainteresowanie przeszłością, historią Polski. W latach 1434–1436 Jan z Dąbrowki napisał niezwykle ważny komentarz do kroniki wincentyńskiej. Jego celem – jak twierdził – było „budzenie miłości do ojczyzny, waleczności oraz skłanianie do dzieł szlacheńskich i cnotliwych”. Cały komentarz znajdzie się też w pierwszym drukowanym przekazie kroniki mistrza Wincentego z 1612 roku. W trzydziestu lat po ukończeniu komentarza przez Jana z Dąbrowki, a więc w 1449 roku, władze Akademii Krakowskiej zadecydowały o możliwości wykładania tu dziejów ojczyźnych. Uniwersytety niemieckie uczynią to dopiero pół wieku później. Ale XV wiek był też okresem wzmożonego zainteresowania kroniką mistrza Wincentego w oryginale. Zaczęto ją znowu przepisywać oraz tworzyć rozmaite wyimki. Powstało zatem mnóstwo przekazów, które stawały się częścią wielu szanujących się bibliotek.



Jednym z takich rękopisów zachowanych do naszych czasów, a powstałych w okresie zintensyfikowania fascynacji przeszłością kraju, jest manuskrypt o sygnaturze R 142 III, pochodzący z kolekcji Jerzego hr. Szembeka z Poręby, obecnie zaś przechowywany w Bibliotece Śląskiej. Liczy on 136 kart, na których zachowały się ślady lektury. I to rozmaite, od dopisków, skreśleń, poprawek, erudycyjnych komentarzy, lokalizujących kryptocytaty wincentyńskie, aż po wykreślone fragmenty, jak o ks. Mikołaju. Zapewne nasz egzemplarz służył jako podręcznik szkolny. Być może nie tylko historii.

Spełniał więc rolę, jaką nadał mu XV wiek. Wiek szalony, wiek przeobrażeń prerenesansowych, wiek sporów o protoplastów narodu, walki ze średniowiecznymi mitami narodowymi i czyszczeniem niby-prawd, półprawd, fikcji. Takim szermierzem w Europie

był sienieńczyk Pius II (Eneaszy Sylwiusz Piccolomini), jedna z największych osobowości stulecia. Pech sprawił, iż on był adresatem erudycyjnego – w oparciu o Kadłubkowe dzieło – wystąpienia polskiego dyplomaty, przypominającego o klęskach (sic!) Aleksandra Wielkiego i Juliusza Cezara w starciach z książętami – a jakże – lechickimi. Słuchacze oniemieli. Potem dało się słyszeć coraz głośniejszy szum, wreszcie głośny, nokautujący śmiech. Cóż, „historia jest najniebezpieczniejszym produktem, jaki wypracowała intelektualna chemia. Dobrze znane są jej własności: rozmarza i upaja ludy, wywołuje fałszywe wspomnienia, potęguje odruchy, utrzymuje zabliznione blizny, dręczy ich spokój, prowadzi do manii wielkości lub manii prześladowczej, czyni narody zgorzkniałymi, pysznymi, niezdolnymi, próżnymi” (Paul Valéry).



Prelekcja dra hab. Dobrosława Kota w ramach cyklu „Filozofia dla każdego”

Ogólnopolski Tydzień Bibliotek w Jastrzębiu-Zdroju

EWA MADEJ

Miejscowa Biblioteka Publiczna w Jastrzębiu-Zdroju – jak co roku – włączyła się do obchodów Ogólnopolskiego Tygodnia Bibliotek, ogłoszonego przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich. Tegoroczna akcja odbyła się pod hasłem „(Do) wolność czytania”.

Od 8 do 15 maja na czytelników – zarówno tych najmłodszych, jak i starszych – czekały liczne atrakcje przygotowane przez Bibliotekę Główną i filie. Wystawa *70 lat Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jastrzębiu-Zdroju* przedstawiła zmieniającą się Bibliotekę od 1948 roku do czasów współczesnych. Ten temat pokazano w wersji filmowej.

Spotkanie dla dzieci z Michałem Rusinkiem, które odbyło się 8 maja, zainaugurowało Ogólnopolski Tydzień Bibliotek. Zaproszeni uczniowie wysłuchali fragmentów ulubionych książek autora *Księgi potworów*, a także zadawali pytania dotyczące m.in.: pomysłów na książki, sposobu wymyślenia tytułów czy warsztatu pisarskiego.

Tego samego dnia przy Bibliotece otwarto Strefę Książki. Jej główną atrakcją były Zaczytane Ławki z projektu realizowanego wspólnie z Fundacją ZACZYTANI.ORG. Ławki nawiązują do kluczowej roli książek i sztuki w życiu człowieka, służą edukacji społeczeństwa i promocji czytelnictwa, ze szczególnym uwzględnieniem pomocy dla dzieci w szpitalach i rodzinnych domach dziecka.

Projekt graficzny jednej z ławek jest autorstwa Laury Wasilewskiej – artystki i ambasadorki ZACZYTANYCH.ORG, która tego dnia była gościem Biblioteki. W Strefie Książki miłośnicy literatury mogli wymienić się książkami, a także otrzymać pozycje z projektu Drugie Życie Książki. W ofercie strefy był również kiermasz książek z bogatą ofertą wydawniczą w atrakcyjnych cenach.

Kolejnym gościem Biblioteki był Jakub Porada – dziennikarz, podróżnik i autor książek (nie tylko podróżniczych). Spotkanie – wzbogacone pokazem filmów – było okazją do udowodnienia, że

niezależnie od tego, ile ma się lat i jak grubo jest portfel, można podróżować niemal co tydzień, ciesząc się poznawaniem nowych ludzi i miejsc.

9 maja Bibliotekę odwiedził Andrzej M. Grabowski. Najmłodszy czytelnicy spotkali się z autorem telewizyjnych programów dla dzieci i książek, a także wzięli udział w konkursach przygotowanych przez zaproszonego gościa.

W ramach cyklu „Filozofia dla każdego” odbyło się spotkanie pt.: *Józef Tischner stróż człowieka z drem hab. Dobrosławem Kotem*.

10 maja 2018 r. gościem jastrzębskiej biblioteki był Paweł Sołtys – pisarz, wokalista znany jako Pablopavo, kompozytor, autor tekstów piosenek. Spotkanie było okazją do rozmowy na temat zbioru opowiadań *Mikrotyki*, za który artysta otrzymał Nagrodę Literacką im. Marka Nowakowskiego oraz nominację do Paszportów Polityki 2017.

Najważniejszym wydarzeniem zorganizowanym przez Bibliotekę była X Konferencja Naukowa: *Asymetria literatury – niekonwencjonalne spojrzenie na książki, biblioteki i czytelników*, która odbyła się pod patronatem Anny Hetman – Prezydent Miasta Jastrzębie-Zdrój.

Celem konferencji było omówienie wpływu przełomu cyfrowego na funkcjonowanie bibliotek. Spotkanie podkreśliło znaczenie zasobów kulturalno-społecznych bibliotek, książek i czytania w epoce społeczeństwa informacyjnego.

Tematy omawiane podczas konferencji dotyczyły misji bibliotek w społeczeństwie wiedzy i informacji; promocji czytelnictwa, bibliotek, a także krytycznego spojrzenia na współczesną literaturę.

Gości przywitała Maria Kucharska – dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jastrzębiu-Zdroju oraz Robert Chojcecki – Zastępca Prezydenta Miasta Jastrzębie-Zdrój.

„Czasy się zmieniają i rozwoju nowych technologii nie da się powstrzymać. Wierzę, że podczas tej konferencji będzie zaprezentowanych dużo pomysłów, w jaki sposób Internet i nowinki technologiczne można wykorzystać w promocji bibliotek i czytelnictwa” – powiedział Robert Chojcecki.

Z pierwszym wykładem: *Promocja czytelnictwa i bibliotek w dobie Internetu* wystąpiła dr Zenona Krupa z Biblioteki Uniwersytetu Rzeszowskiego. Prelegentka omówiła rolę Internetu w upowszechnianiu czytelnictwa i promocji bibliotek. Przedstawiła też wyniki własnych badań dotyczących skuteczności tego rodzaju działań podejmowanych przez biblioteki.

„Biblioteka XXI wieku musi być nowoczesną instytucją kultury, pełną inwencji, przyjazną dla użytkowników. Dlatego też w swojej działalności musi stosować marketing, który w kompletny sposób pozwoli zaspokoić potrzeby czytelników, wykorzystać posiadane zasoby oraz pozyskać nowych użytkowników, stanowiących centralne ogniwo biblioteki”.

Kolejny wykład – *Asymetria literatury – niekonwencjonalne spojrzenie*

na książki, biblioteki i czytelników – Magdalena Paul, doktorantka Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawiła w trzech częściach. W pierwszej mówiła, dlaczego pracując z książką nie tylko warto, ale i należy spojrzeć na nią „niekonwencjonalnie”, z innej strony, wychodząc poza definicje formalne i własne doświadczenia. W drugiej części wykładu podkreśliła znaczenie bibliotek i czytania. Prelegentka odwołała się do swoich badań związanych z czytaniem i e-czytaniem.

„Czytanie to czynność, którą się wykonuje wszędzie, w każdym momencie i o każdej porze. Czyta się idąc do pracy, nie patrząc na chodnik.

Co dają biblioteki? Wydaje się, że są pewnego rodzaju hubem, miejscem, gdzie spotykają się czytelnicy, którzy przychodzą ze swoimi różnorodnymi potrzebami oraz bibliotekarze, którzy odpowiadają na te potrzeby, a czasem nawet je inicjują. Celem i wynikiem takiej relacji jest budowanie kapitału kulturowego i społecznego”.

W trzeciej części Magdalena Paul odniosła się do jakościowego spojrzenia na książki, biblioteki i czytelników.

Po przerwie prelekcję *Współczesna literatura polska – okiem krytyka* wygłosił Krzysztof Siwczyk – poeta, recenzent i krytyk literacki, aktor i pracownik Instytutu Mikołowskiego. Podczas wystąpienia omówił wybrane zjawiska związane ze współczesną literaturą, z uwzględnieniem zmieniającego się krytycznego odbioru, który jest poddawany coraz silniejszej instytucjonalizacji (nagrody literackie, zanik czasopiśmiennictwa itd.). Kwestie te ujęte zostały w kontekście lat dziewięćdziesiątych XX wieku, które wydają się konstytutywne dla literatury polskiej i jej społecznego funkcjonowania.

Konferencja pozwoliła na refleksję nad zagadnieniami współczesnej kultury czytania. Była również okazją do wymiany doświadczeń związanych z nowoczesnymi technologiami i ich zastosowaniem w różnych dziedzinach działalności bibliotekarskiej.

Ostatnim wydarzeniem literackim zaproponowanym w ramach Tygodnia Bibliotek był *Wieczór poezji* z udziałem osób uczestniczących w warsztatach poetyckich Macieja Szczawińskiego.

Już teraz Miejska Biblioteka Publiczna w Jastrzębiu-Zdroju przygotowuje kolejne atrakcje dla swoich użytkowników. Są to m.in.: projekty z programu „Partnerstwo dla Książki” Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (*Muzosłów*, *Słowo na nowo*, *Akademia Bibliotecznych Zaków*), „Na 100 Niepodległa” z Fundacji BGK (*Alfabet Niepodległości*), „Ojczysty – Dodaj do Ulubionych 2018” z Narodowego Centrum Kultury (*Językowe fascynacje*).

Biblioteka jest przyjazna i otwarta dla wszystkich, którzy mają chęć pogłębić swoją wiedzę, chcą zaprezentować swoje talenty i pasje związane z książką i czytaniem oraz pragną przyjemnie i pożytecznie spędzać czas wolny. ■



Najmłodszy czytelnicy mogli porozmawiać z Andrzejem M. Grabowskim, autorem programów telewizyjnych dla dzieci



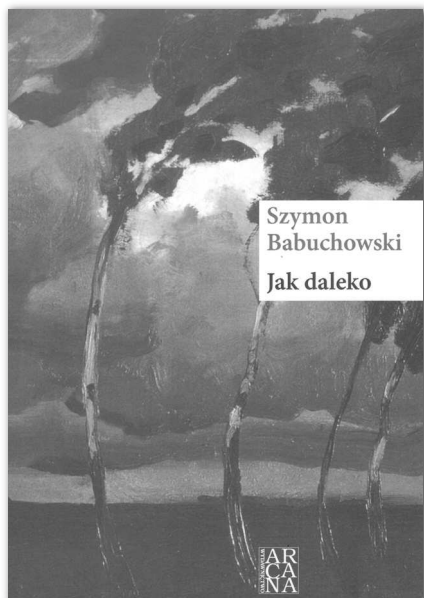
Spotkanie z Jakubem Poradą, dziennikarzem i podróżnikiem



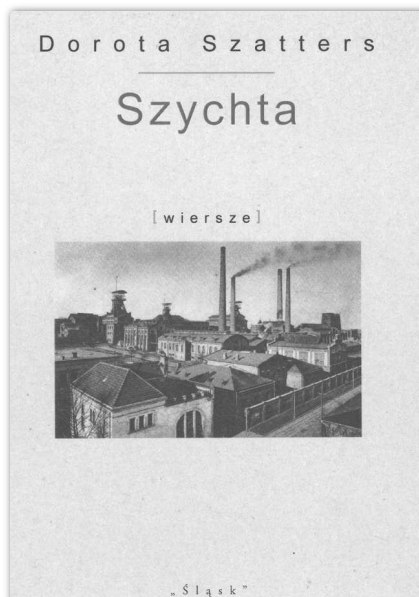
Zaczytane Ławki – nieszablona forma promocji czytelnictwa



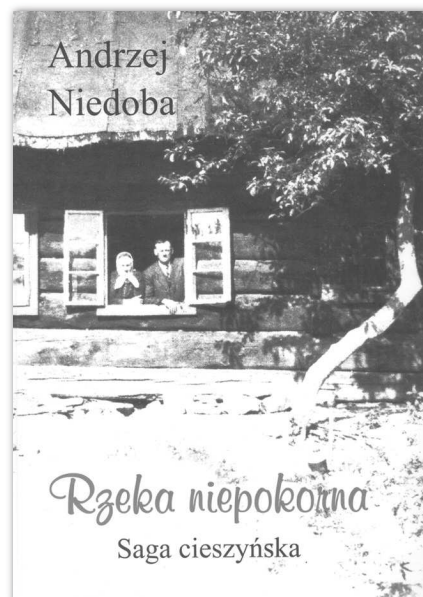
KSIĄŻKI NADESŁANE



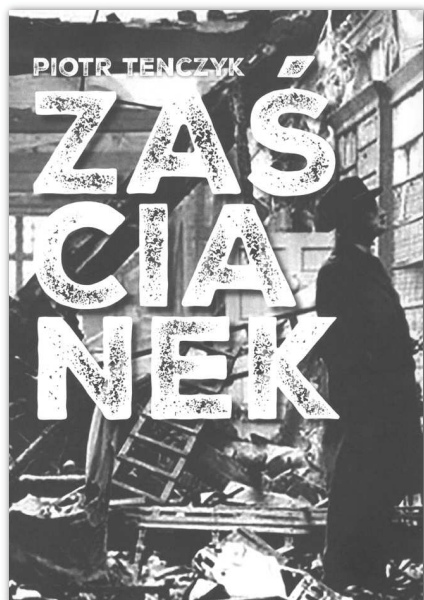
Szymon Babuchowski *Jak daleko*.
Wydawnictwo „Arcana”,
Kraków 2018.



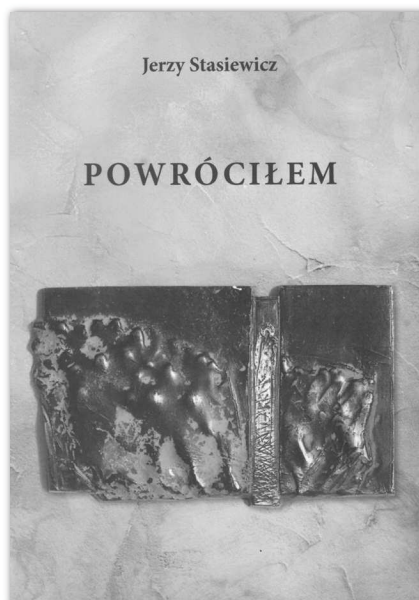
Dorota Szatters *Szychta (wiersze)*.
Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”,
Katowice 2017.



Andrzej Niedoba *Rzeka Niepokorna. Saga cieszyńska*.
Regionalny Instytut
Kultury w Katowicach, Katowice 2018.



Piotr Tenczyk *Zaścianek*.
Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”,
Szczecin 2018.



Jerzy Stasiewicz *Powróciłem*.
Oficyna Konfraterni Poetów 1986,
Kraków 2018.

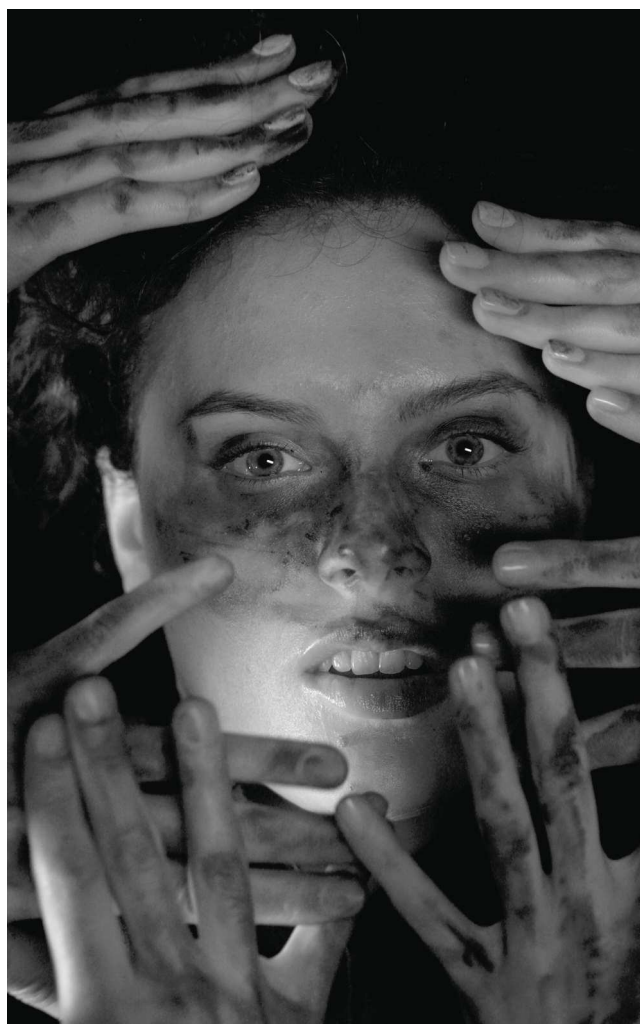


Wojciech Błasiak
Zaprzepaszczona rewolucja.
Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, 2018.

ZAPROSILI NAS



Tanec, akrobacje, mapping, światło, kurtyny wodne, 3 sceny koncertowe, 58 artystów, 95 reflektorów złożyło się na widowisko, które bezpłatnie można było oglądać w sobotę 8 czerwca w Zabytkowej Kopalni Ignacy w Rybniku.



Kobiety grają industrię

Tegoroczne święto Szlaku Zabytków Techniki zorganizowane zostało w 44 zabytkach, znajdujących się w 25 miastach województwa śląskiego, ale finał festiwalu zawsze jest tylko jeden. Tym razem odbył się w Zabytkowej Kopalni Ignacy w Rybniku. O godzinie 21.45 rozpoczęło się gigantyczne widowisko multimedialne zatytułowane „Kobiety grają industrię”. Taniec, akrobacje, mapping, światło, muzyka i 58 artystów wprawiło w ruch kopalniane budynki, aby opowiedzieć jeden dzień z życia kobiety. W produkcję zaangażowano między innymi 3 sceny z nagłośnieniem, projektorzy, ponad 90 reflektorów i kurtyne wodną.

Do stworzenia muzyki zaproszono artystki występujące solo lub ze swoimi zespołami. Zaśpiewały piosenki inspirowane wierszami, które podejmują wątek przemysłu i kobiety, ale proponują inne ujęcie tematu niż to, które znajdujemy w folklorystycznych zbiorach.

Finałowe widowisko było wyjątkowe także z innych powodów. Organizatorzy zadbali, aby mogły w nim uczestniczyć zarówno osoby niepełnosprawne ruchowo, jak i te słabo widzące. Dla niepełnosprawnych ruchowo przygotowano specjalną platformę, słabiej widzący mogli wypożyczyć słuchawki i korzystać z audiodeskrypcji.

Specjalnie na finał INDUSTRIADY w Rybniku z katowickiego dworca, o godzinie 20.14 ruszył pociąg Kolei Śląskich, który jadąc przez Mikołów, Orzesze, Czerwionkę, Leszczyny i centrum miasta dowiózł pasażerów na dworzec w Rybniku – Niewiadomiu. Powrót pociągu miał miejsce o 23:46, czyli już po zakończeniu widowiska w Kopalni Ignacy.

– Rybnik stawia na potencjał dziedzictwa kulturowego, a święto Szlaku Zabytków Techniki to doskonała okazja, by zaprezentować industrialne bogactwo miasta – powiedział Piotr Kuczera, prezydent Rybnika. – Organizując finał wydarzenia na terenie Zabytkowej Kopalni „Ignacy” chcieliśmy podkreślić, że Rybnik jest dumny ze swoich przemysłowych tradycji i stanowi ważny punkt na mapie śląskich zabytków techniki. Obiekt jest systematycznie modernizowany – między innymi przy pomocy środków unijnych – dzięki czemu pamięć o materialnym i niematerialnym dziedzictwie najstarszej na ziemi rybnickiej kopalni węgla kamiennego jest zachowana.

Wydarzenie powstało dzięki zaangażowaniu finansowemu samorządu Województwa Śląskiego i Miasta Rybnik. Realizatorami finału były następujące instytucje: Regionalny Instytut Kultury w Katowicach, dla którego organizatorem jest samorząd Województwa Śląskiego oraz Urząd Miasta Rybnik, Industrialne Centrum Kultury i Zabytkowa Kopalnia Ignacy.

W występach w rybnickiej kopalni wzięli udział następujący artyści i twórcy: muzyka i wykonanie – Asia Mina i Kuczeryki, The Party Is Over, O.N.E Quintet, Cukier Puder, Chwila Nieuwagi, Pasimito feat. Cuefx Idea. Scenariusz, reżyseria: Adam Kowalski, Tomasz Szabelski. Multimedia: Kopaniszyn Studio. Scenografia, kostiumy: Anna Kaczkowska. Choreografia i ruch sceniczny: Wojciech Chowaniec, Anna Kasprzak-Chowaniec/ Movyta. Taniec wertykalny: LineAct. Reżyseria światła: Marcin Toman. Produkcja: Regionalny Instytut Kultury, Industrialne Centrum Kultury.



Szmuglerska historia ze Śląska z dymkiem w tle

Prezentowane na zdjęciach eksponaty pochodzą z kolekcji autora



Oryginalne paczki regionalnych papierosów marki Śląski Rarytas. Opakowanie nawiązuje do Górnego Śląska nie tylko nazwą, ale i szatą graficzną.

Rarytasy z przemytu

Tekst i zdjęcia:
TOMASZ BIENEK

Trudne bywało życie palacza na przedwojennym Górnym Śląsku, i to bynajmniej nie przez tak powszechne dziś zakazy palenia w wielu publicznych miejscach. Pomimo, iż w 20-leciu międzywojennym wiedza na temat szkodliwości palenia tytoniu pozostawała

praktycznie nieznana, a przerwa na papierosa stanowiła uświęcony tradycją rytuał w każdym zawodzie, miłośnicy papierosów narażeni byli na inne konsekwencje.

Z tematem przedwojennego rynku polskich wyrobów tytoniowych wiąże się cie-

kawa historia z przemysłem papierosów w roli głównej. Gdy w 1922 roku ostatecznie ustalili się podział Górnego Śląska między Polską a Niemcami, nowa granica pobięła niemalże przez podwórka domów. W sztuczny nieraz sposób przecięła przemysłowy i gęsto zaludniony region, i z dnia na dzień okazało się, że bliżsi bądź dalsi krewni mieszkają już w dwóch różnych krajach. Sytuacja taka sprzyjała przemytowi towarów w obie strony, tym bardziej że dla ludności regionu wprowadzono Karty Cykulacyjne – dokumenty, które uprawniały do swobodnego przekraczania granicy na podstawie miejsca zamieszkania, a wydawane były przez lokalne komendy policji. Zaświadczenia te ułatwiały życie Ślązakom, ale usprawniły przy okazji przemysł. Jednym z towarów szmuglowanych masowo z Niemiec były papierosy marki Raritāt, czyli rarytas, i tak też nazywano te chętnie palone po polskiej stronie papierosy. Produkowała je wrocławska firma Halpaus. Ich popularność wiązała się z przystępną ceną, niespecjalną jakością rodzimych wyrobów tytoniowych w latach 20, a także z przywiązaniem sporej części mieszkańców regionu do produktów niemieckich. Równie istotnym powodem popularności niemieckich „rarytasów” wśród odbiorców po polskiej stronie był fakt, iż fabrycznie gotowe papierosy praktycznie nie występowały w sklepowej ofercie na terenie Polski. Sprzedawano tytoń oraz bibułki do skręcania papierosów, lub gotowe półprodukty, tzw. „gilzy” przeznaczone do własnoręcznego wypełniania ich tytoniem. Oferta przemytowników trafiała więc na podatny grunt.

Skala przemytu była tak znaczna, a walka z nielegalnym importem na tyle nieskuteczna, iż Polski Monopol Tytoniowy podjął ze szmuglerami bój na płaszczyźnie wolnorynkowej. Być może zdawano sobie sprawę, że rodzinno-koleżeńskie koneksje



Blażane pudełko papierosów marki Avide, produkowanych przez firmę Halpaus, która nielegalnie zalewała polski rynek papierosami Raritāt.

po obu stronach granicy i łatwość jej przekraczania zapewniają grupom przemysłowców tak doskonałe oparcie w terenie, iż nawet represjami nie uda się wykorzystać przemysłowego procederu; niewykluczone też, iż z przyczyn czysto marketingowych kierownictwo monopolu tytoniowego dostrzegło konieczność wzbogacenia rynkowej oferty o papierosy z prawdziwego zdarzenia. Obserwacje te przełożyły się na wprowadzenie do sprzedaży papierosów marki Śląski Rarytas. To sprytnie posunięcie miało stopniowo eliminować papierosy pochodzące z przemytu, nawiązując do niemieckiego konkurenta nie tylko zblizoną ceną i nazwą, mającą trafić do świadomości śląskich konsumentów. Polskie Śląskie Rarytasy miały się także cechować lepszymi walorami smakowymi tytoniu. Wydaje się, że ten sposób walki ze szmugłem przyniósł pożądane efekty, bo wkrótce, wzorem Śląska, na północy kraju w asortymencie pojawiły się kolejne regionalne papierosy o tej samej genecie, marki Rarytas Pomorski, gdyż w regionie tym ze względu na zmianę granic po 1918 roku panowała analogiczna sytuacja jak na Górnym Śląsku.

Przed samą wojną do rąk konsumentów po polskiej stronie Górnego Śląska skierowana była już bardzo szeroka oferta rozmaitych wyrobów tytoniowych, co świadczyło nie tylko o pewnego rodzaju zamożności tutejszych nabywców, ale też było dowodem, iż przemysłowa patologia z lat 20. przeszła już do historii. W sklepach Katowic, Chorzowa, Świętochłowic, Rybnika, Pszczyny czy Tychów dostępne były liczne wyroby z oferty Polskiego Monopoli Tytoniowego. Popularne były papierosy Płaskie, Sport, Mewa, Wiarus. Sprzedawano je w tekturowych pudełkach. Lepsze gatunki, jak Egipskie, Nil, Aromatica czy Gabinetowe, pakowano do blaszanych pudełek, a na ich zakup mogli pozwolić sobie bardziej majątni nabywcy, których wśród mieszkańców województwa śląskiego nie brakowało. W sprzedaży było też wiele rodzajów tytoniu. Przeważały: Pursiczan, Obywatelski, Machorka Przednia, Fajkowy, Specjalny.

Pomimo tak bogatego wyboru produktów tytoniowych, polscy palacze stykali się jednak wciąż z innym problemem, który z perspektywy dzisiejszych czasów wydaje się tonąć w oparach nie tyle papierosowego dymu, co czystego absurdu.



Walcząc z przemysłem papierosów z Niemiec, w ślad za Śląskimi Rarytasami, Polski Monopol Tytoniowy wprowadził do obiegu papierosy Rarytas Pomorski, dedykowany dla północnych rubieży kraju.

Wśród palaczy od początku lat 30. coraz popularniejsze stawały się benzynowe zapalniczki, powoli wypierające z użycia zapalniczki. Zapalniczki te nie były wówczas tanimi jednorazówkami, lecz solidnymi przedmiotami, które napełniane benzyną miały służyć właścicielom przez długi czas. W II RP zapalniczki produkowało kilka rodzimych firm, ale nad ich dystrybucją czuwał Polski Monopol Zapalczany, chroniący rodzimych producentów zapalek. Dopuszczał on do legalnego obrotu tylko zapalniczki posiadające akcyzę, przez co wzrastała ich cena. Znacznie tańsze zapalniczki, produkowane często w obudowach z fajansu lub bakelitu dostępne były w Niemczech. Oczywiście efektem takiego stanu rzeczy było nasilenie przemytu tych przedmiotów, odczuwalne zwłaszcza w zachodnich częściach Polski; na Pomorzu, w Wielkopolsce – ale ponownie zwłaszcza na Górnym Śląsku. To właśnie tutaj przemysł zapalniczek osiągnął na tyle znaczne rozmiary, iż Polski Monopol Zapalczany zatrudnił funkcjonariuszy, którzy w cywilnych ubraniach na mocy przysługujących im uprawnień mogli kontrolować legalność zapalniczek posiadanych przez obywateli. Zapalając papierosa w parku czy na ulicy, należało mieć na uwadze, iż w każdej chwili można zostać skontrolowanym przez zapalczanego agenta.

Po wybuchu wojny na Górnym Śląsku dostępne były wszelkie ówczesne papierosy niemieckie z legendarnymi Juno na czele. Sporo przedwojennych marek zarówno tytoniu, jak i papierosów było nadal dostępnych. Okupanci nie zmienili znacznie szaty graficznej, lecz wprowadzili niemieckie odpowiedniki nazw, i tak Płaskie zmieniły się w Die Schmale, Mewa w Möwe, a Egipskie w Ägyptische Zigaretten itd. Ze względu na wojenne oszczędności III Rzeszy blaszane puszki szybko zostały wyparte przez opakowania z tektury.

Wielu Górnoszlązaków, którzy podczas wojny dostali się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, mogło poznać smak zachodniego tytoniu. Brytyjskie przydziały obfitowały w papierosy, dodatkowe ilości można sobie było dokupić w kantinach i sklepach NAAFI (Navy, Army and Air Force Institutes). Wśród papierosów brytyjskich, palonych zarówno w upale na pustyni jak i w mglistej Szkocji przeważały: Craven A, Dunhill, Player's Navy Cut, Robin, Neptune, Wild Woodbine, Golden Flake, Capstan i Park Drive, ale na brytyjski asortyment nakładały się produkty amerykańskie, które też trafiały do polskich żołnierzy. Regulaminowe przydziały wchodzące w skład racji polowych pakowano do puszek z prostym napisem Cigarettes.



Polski Monopol Zapalczany chronił rodzimych producentów zapalek – na zdjęciu produkty z lat międzywojennych oraz ochronne etui na paczkę zapalek z reklamą chorzowskiej firmy Zagłoba produkującej alkohole. Hurtownia ta mieściła się przy ul. 3 Maja 23 w Chorzowie i była także dystrybutorem piwa na lokalny rynek.



Solidna, mosiężna zapalniczka firmy Z. Konopczyński z Warszawy była nie tylko chroniona patentem o numerze 463, ale i wybitym znakiem akcyzy. Stawała się przez to ekskluzywnym i drogim produktem – droższym, niż przemycane z Niemiec odpowiedniki.

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska
Kordian Michalak
Janusz Ireneusz Wójcik

SOSNOWIEC. W Wyższej Szkole Humanitas odbył się *II Ogólnopolski Kongres Biblioteczno-Wydawniczy* – którego głównym celem była integracja środowisk wydawniczych i bibliotekarskich. Bibliotekarze zapoznali się z nowymi metodami pracy z różnymi grupami czytelników, a wydawcy debatowali nad dostępnymi kanałami dystrybucji książek.

Integracja i współdziałanie ludzi książki to jeden z warunków podniesienia poziomu kompetencji czytelnicznych i kultury literackiej.

KATOWICE. Katowice Miasto Muzyki UNESCO i Kraków Miasto Literatury UNESCO – obydwa miasta wspólnie zorganizowały *Konferencję Creative Cities and Industries* jako imprezę towarzyszącą XII Kongresowi Sieci Miast Kreatywnych UNESCO #Krakowice2018.

Uczestnicy konferencji byli zainteresowani opracowaniem zasad polityki kulturalnej Agendy 2030 i Nowej Agendy Miejskiej.

Prelegenci omawiali problematykę dostępu do kultury i sztuki oraz aktywnego w niej uczestnictwa, zagadnień kultury cyfrowej, zrównoważonego rozwoju sektorów kreatywnych.

Nowoczesne spojrzenie na kulturę przez pryzmat oczekiwania uczestników wydarzeń kulturalnych i możliwości technologicznych nowoczesnego sektora przemysłów kreatywnych to wiodąca tematyka tego spotkania.

KATOWICE. W Uniwersytecie Śląskim odbyła się konferencja z cyklu *„Polonia Restituta. Dekalog dla Polski w 100-lecie odzyskania niepodległości”*. Problemem rozważanym podczas debat było zagadnienie; czy i jaki patriotyzm potrzebny jest w Polsce w XXI wieku, czy obecny dziś w przestrzeni publicznej patriotyzm jest nacjonalistyczny, a także czy możliwy jest patriotyzm europejski? Była to jedna z cyklu 10 konferencji organizowanych w całej Polsce przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Radę ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski.

KNURÓW. W Knurowie uroczystie obchodzono *Dni Knurowa*. Zorganizowano koncert patriotyczny „Śląsk dla Niepodległej”, wręczono Laury Knurowa, a w ratuszu miejskim odbyła się uroczystość przekazania przez ks. arcybiskupa Wiktora Skworca „Dekretu nadania miastu Knurów – patronki św. Barbary” zwieńczona mszą koncelebrowaną w kościele pod wezwaniem św. św. Cyryla i Metodego.

SOSNOWIEC. W Sosnowcu zorganizowano pod auspicjami Prezydenta Miasta Sosnowca Arkadiusza Chęciń-



9 maja w WBP w Opolu odbyło się IX Forum Opolskich Środków Literackich

skiego, JM Rektora UŚI. prof. dr. hab. Andrzeja Kowalczyka i Dyrektora Biblioteki Miejskiej Elwiry Kabat-Georgijewej – wielkie otwarcie *Zagłębiowskiej Mediateki*.

KATOWICE. W tym roku pod hasłem *„Rodzina – radość miłości”*: XI Metropolitalne Święto Rodziny zainaugurował w maju w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzcu koncert „Moja historia” w wykonaniu Piotra Rubika z zespołem. Pomysł Metropolitalnego Święta Rodziny zrodził się podczas pielgrzymki samorządowców i parlamentarzystów z ówczesnym Metropolitą Górnośląskim do Rzymu w 2007 r. To właśnie wtedy, przy grobie św. Jana Pawła II, powstała idea Metropolitalnego Święta Rodziny, które rozwija się i trwa do dziś. Uroczystości, imprezy i koncerty trwać będą do trzeciej dekady czerwca.

KATOWICE. Katowice dołączyły do *Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia ICORN*. Obok Krakowa, Wrocławia i Gdańska Katowice stały się czwartym miastem, które dołączyło do sieci. List intencyjny podpisano podczas konferencji Creative Cities and Industries w ramach XII Kongresu Miast Kreatywnych UNESCO #Krakowice2018. ICORN to organizacja skupiająca miasta i regiony oferujące schronienie dla prześladowanych artystów. Powołana w 2005 roku z inicjatywy m.in. PEN International, Międzynarodowego Stowarzyszenia Wydawców, Międzynarodowego Stowarzyszenia Bibliotek. Współpracuje z Amnesty International. Siedzibą organizacji jest norweskie Stavanger. Celem organizacji jest zapewnienie bezpiecznych i odpowiednich warunków dla życia i pracy dla tych, których twórczość stała się przyczyną ich politycznego prześladowania. Operatorem projektu będzie Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek. Do sieci ICORN należą do tej pory Kraków (od maja 2011), Wrocław (od października 2015) i Gdańsk (od sierpnia 2017).

BYTOM. 73 sezon artystyczny Opera Śląska w Bytomiu zakończyła przedstawieniem operowym w oryginalnej wersji językowej pt.: *Rzekoma ogrodniczka* (La finta giardiniera) Wolfganga Amadeusza Mozarta, z librettem Giuseppe Petroselliniego. Świetna obsada i znakomita muzyka w wykonaniu Orkiestry Opery Śląskiej pod batutą Bassem Akiki uczyniły ten wieczór znakomitą ucztą duchową dla miłośników wykwiintnej muzyki i pięknego śpiewu w wykonaniu solistów Opery: Mateusza Zajdla, Ewy Majcherczyk, Tomasza Tracza, Aleksandry Stokłosa, Eweliny



Spotkanie z autorami książki „Słodziutki. Biografia cukru”: Judytą Watolą i Dariuszem Kortko w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu



Promocja wydawnictwa „Górny Śląsk w Polsce Ludowej, t. 2, Przywódcy – bohaterowie – wrogowie” w WBP w Opolu

Szybilskiej, Łukasza Klimczaka i in. Warto dodać, że w tym sezonie odniosły także sukces inscenizacje baletu Samuela Berbera: *Medea* i Nikołaja Rimskiego-Korsakowa: *Szeherezada*.

KATOWICE, TARNOWSKIE GÓRY, RYBNIK. Kolejna *Industriada* zainicjowana została w zabytkowej kopalni srebra w Tarnowskich Górach. Tajemniczość miejsca wzmocniła jeszcze temat inauguracyjny cykl imprez: *W poszukiwaniu kobiety*.

Kobiety grają industrię – to wielkie widowisko multimedialne zorganizowano na zakończenie, na finał INDUSTRYADY 2018 w Zabytkowej Kopalni Ignacy w Rybniku. Widowisko wprawiające w ruch kopalniane budynki. Muzyka, teatr, akrobacja, gra świateł. Kobiety pracujące z trudem odnajdujemy w poezji czy piosenkach, ewentualnie jako część męskiego świata. Tutaj pełniły główną rolę.

KATOWICE. Ostatnią premierą sezonu teatralnego 2017/2018 w Teatrze Śląskim im. S. Wyspiańskiego był dramat zatytułowany *Himalaje*. „*Himalaje*” to opowieść o szczytach ludzkich możliwości, ale i o przepaściach, których nie da się zasypać ani przekroczyć. O postaciach, które dla jednych są bohaterami, a dla innych nieodpowiedzialnymi marzycielami. Znakomity spektakl reżyseruje Robert Talarczyk, teksty napisali m.in. Dariusz Kortko i Marcin Pietraszewski, a niesamowitą aurę tajemniczości i niepokoju stworzyli znakomici aktorzy Teatru Śląskiego.

CHORZÓW. Ponad 100 poetów z całej Polski zjechało do Chorzowa, aby przez kilkanaście godzin czytać swoje wiersze podczas 16. Portu Poetyckiego. Pod względem frekwencji tegoroczna edycja festiwalu okazała się rekordowa! Aż 12 godzin trwał maraton czytania wierszy. W tym roku Chorzów odwiedzili zarówno autorzy ze Śląska, jak również bardzo liczna grupa autorów m. in. z Poznania, Warszawy, Łodzi, Krakowa czy Wrocławia.

KATOWICE. Fundacja Eko-Art. Silesia i Galeria Szyb Wilson są organizatorami Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Naiwnej „Art Naif Festiwal” jedyne w Polsce i największe w Europie wydarzenia poświęcone tej dziedzinie artystycznego wyrazu. Na dwa letnie miesiące – od połowy czerwca do połowy sierpnia – industrialna przestrzeń Galerii Szyb Wilson w Katowicach, dawnego szybu kopalnianego, wypełnia się kolorowymi, pozytywnymi obrazami z całego świata.

Art Naif Festiwal, jest unikatowym wydarzeniem w skali Polski. Trwający ponad miesiąc festiwal obejmuje liczne wydarzenia: wystawy (malarstwo, rzeźba, ceramika, tapiceria, rękodzieło), występy grup teatralnych i muzycznych czy pokazy filmów.

CIESZYN. Raz w roku w czerwcu mieszkańcy Cieszyna i Czeskiego Cieszyna, miasta podzielonego graniczną Olzą spotykają się podczas Święta Trzech Braci i uczestniczą wspólnie w różnych imprezach kulturalnych, sportowych i rekreacyjnych. Święto nawiązuje do roku 810, kiedy to jak głosi legenda, założono gród nad Olzą. Na Wzgórzu Zamkowym pojawiają się Trzej Bracia na koniach, a święto tradycyjnie inauguruje teatralna inscenizacja legendy o powstaniu miasta.

TARNOWSKIE GÓRY, CHORZÓW. *Annum Festival* to jedyny całoroczny festiwal muzyki dawnej na Śląsku! Znakomita okazja by poznać muzykę dawną w wykonaniu orkiestry złożonej z muzyków grających na historycznych instrumentach w różnych interesujących miejscach w naszym województwie (np. Pałac w Rybnej), okazja do zachęcenia dzieci i rodziców do rozsmakowania się w klasycznej, pięknej muzyce podczas koncertów na które zapraszają prezydent miasta Chorzowa i burmistrz Tarnowskich Gór. Dyrektorem artystycznym *Annum Festivalu* jest Zygmunt Magiera.

ZABRZE. W poniedziałek 11 czerwca na poziomie 320 w Kopalni Guido w Zabrzu odbyło się spotkanie z Jane Hirshfield, amerykańską poetką, eseistką i tłumaczką, a także gościem Festiwalu Miłosza 2018. Jane Hirshfield jest autorką nagradzanych tomów wierszy. Ma na koncie szereg prestiżowych nagród. Jest laureatką m. in. The Poetry Center Book Award, Columbia University's Translation Center Award, T. S. Eliot Prize czy National Book Critics Circle Award.

Jane Hirshfield w swojej twórczości podejmuje próbę nazwania nienazywalnych, wydawałoby się, doświadczeń oraz ośnień różnorodnymi przejawami życia – nie tylko ludzkiego. Przenikliwe obserwacje codzienności przesycone są w jej wierszach poczuciem humoru, skłonnością do paradoksu i zmysłem absurdu. W wywiadach bądź podczas prelekcji wielokrotnie podkreślała, jak duży wpływ na jej poezję ma twórczość Czesława Miłosza. Dla polskich czytelników autorskie spotkanie było tym bardziej ciekawe, iż w tym roku wydano w Polsce kolejne tłumaczenie twórczości poetki. We współpracy z organizatorami Festiwalu Miłosza, ukazał się nakładem



Wydawnictwa Znak drugi po „Uważności”, przetłumaczony na język polski zbiór wierszy pt. „Słodycz jabłek, słodycz fig”, pod redakcją Agaty Hołobut.

Spotkanie w zabrzańskiej zabytkowej kopalni odbyło się z udziałem redaktora naczelnego Wydawnictwa Znak Jerzego Illga, poprowadziła je Agata Hołobut, anglistka i tłumaczka. Oprawę muzyczną zapewnił Zespół W/L - Michał Lazar i Aleksander Wnuk.

Majowe imprezy w WBP w Opolu

OPOLE. 9 maja w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu odbyło się IX Forum Opolskich Środowisk Literackich pod hasłem: „Te, które walczą piórem i słowem”. Bohaterkami tegorocznego Forum były opolanki reprezentujące różne dziedziny życia – literaturę, sztukę, naukę, dziennikarstwo i teatr – Elżbieta Lisak-Duda, prof. Anna Pobóg-Lenartowicz, Danuta Starzec, Arleta Los-Pławszewska oraz Basia Beuth. Z zaproszonymi Paniami rozmawiamy na temat: ich twórczości, kulisów i tajników warsztatu pracy, charakterystycznych cech wykonywanych przez Panie zawodów, a także funkcjonowania twórcy (artysty, naukowca, dziennikarza, aktora) w regionie. Goście opowiedzą o poruszających ich tematach, które mają wpływ na ich twórczość, o tym, czym jest dla nich Słowo – pisane i mówione i podzielią się anegdotami. Spotkaniu towarzyszył minirecital w wykonaniu Basi Beuth z towarzyszeniem Jakuba Mitoraja (gitara), a Forum poprowadził Kordian Michalak.

Słodziutki. Biografia cukru

OPOLE. 14 maja WBP zaprosiła na spotkanie autorskie i promocję książki *Słodziutki. Biografia cukru* Judyty Wałoty i Dariusza Kortko. Pisarka Anna Brzezińska powiedziała o tej książce: „To fascynująca historia rajskiej słodyczy, która od wieków zamienia ludzkie życie w piekło. Uważajcie! Po tej książce już nie sięgniecie po czekoladę z tą samą przyjemnością”. Judyta Wałota to dziennikarka „Gazety Wyborczej” specjalizująca się w zdrowiu. W 2014 r. wraz z Dariuszem Kortko otrzymała nagrodę Grand Press w kategorii dziennikarstwo specjalistyczne. Współautorka książek *Czerwona księżniczka* o prof. Ariadnie Gierek-Łapińskiej oraz *Religa. Biografia najsłynniejszego polskiego kardiochirurga* i *Na szczycie stromej góry. Opowieści o transplantacjach*. Dariusz Kortko jest dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, współautorem książek: *Dobry zawód. Rozmowy z lekarzami* (z Krystyną Bochenek), *Czerwona księżniczka*, *Religa. Biografia najsłynniejszego polskiego kardiochirurga*, *Kukuczka* (z Marcinem Pietraszewskim). Z wykształcenia politolog, jest absolwentem Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego.

Górny Śląsk w Polsce Ludowej

OPOLE. 16.05 w bibliotece miała miejsce promocja wydawnictwa *Górny Śląsk w Polsce Ludowej, t. 2, Przywódcy – bohaterowie – wrogowie*, pod red. Adama Dziuroka i Bernarda Linka (Wyd. IPN, PIN-IŚ) i spotkanie z współredaktorami tomu i pomysłodawcami serii – dr. Bernardem Linkiem, mgr Leokadią Drożdż, dr. hab. Piotrem Pałysem. Seria „Górny Śląsk w Polsce Ludowej” stanowi próbę syn-



Wernisaż XXI Międzynarodowego Konkursu Fotokreacji Cyberfoto 2018 miał miejsce 27 kwietnia

tetycznego i przystępnego opracowania różnych aspektów najnowszych dziejów regionu. Drugi tom nosi podtytuł „Przywódcy – bohaterowie – wrogowie”. Zawiera czternaście esejów historycznych, poświęconych osobistościom powojennego życia społecznego, podzielonych na trzy tytułowe grupy: Przywódcy, Bohaterowie, Wrogowie. 14 opracowań zostało przygotowanych przez historyczki i historyków związanych z katowickim i opolskim środowiskiem naukowym.

KRÓTKO:

■ 8.05 „Szare myśli o kolorze” – wernisaż malarstwa i rysunku Jolanty Szostak (ZPAP „PSU”), Galeria WuBePe, ul. Piastowska 20.

■ 11.05 Dni otwarte Funduszy Europejskich – wystawę starodruków po konserwacji w ramach zadania „Konserwacja z digitalizacją starodruków, rękopisów, grafik i kartografii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu”, czytelnia, ul. Piastowska 18.

■ 15.05 Jan Szczurek, promocja zbioru wierszy *W poszukiwaniu panaceum*, prowadzenie: Janusz Ireneusz Wójcik, Galeria WuBePe, ul. Piastowska 20 (w ramach cyklu: Spotkania z członkami Nauczycielskiego Klubu Literackiego).

Cyfrowa rzeczywistość w świecie

CZĘSTOCHOWA. 27 kwietnia w Galerii Art-Foto Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie otwarto wernisaż XXI Międzynarodowego Konkursu Fotokreacji Cyberfoto 2018. W tym roku 280 prac 61 autorów oceniało jury w składzie: Krzysztof Jurecki, Małgorzata Dołowska, Arkadiusz Ławrywianiec oraz Sławomir Jodłowski. Na wystawę zakwalifikowano 93 prace 40 autorów z Polski, Niemiec i Szwecji. Wśród nich byli także częstochowianie. Obrazy pokazywały możliwości cyfrowych światów, gdy ważne jest nie tyle przedstawienie, ile raczej przekształcanie, będące poważnym albo ludycznym komentarzem rzeczywistości. Wystawę można było oglądać do 25 maja.

W tym roku pierwszą nagrodę zdobyła Judyta Bernas z Sarnowa za pracę *Jednia*. Drugą – Matylda Awdziejczyk z Wodzisławia Śląskiego za cykl *Upływy*. Trzecią – Adrian Wolańczyk z Łańcuta za cykl *Materializacja pustki*. Poza tym jury postanowiło wyróżnić Zbigniewa Latałę, Natalię Kubielę oraz Jacka Szczerbaniewicza. Związek Polskich Artystów Fotografików Okręgu Śląskiego przyznał

wyróżnienie honorowe MagWojArt ze Zgierza, a Krzysztof Jurecki Marzenie Kolarz z Krakowa.

Współczesna i dawna muzyka sakralna

CZĘSTOCHOWA. Na początku maja odbył się w Częstochowie 28 Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. W tym roku organizacją zajął się ponownie Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”. Jego partnerami w tym przedsięwzięciu byli: Jasna Góra, Filharmonia Częstochowska, gmina Poczesna, Miejski Dom Kultury, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”. Wydarzenie zostało sfinansowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urząd Miasta Częstochowy.

Od wielu lat podczas majowych spotkań dominuje muzyka. W tym roku zagranicę reprezentowali: Narodowy Chór Ukrainy im G. G. Wierowki, Collin Williams oraz Gabi Gąsior z zespołem Celebrate Gospel, kantor Yoseph Schwartz i Chór Synagogi pod Białym Bocianem we Wrocławiu. Polscy wykonawcy, Zespół Muzyki Dawnej „La Tempesta” pod batutą Jakuba Burzyńskiego oraz Schola Gregoriana Cardinalis Stephani Wyszyński pod dyrekcją Michała Sławeckiego, zaprezentowali utwory ze zbiorów jasnogórskich. Ważnym wydarzeniem była prapremiera koncertu *Muzyczne świątynie świata* zespołu Marii Pomianowskiej. Zaprezentowano też *Improwizacje na tematy pieśni maryjnych* Bogusława Grabowskiego i Macieja Sikały, projekt *Jeden / Wiele. Pieśni chwalebne wielu świątyń* Karoliny Cichej i Elżbiety Rojek oraz koncert organowy Emanuela Bączkowskiego. W finale zabrzmiał *Mesjasz* Georga Händla w wykonaniu orkiestry Filharmonii Częstochowskiej i chóru Collegium Cantorum.

Wydarzenie uzupełniały wystawy malarstwa Jarosława Kweclicha oraz prac fotografików.

Balanga po 25 latach

CZĘSTOCHOWA. 22 maja w OKF Iluzja częstochowianie świętowali 25-lecie premiery *Balangi* w reżyserii Łukasza Wylężałka. Spotkanie przygotowano w ramach akcji *Aleje – tu się dzieje*. To wciąż jeden z najbardziej znanych filmów zrealizowanych przez częstochowian, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w kategorii – debiut. Muzykę skomponowali Mateusz i Jan Pospieszalski, a wśród wykonawców zobaczyć można Jacka Pałuchę, Pawła Fesołowicza oraz Muńka Staszczyka. *King T. Love*, ze „świętą wieżą”, jest jednym z motywów muzycznych filmu, a z kolei jego fragmenty znalazły się w teledysku tej piosenki.

Pokaz przekonał zebranych, że 25 lat wcale nie zaszkodziło obrazowi Wylężałka, nawet jeśli realia filmowe potwierdzają upływ czasu. Po projekcji odbyło się spotkanie z twórcami – Łukaszem Wylężałkiem, Mateuszem Pospieszalskim, Jackiem Pałuchą oraz Pawłem Fesołowiczem. Wspominali dawne czasy, niemal partyzanckie sposoby pracy nad filmem, ale przede wszystkim niezwykłą atmosferę. Opowiadali też o tym, co wydarzyło się później. Nagroda na festiwalu zapowiadała bowiem otwarcie wielu możliwości.

Jubileusze częstochowian

CZĘSTOCHOWA. W maju przypomniano w Częstochowie twórczość dwóch muzyków, reprezentujących całkiem

odmienne nurty. 12 maja na placu Biegańskiego 50. urodziny oraz 30-lecie pracy twórczej świętował Piotr „Jackson” Wolski, lider Tam Tam Project, występujący m.in. z grupą Tie Break oraz Maanam. Z tej okazji w mieście pojawił się największy bęben świata o średnicy 10 metrów i wadze 3 ton, na którym może zagrać 300 osób jednocześnie. W czasie koncertu wystąpili Krzysztof Niedźwiecki, Wojtek Królikowski, Mariusz Migas, Antoni „Ziut” Gralak, Dziani Szmidt, Włodzimierz „Kinior” Kiniorski, Mietek Jurecki, Andrzej Urny. Wieczór zakończyła jam session w klubie Muzyczna Meta. Organizatorem było OPK Gaude Mater.

Natomiast 18 maja w Filharmonii Częstochowskiej jubileusz 50-lecia pracy twórczej obchodził Sławomir Czarnecki, uznany kompozytor i pedagog, autor 60 utworów. W naszym mieście ukończył szkołę muzyczną II stopnia w klasie fortepianu. Z tej okazji Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej, chór Collegium Cantorum oraz skrzypkowie – Krzysztof Jakowicz oraz Jakub Jakowicz, wystąpili w koncercie prowadzonym przez Adama Klocka. W programie znalazły się kompozycje artysty, eksponujące różne oblicza polskości. Wśród utworów znalazło się prawykonanie *Adoracji*, poematu-kantaty na podstawie tekstów biblijnych przygotowane z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości.

Reaktywacja – Sowiński o Strzebińskim

CZĘSTOCHOWA. Od 20 kwietnia w Muzeum Częstochowskim można oglądać wystawę *Władysław Strzebiński – Zdzisław Sowiński – fotograficzne reminiscencje* zrealizowaną w latach siedemdziesiątych XX wieku. Pochodzący z Częstochowy reżyser, operator i fotografik studiował wówczas w Szkole Filmowej w Łodzi, gdzie tworzył Grupę Formy Filmowej Warsztat. W 1973 roku został pracownikiem Muzeum Sztuki w Łodzi, działu fotograficzno-wizualnego. W tym czasie było to miasto wciąż silnie naznaczone osobowością Strzebińskiego, twórcy unizmu (artysta zmarł w 1952 roku), definiowanego jeszcze w międzywojniu. W 2016 roku jego postać i teorię przypomniał Andrzej Wajda w *Powidokach*.

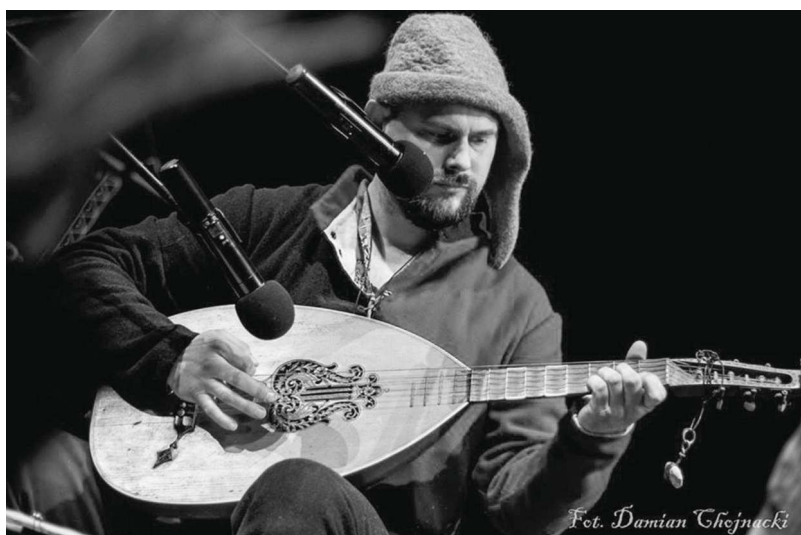
Sowiński próbował przenieść założenia teorii unizmu do fotografii. Umieścił wizerunki Strzebińskiego na codziennych przedmiotach – łupinie orzecha, muszli, tarce do prania. W ten sposób uświadamiał wpływ materii i podłoża na ostateczną wymowę dzieła, a jednocześnie zacieśniał granicę między dziełem sztuki a przedmiotem użytkowym. Wystawa powstała w 1977 roku, była także w Mediolanie.

KRÓTKO:

■ zagrali: plac Biegańskiego – Włodzimierz Turbiarz i Piotr Nikola, Video, Mezo; Filharmonia Częstochowska – Ania Dąbrowska, Krzysztof Zalewski; pub Stacherz – AmperA; Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II – Lidia Pospieszalska;

■ wystawiali: Wejściówka – Dagmara Jakubowska-Kafka; Biblioteka AJD – Sławomir Jodłowski;

■ 30 kwietnia z okazji Międzynarodowego Dnia Jazzu w OPK Gaude Mater wystąpili Piotr Orzechowski oraz Bra-cia Oleś.



Fot. Damian Chejnicki

EDUKACYJNA
PODRÓŻ W CZASIE

Śląsk w epoce dawnych Słowian

Tarnowskie Góry chlubią się swoją wielowiekową historią, ale przecież na długo przed powstaniem miasta i całe stulecia przed chłopem Rybką też żyli tutaj ludzie.

Tarnogórskie Centrum Kultury w rozrywkowej formie zaprasza na wycieczkę w czasy pradawnych Słowian na tych terenach. W sobotę, 7 lipca w samo południe rozpocznie się zabawa w klimatach sprzed półtora tysiąca lat!

Uczestnicy pokazów poznają życie codzienne, zwyczaje, ubiory oraz rzemiosło takich plemion, jak Goleńczyce, Opolanie i przede wszystkim Ślężanie. Wszak od nich najprawdopodobniej pochodzi nazwa naszego regionu – zaznaczają organizatorzy. Zobaczymy legendarnych wojów tych plemion, którzy zaprezentują uzbrojenie i szyki bojowe. Nie zabraknie pokazów bitewnych.

Będzie można też popробować swoich sił w grach i zabawach plebejskich dla dzieci i dorosłych, a organizatorzy przewidzieli tutaj nagrody dla zwycięzców. Na odwiedzających będą czekały stragany dawnych rzemieślników: kowala i garncarza. Goście będą też mogli przyjrzeć się, jak wybijano monety w dawnej mennicy.

Pomimo rozrywkowego aspektu całego przedsięwzięcia, organizatorzy zapewniają, że nie zabraknie solidnej porcji wiedzy podanej w przystępny sposób. Będzie tak dzięki wodzirejowi prowadzącemu imprezę, który przedstawi historię plemion słowiańskich oraz opowie o wszystkim, co się będzie działo w trakcie imprezy.

O godz. 19 wielkim zwieńczeniem wyprawy na teren dzisiejszych Tarnowskich Gór w czasach Słowian będą koncert, wspólna zabawa i taniec w towarzystwie zespołu Roderyk prezentującego skoczną muzykę folkową w słowiańskim klimacie. Grupa obchodzi w tym roku 25-lecie swojej działalności artystycznej i powszechnie ceniona jest za najwyższy poziom prezentacji muzyki dawnej.

Wszystkie wymienione atrakcje będą miały miejsce na terenie wokół budynku Tarnogórskiego Centrum Kultury przy ul. Jana III Sobieskiego 7. Wstęp na imprezę jest bezpłatny.

(oprac. TB)